http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

M O R Z E

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

B. KELLERMANN

MORZE

POWIEŚĆ

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

POLSKI INSTYTUT WYDAWNICZY
GDAŃSK „SFINKS“ WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI KAZIMIERZA PASZKOWSKIEGO :: WARSZAWA :: KRUCZA 42

http://rcin.org.pl

Ze zbiorów
Fundacji im. J. J. Michalskich

23.116

NEUMAN & TOMASZEWSKI
ZAKŁADY GRAFICZNE WE WŁOCŁAWKU

http://rcin.org.pl

I

Wszystko mieliśmy, czego tylko serce zapragnie. Mieliśmy ile chcieć kobiet, mieliśmy co pić, mieliśmy wichry, pędzące z szybkością ośmdziesięciu mil morskich. Nie brakło nam niczego, *merci*, to się wie!...

Na wyspie naszej nie było ani drzewa, ani krzewiny. Wyglądała niby góry, rozsypujące się w gruzy, a dokoła niej, w huku odbijających się fal ciężko wzdychały rafy. Huczało tak dzień i noc—słuchaj! To morze. Wiatr dął, wył bez przerwy, a kiedy po opustoszałym lądzie szedł człowiek, wiatr targał nim, niby zszarpaną chorągwią. Zawsze, w dzień i w nocy, przeraźliwie krzyczały mewy, gdyż i morze to i wyspa były ich własnością. Niekiedy cała wyspa tonęła dosłownie w ogłuszającym, ostrym krzyku mew.

Kiedy pływałem na morzu, koło raf,—mewy niespokojnie wyciągały białe głowy. Było ich trzy, pięć, dziesięć, ale skoro tylko zbliża- 1

http://rcin.org.pl

łem się — wnet nadlatywały ich setki, tysiące. Jak chmury przed burzą, otaczały mnie z ostrym wrzaskiem; i wtedy ogarniał mnie lęk mistyczny—tak wiele ich było. Jeszcze i dziś często słyszę we śnie ten ich krzyk.

En route! Żagiel nasz trzepoce się hałaśliwie, mkniemy. Mięśnie mamy wyprężone, serca krzepkie jak dźwięczna stal,..

Kiedy jednak spojrzenie me po raz pierwszy padło na Rosseherrę — tego teraz już nie mógłbym sobie przypomnieć. Wiem tylko, że było to w dniu nadejścia poczty, na wiosnę. Rosseherre była jedyną jasną dziewczyną na wyspie, i nie jest wykluczone, że tylko dlatego wywarła na mnie takie wrażenie. Była nawet nie jasną, ale żółtą, jeśli tak można wyrazić się. Wszystkie inne były ciemne, o tak, przecie znałem je wszystkie.

Od czasu do czasu chodziliśmy na jakąś wyprawę: Yann, „mały kapitan“, Poupoul, mój pies, i ja; w tych właśnie wyprawach poznawałem je. — Na wyspie kobiet było trzykroć więcej, niż mężczyzn, ponieważ mężczyźni mieli służbę na statkach. Bóg wie zresztą, gdzie się podziewali.

Kobiety póki były młode, były piękne, starych zaś, to się wie, unikaliśmy. Dziewczęta nasze były opalone od słońca: krew
2 płonęła w ich licach i oczach, jakgdyby do-

http://rcin.org.pl

piero co wyszły z gorącego pieca. Miały białe, mocne zęby i czarne jak smoła włosy, które rozpuszczały wzdłuż ramion. Były szczere, wesołe, głośne i nie długo opierały się, ponieważ nie miały ani czasu, ani wyboru.

Yann i ja siadywaliśmy gdzieś w jakimś małym barze, wśród oparów winnych, poczem Yann wybałuszał na mnie wilgotne, błyszczące oczy i rzucał mi swoje: „He — he?!"

— Dobra! — odpowiadałem. Obydwaj z Yannem w sposób prawie że tajemniczy, porozumiewaliśmy się świetnie.

— W takim razie jeszcze jedną szklankę! Hej, gospodarzu, jeszcze jedną szklankę! Żywo!

Wychodziliśmy. Pędziliśmy tak szybko, jakgdyby tu chodziło o życie i śmierć. Nie można było tracić ani minuty.

— Tylko bez żadnych ceregieli, słyszysz? — mówił Yann. — One przecież na to tylko czekają!

— *Tiens!* — opowiadałem, wściekając się na ustawiczne opiekuństwo Yanna. — Alboż kiedy robiłem ceregiele? Do stu tysięcy...

— *Allons, allons!* — Yann śmiał się.

Noc była. Wszystko spało. Ognie latarni morskiej, niby olbrzymie ukryte latarki, skradały się poza nami, a my, by złodzieje, przekradaliśmy się między zabudowaniami.

http://rcin.org.pl

Trzeba było często schylać się, i kryć poza nizkim parkanem, aby nas kto nie dostrzegł.

— Schyl się! — skomenderował Yann. — Poczem zastukał do okna: „Otwórz! Otwórz-że!"

Całą godzinę stukał cierpliwie, szepcząc: „Otwórz, to ja — Yann!" Wreszcie zasówka zgrzytnęła, i Yann wślizgnął się do domu. Czekałem. Ciemne chmury toczyły się po niebie, wiatr smagał moją kurtę.

Wreszcie Yann powracał, nasycony, podniecony.

— Nic z nią dziś nie można poradzić!

— Nic, doprawdy nic?

— Nic, wybraliśmy jakiś niefortunny dzień.

— O, Yann! — Poczem skierowaliśmy swe kroki w inną stronę. „Otwórz, otwórz-że! To jestem ja, Yann". Nasłuchiwaliśmy. Poupoul warczał. „Otwórz, otwórz-że!" W zabudowaniach rybackich unosił się odór słodkawy i mocny, niby w oborze.

— Uściskaj-że go, a żwawo! — rozkazał Yann. — Jest to mój przyjaciel — Napoleon — czyś nigdy o nim nie słyszała?

Poczem poszliśmy dalej, dobijając się po drodze do położonej na skraju oberży, by się pokrzepić. Zakłóciliśmy nocny spokój gospodarza, mimo to byliśmy gośćmi pożądanymi, ponieważ wypiliśmy za całego franka i zapłaciliśmy gotówką.

http://rcin.org.pl

— A teraz pójdźmy do Stiffu, — rzekł Yann — będzie to z stąd... jakie pół godziny. Mieszka tam Jeanne. Musimy tylko być ostrożni, to ona wnet wyjdzie...

Yann był nienasycony.

— Czy aby wyjdzie, Yann?

Yann, zatrzymał się, zsunął czapkę na tył głowy:

— Gdy ja zastukam? Hę?

W ten oto sposób zaznajomiłem się ze wszystkiemi ślicznotkami na wyspie. Koszy nie otrzymywaliśmy, tego nie mogę powiedzieć. Byłoby to bowiem niewdzięcznością.

Rosseherre jednak wtedy jeszcze nie widziałem.

Raz w środę udałem się do przystani popatrzeć, czy pomyślnie przybija do brzegu „Komisjoner". Morze było wzburzone.

Rybacy stali na skale, wyniośle wzniesionej ponad zatoką i nieruchomo spoglądali w dal na „Komisjonera". Od czasu do czasu spluwali, nie ruszając się z miejsca. Szarpani, roztargani wiatrem, wyschli na słońcu, z oczami wyszlifowanemi od wiatru. Inni, z przylepionemi do skroni cienkiemi włosami, w obwisłych bluzach, zdawało się, dopiero co wyleźli z wody. Był tu również kupiec Noel, „król wyspy", w czarnej skórzanej kurtce, z polową lornetką u oczu. Tchnął

http://rcin.org.pl

dobrobytem. Twarz miał czerwoną jak lak, i czarną, skrzącą się zdrowiem brodę. „O la-la!“ — wykrzykiwał i kręcił zatroskany głową, gdyż „Komisjoner“ był jego własnością. Kuter zalewany bałwanami człapał poprzez huczące duny, zarysowując się ledwo dwoma strzępami płótna.

Niekiedy pogrążał się aż po sam szczyt masztu: — żegnaj! Lecz nie, znowu wynurzał się. Po za nim, ukośnemi strumieniami spadał ciemno szary deszcz. Naraz wszyscy rybacy stłumili oddech — no, niechby teraz zerwał się choć jeden sznur, albo niechby poryw wiatru potrwał jeszcze jedną chwilę... Rybacy splunęli, niebezpieczeństwo minęło. W niszach skał grupami siedziały, przykucnąwszy jak kwoki, żony rybaków, spędzone wiatrem do kąta. Wszystko na nich rozwiane — rozpuszczone włosy, wstęgi białych czepców, spódnice... Czarna Jeanne siedziała wśród nich, i z uśmiechem spoglądała na mnie. Stałem obok rybaków, znieruchomiały, jak oni, od czasu do czasu wyjmowałem fajkę z ust i spluwałem po amerykańsku przez zęby; manierę tę doprowadziłem był do doskonałości.

„Komisjoner“ zwinął żagle i z brzękiem wyrzucił swą zardzewiałą kotwicę. Podniósł się mały obłoczek rdzy, poczułem jego za-

http://rcin.org.pl

pach aż tutaj. Natychmiast z przystani wypłynęła, jak zazwyczaj, owa łódź maleńka, poruszająca się niby kijanka, ponieważ kierowano nią jeno jednem wiosłem u steru. Z pół tuzina rozwianych tłomoków—(ludzie)—bel, gromadka świń — wszystko to wrzucono do łodzi z pośpiechem, właściwym marynarzom zabierającym się do pracy. W jednej chwili łódź zapełniła się po brzegi.

Świnie kwiczały niemiłosiernie, a kobiety w niszach skał śmiały się piskliwie. Naraz wszystkie poczęły wołać, machać rękoma, i krzyczały: „Rosseherre! Rosseherre!“ Na przodzie małej, rozbujałej łódki stała dziewczyna z rozwianemi miedziano żółtemi włosami. Nigdy nie widziałem jej jeszcze. O jakże żółte miała włosy! I tak spokojnie stała...

Z łódki wyrzucono kwiczące świnie, poczem bele, wór pocztowy, no i całą górę wielkich chlebów o brudno-szarej skórze. Świnie przebiegły po nich a żółta woda liznęła je i zabarwiła niektóre na ciemno—zanim Noel zdołał je usunąć.

— Bierz je! bierz je! — darł się i żebrak wioskowy, w dziurawych portkach, protegowany Noela, skoczył w sam środek góry chlebowej.

Rosseherre zręcznie wyskoczyła z łódki pomiędzy dwiema falami, i szybko stukając

http://rcin.org.pl

chodakami, pobiegła ścieżką w górę. Im bliżej podchodziła, tem bardziej żółtemi zdawały się być jej włosy. Była to mała i szczupła dziewczyna, mniej więcej szesnastoletnia— w białym czepcu, w chustce na ramionach, w czarnem ubraniu, jak wszystkie kobiety na wyspie.

Zwróciliśmy się ku niej. Rybacy uczynili to, nie ruszając nóg z miejsca — drewniane ich chodaki, zda się przyrosły do ziemi. Kedril wyjął z ust tytuniową gałkę i wsunął ją pod czapkę, na głowę — „A oto mamy ją z powrotem"—odezwał się. Inni nie mówili, tylko z dziecinną życzliwością wypryskiwali przez zęby sok tytuniowy i kiwali głowami. Wszak jasnem było, że to ona...

W tejże chwili Rosseherre podniosła na nas oczy. Żółte włosy owiewały jej małą dziecinną twarz, ona zaś odgarniała je ręką z czoła. Kobiety śmiejąc się, krzyknęły coś do niej, ona zaś z ciekawością zmierzyła mię spojrzeniem od stóp do głów. Wyjąłem fajkę z ust, lecz nie poruszyłem nawet brwiami. Spojrzenie Rosseherry wróciło znów na mnie, i zatrzymało się na mej ręce, na której nosiłem niepozorny pierścionek. Poczem szybko spojrzała mi w oczy. Ale jakież to było spojrzenie?

Roześmiane kobiety, rozpuszczając języki poszły razem z Rosseherrą. Wiatr w jedne

http://rcin.org.pl

chwili zwiał je za węgieł. Ale Rosseherre, nim zniknęła, obejrzała się jeszcze raz...

W dole, w zatoce, kołysał się opuszczony „Komisjoner". Na jego pokładzie kręcił się marynarz w czerwonej koszuli. Listonosz, będący jednocześnie dyrektorem poczty, rozpoczynał swą pracę. Szedł jak w ogień, uzbrojony od stóp do głów. Miał wysokie buty, a w ręku wywijał śmiesznie małym koszyczkiem z listami. Służbę miał zabójczą. Gdziekolwiek bowiem udał się, musiał wychylić kieliszek. Za to wieczorem wracał jako zwycięzca i parskając jak nosorożec, cały zlany potem, padał bez sił w oberży Chikelsa, pod brzemieniem olbrzymiej odpowiedzialności i powagi morderczej służby, do której nabierał sił w ciągu ośmiu dni.

Przybył wózek z bułankiem, by zabrać worki i bele. Koń ten szedł i stał zawsze ze zgiętemi kolanami; miał czerwone obwódki dokoła oczu i nozdrzy, przytem był prawie, że cały wyleniały. Koń ów zasnął momentalnie, a żebrak wioskowy łaskotał mu nozdrza kawałkiem słomy bez żadnych widoków powodzenia. Wózek odjechał — i na wyspie znów na cały tydzień zapanowała cisza.

Kupiłem na wsi za dwa sou ryb i powędrowałem z powrotem, do willi „Burza".

http://rcin.org.pl

— Czy widziałeś jak spojrzała na twój pierścionek?—rzekłem sam do siebie.—Jednakże one wszystkie na całym świecie są jednakie... Lecz jakie złote ma włosy, to nie powinno być pozwolone, prawda... Poupoul?

Naraz przypomniałem sobie jej spojrzenie. I rzecz dziwna. Było to spojrzenie — jakby to powiedzieć?—takie, jakie miewają obłąkani.

http://rcin.org.pl

II.

Droga biegła wysoko przez skały, o które wieczyście stukało i tłukło się morze.

Dzień i noc pracowało morze. Znalazłszy szczelinę, wnet zabierało się do wybijania tunelu. Za tysiąc lat — obliczało — że skończy dzieło, więc odważnie brało się do roboty. Już o dwa kroki dalej tłukło ono w grotę i wierciło przesmyk. Za lat tysiąc szyb ten zetknie się z tunelem. Wówczas, podczas wielkich burz pchnie ku górze oskardy i łopaty, aby przebić grotę. Jeszcze lat tysiąc — i strop tej hali będzie tak cienki, że załamie się od deszczów, a wówczas pozostanie tylko jedna rafa, wolna i ostra jak kosa. I morze będzie dla się szukać nowego zadania... Czasu przecież ma dość!

Im bliżej ku willi „Burza“ — tem bardziej słychać głos morza. Leżał tam otwarty ocean, a o rafy rozbijał się potężny prąd. Ponad podwodnemi wydmami bezustanku wzbijają

http://rcin.org.pl

się spienione bałwany. Niekiedy huczało, jakby olbrzymia skała zapadała się do morza. To fala wielka. Nie wstrzymywałem już więcej kroku, tylko niekiedy w głębi serca targnął mną wielki strach.

Z nieba spadały samotne ciężko-ołowiane krople. Chmury, nizkie i ciężkie, niby czarny dym zawisły nad posępnem morzem, noc zapadała prędko. Zabłysły światłem obie nasze latarnie morskie. Na północy — Stiff, rzełkbyś ssący, upiorny księżyc, drgał w czarnej przestrzeni dwa razy białem, raz zaś czerwonem światłem. A na południu wysoko i obłędnie wirowało upiorne słońce z czterema blademi snopami promieni. To — Creach. Daleko, dokoła, na mil trzydzieści może, ciskał on w mrok swe snopy światła. Zda się ostre rozłupane na dwoje błyskawice, rozbiegały się jego promienie. Biegały po czarnym stepie, bo bladych dachach chałup, żmiją lśniącą mknęły po skałach, po zatoce i, prześlizgnąwszy się po rafie, po tafli, po zrębie chmury, po żaglu — ginęły... Znowuż noc, mrok — i naraz znowu błysną oślepiająco! W nocy, gdy milkły szmery dzienne a słuch nabierał ostrości—morze jeszcze wściekle; huczało, i wówczas wydawało mi się, że żyję w bezustannej burzy.

 Creach oświecał mi drogę. Skały po-

http://rcin.org.pl

dobne do gładko wypolerowanych czaszek słoni i szkieletów zwierząt przedpotopowych, nabierały kształtu i ożywały pod każdym promieniem światła. Pośród nich stał ze wzniesioną ręką blady, wychudły mnich i kazał w stronę szkieletów: „Jeszcze nie za późno, o, saurusy!“ Stał tam i pouczał każdą noc. W dzień był on tylko zwykłą bryłą skały. I mnie pouczał rownież, gdy przechodziłem obok: „Co mówię do saurusów, to odnosi się i do ciebie!“ I odwracał się ku mnie ze wzniesioną ręką: „Jeszcze nie zapóźno, poganinie“! Willa „Burza“ również była podobną do bladej czaszki, przez której wyżarty nos musiałem był wchodzić.

Dawniej był to domek stróża, dziś zaś stanowił już własność kupca Noela, który był zbieraczem starych chałup, chrzczonych przezeń wspaniałemi nazwami: „*Villa de tempête*“, „*Sanssouci*“, „*Louis Seize*“.

Wyjąłem ryby, oskrobałem je i usmażyłem na wolnym ogniu w papierze grubo wysmarowanym masłem. Z wątroby, dodając masła, soli i nieco octu, przyrządziłem sos. Pozatem miałem jeszcze parę drobnych kartofli — i było wspaniale!

Apartamenty willi „Burza“ składały się z jedynego maleńkiego pokoju, którego połowę zajmował potworny, czarny jak smoła

http://rcin.org.pl

piec, nieomal i mnie pochłaniający. Lubiłem siedzieć przed nim i patrzeć na ogień.

Ryby skwierczały; za oknem huczało morze. Słuch miałem delikatny, wyostrzony, to też rozróżniałem huk każdej poszczególnej fali.

Prąd żarłocznie, z dziką mocą uderzał o skały, huczał w oddali równomiernie, co pewien czas, jakgdyby po ziemi toczyły się spiżowe rury. Był to huk fal w zatoce. Rozróżniałem daleki klekot jakby kanonady. To morze huczało koło Creacha. Rozbiło ono skały na strzępy i każda fala toczyła tam i z powrotem ciężkie bryły skał. Te krzyki, grzmot i huk — cóż to było? Nie, drzwi już nie będę otwierał.

Nie widziałem już więcej podnoszących się i opadających czarnych kadłubów statku, nie słyszałem więcej krzyków tonących ludzi. To pląsały ciemne skały, i wiedziałem również, skąd pochodzą krzyki. Krzyczała woda, wiatr, krzyczały kamienie.

Stukanie do drzwi. Nie obróciłem się. Kto mógł przyjść? Wiatr szlochał w okienku, szlochał z niezwykłego bólu, bólu jedynego, któryby rozdarł serce świętego. Poczem zaśmiał się cichym, obłąkanym śmiechem. Zaśmiał się i odleciał.

http://rcin.org.pl

Siedziałem przed niewielkim ogniem i paliłem fajkę. „Ech, ty Poupoûl, stary towarzyszu!“ — rzekłem i połaskotałem go po łbie. I cóż się stało? Nic. Tylko w powietrzu przewionęła woń niezwykłych przygód.

O, ten żółty ognik, który dzisiaj wyłonił się z morza! Przygotowałem się na wszystko. Strzeż się, Yann...

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

III.

Zaraz następnego dnia poszedłem wybadać, jak wykryć tę Rosseherrę. Ale nie odnalazłem jej. I niech tam sobie siedzi, gdzie chce—ja nic od niej nie potrzebuję. Na trzeci dzień zapomniałem o niej.

Mewy krzyczały, jaskółki krążyły, wijąc się, piszcząc i ćwierkając. Wiatr dął, huczał napór fal. Wyjechaliśmy na połów ryb. Pojechaliśmy po homary i langusty; łódź nasza pełną była więcierzy. Kedril, główny szturman, otrzymał był depeszę, to też mknęliśmy po czarnych, szybkich falach, jak jaki statek duchów. Darliśmy się jak djabły, usiłując przekrzyczeć morze. Komenda i jej powtórzenia. Kierowałem jednym z żagli i usiłowałem opanować wiatr. Wpierałem nogi w żebra łodzi, a chcąc wyprężyć żagiel, nieraz poziomo wisiałem nad łodzią. Ręce miałem podrapane, oczy zapalone od słonej wody i wiatru, włosy przylepione do czoła. W ciągu

http://rcin.org.pl

ośmiu godzin krążyliśmy tak wśród wodnych mogił, dopóki z mroku nie zamajaczyło blade światło naszego parostatku, a w ciągu tych ośmiu godzin wiatr przenikliwym fletem gwizdał w naszych uszach. Pilot wydrapał się po czarnej, żelaznej ścianie w górę, znikł, i dopiero w świetle lamp wynurzyła się znowu jego czerwona od wódki twarz z wypchanym policzkiem: przechowywał tam tytuń. Bądź zdrów, pilocie! My, parobek i ja, ze wszech sił wparliśmy żelazne drągi w parostatek, aby nie rozbić się o niego, i potwór żelazny przesunął się. Poczem pędziliśmy z powrotem w ciemnościach wiele, wiele mil. Zwały wodne smagały nasze przesycone oliwą odzieże. Oczy nasze utkwione były w ciągnącej się przed nami czarnej drodze i wypatrywały piany. Albowiem, gdzie piana— tam rafy. A wjeżdżając we mgłę, przechylaliśmy się przez brzeg łodzi i rozszerzonemi nozdrzami wchłanialiśmy całe tonny powietrza, by rozpoznać po woni, gdzie są skały.

Piliśmy. O, jak śmiertelnie piliśmy! Chodziliśmy z butelką w ręce wzdłuż ścian, chwialiśmy się, i pili, ponieważ dręczyło nas pragnienie. Trzeba było zmyć wszystką sól. Rybacy darli się przez okna. Serca ich rozszalały od morza — cóż mogli byli na to poradzić? „Krzycz i ty"! wołał Yann, więc i ja

http://rcin.org.pl

krzyczałem przez okna. Sprawiało to nam przyjemność. —

Długie dni spędzaliśmy w samotności, z Poupoulem, z wiatrem, z mewami.

Przed moim domem leżał kamień, duży i płaski, niby stół. W słońcu wydawał się szarym, a w dni pochmurne nabierał ciemnego koloru. Siadywałem był na tym kamieniu i patrzyłem na morze.

Po niebie ciągnęły chmury, a ich cienie wydawały się jak ciemne wyspy na morzu. Wiatr silnie, bezustannie rozcinał mleczno-zieloną wodę, morze zaś było jedną armją ostrych fal; widnokrąg dymił się. Wiatr darł się i wył, a morze było niby tygrys w swych szerokich, gniewnych pasach z piany, które biegały po niem jak grzmot i błyskawica.

Nastała inna godzina i morze znów było inne.

Oślepiała mię dal. Wstawałem z miejsca jakgdybym chciał coś powiedzieć: na ustach mych drżały olbrzymie słowa, góry słów, ale sens ich był mi obcy—to też nic nie rzekłem. Znowu siadałem. Wiatr rozdmuchiwał ogień w mem sercu, rozpalał je, i dął dotąd, aż rozgorzało nawet tam, gdzie było całkiem stare. Siedziałem pośród otwartej przestrzeni, pustki i nieznanych mi rzeczy, których pełne było powietrze. Siedziałem tak od rana do wie-

http://rcin.org.pl

czora i zaczynałem rozumieć, co chciało mi rzec moje serce. O tak! Spojrzałem w górę. Bóg udał się podróż, pozostawiając na razie ziemię sobie samej, albowiem wyrosła już ona z lat dziecięcych; ale jeszcze żyły stare bogi, którym składałem ofiary, kiedy przybyłem przez góry z kamienną siekierą na ramieniu. Czy słyszysz? Czy tak huczało wówczas w górze? To stare bogi przejeżdzały hen, górą.

Tysiąc kwadratowych mil wody, tysiąc kubicznych mil powietrza — wszystko to należało do mnie. Nie, bogowie w górze nie powinni byli myśleć, że mają do czynienia z niewdzięcznym, parszywym chłopcem! Poszedłem, skradłem połowę płotu ogrodowego, i roznieciłem ogień wśród skał. Rzuciłem tam ryby, które sam złowiłem, razem z oczami i wnętrznościami, cisnąłem je w ogień aż dym okopcił mi twarz. Niechże bogowie przejeżdzający tam w górze, w eterze, ujrzą to.

Dzień, w dzień siadywałem na kamieniu, przed domem.— Po morzu płynęły parostatki.

Rozróżniałem najmniejszy obłok dymu pod zwisającemi chmurami; cieniutki maszt, jako igła sunący na horyzoncie, nie uszedł memu wzrokowi. Obłok dymu rósł, na linji horyzontu wznosiła się szara wieża dymu.

http://rcin.org.pl

Wieża ta wznosiła się jak sklepienie, wyrosły z niej maszty, kominy, pokłady. Mewy biły skrzydłami, i z krzykiem wypadały ze skał. Parostatek zbliżał się ciężko. Przód jego pogrążał się i znikał na długo, zda się tonął. Poczem wzbijał się znowu ku górze, a tył zapadał. Znowu pochylał się przód statku. W ten sposób przepływał mimo. Pieniste kolumny prostopadle wznosiły się wzdłuż czuba statku, fale przelewały się przez pokład. W dni mgliste zdarzało się, że traciłem parostatki z oczu i kilka minut szukałem zanim je znalazłem. Podczas burzy zdawały się być zrozpaczonemi widmami walczącemi z morzem: wydawały się łysemi, jakby ogolonemi przez burzę. Wynurzały się, pogrążały, dymiły; rzucały to w jedną, to w drugą stronę, i nieraz mijała długa godzina zanim przecięły wielki prąd.

Płynęły na południe i na południowy zachód. Odprowadzałem je z mego kamienia do tonących w znoju, kipiących od ludzi miast Azji, do Południowej Afryki, Meksyku i Ameryki Południowej, niekiedy aż do wysp palmowych, drzemiących w aksamitno-modrem morzu, gdzie małpy, zaledwie przybiliśmy do brzegu, wdrapywały się na liny naszego statku.

Patrzyłem w dal. Wiatr szarpał mi włosy, skry wyrywały się z mej fajki, lecąc wzdłuż

http://rcin.org.pl

stepu wrzosowego. Na jednej ze skał siedziała mewa z nastroszonemi piórami i, jak ja, patrzała w dal. Poupoul siedział obok mnie, a nozdrza jego rozszerzały się od zapachów, które słało nam morze. Był to pies okrętowy, emeryt, kosmaty, czarny duży pudel, prawdziwy czart; zjeździł już wszystkie morza. Nabyłem go na brzegu wzamian za flaszkę wódki.

Niekiedy, opuściwszy pysk, Poupoul odbywał małą wycieczkę: węszył, czy nie sterczą gdzie świńskie uszy? Wałęsał się tam i ówdzie, biegł w dół ku morzu. Wyprawiał to na trzech nogach — była w tem dlań, zapewne, szczególna przyjemność. Robił kilka skoków w przód, w tył, przekręcał głowę i łapał fale pyskiem. Poczem wracał i znowu spokojnie siadywał koło mnie.

Na morzu stał trójmasztowiec. Żółte ślepia Poupoula świeciły na mnie z poza siwiejących kępek włosów.

— Widzę go, widzę Poupoul!

Ale Poupoul pragnął wiedzieć, czy to jego statek.

— Tak jest, to twój.

Wówczas Poupoul krótko i gorąco zawył. Poklepałem go po szerści.—Pójdźmy!

 Poszliśmy.

http://rcin.org.pl

Szukaliśmy pióra mewy dla mojej fajki i szperaliśmy po skałach.

— Da Bóg, znajdziemy, Poupoul, odpowiednie pióro!

Fala tłukła się. Patrzałem na nią i mówiłem:

— A ty czego tu chcesz? Niekiedy rozmawiałem z toczącemi się ziarnkami piasku, ponieważ nie mogłem był rozmawiać wciąż z jednym Poupoułem. Rozmawiałem również z czarnymi baranami, uwiązanymi tu i tam do palików, i czekającymi aż trawka wyrośnie. Pozdrawiałem je i tłomaczyłem im swój punkt widzenia.

— W fakcie, że ojcowie wasi, za przeproszeniem, byli baranami — mówiłem — niemasz żadnej hańby. Nie! Z tem pogódźmy się. Ale to, że potomkowie wasi po miljonach lat będą tylko baranami — to budzi wzgardę ku wam. Wpędzono was w ślepą uliczkę. Stan wasz wzbudza we mnie litość. Wybaczcie mi to, panowie! — Tu kłaniałem się i odchodziłem. Barany drżąc i trzęsąc się, spoglądały za mną.

Znaleźliśmy pióro i wróciliśmy do domu. Cyt! Dookoła zda się tysiąc wodospadów huczało — to tchnęła pierś olbrzyma. Mewa przemknęła, jaskółka zaćwierkała.

„Trii—trii—trii!

http://rcin.org.pl

Dej! Dej! Gullugullugullu! Dej!"

Wiatr dął jak oszalały, że musiałem uchwycić się za skały.

Gdy zaś świeciło słońce, a ja byłem w dobrym humorze, to sadowiłem się na zrębie skały i wyjmowałem z kieszeni maleńki flet. Kupiłem go u Noela, gwoli rozrywce, a kosztował mnie zaledwie dziesięć sou, ale ton miał przedziwny. Grałem nie dla was, o nie lękajcie się, grałem dla lekkiej fali u mych nóg, dla ryb morskich, dla statku w oddali, dla Poupoula, i dla siebie.

O jakże wspaniale to brzmiało! Tony fletu jasno rozlegały się wśród skał. Poupoul strzygł uszami i z zachwytem spoglądał na mnie.

http://rcin.org.pl

Fundacji im. J. Mickiewicza. Ze zbiorów

IV.

Nic się nie działo. Morze toczyło swe zwały. Ale oto naraz stukną od zewnątrz czyjeś kroki, i zrywam się, a serce mi bije. Słuchaj, Poupoul, co to tak stuka? Czy ktoś tam idzie na dworze?

— Ależ poczekaj ty, czarny djable — kędy idziesz? O jak lśnią jej włosy! Jak się nazywasz — Ivonna? Ucałowałbym twój smagły kark, Ivonno, w tem oto miejscu, gdzie wiatr rozwiewa twe włosy. Ot widzisz, że niema czego bać się, — do nóg, do nóg, Poupoul! Cha-cha-cha — przecież ona nie baran!

I znowu mijało wiele dni, zanim ukazał się tu jaki człowiek. Wytrząsałem fajkę. Tuk-tuk-tuk — roznosiło echo po polu. I naraz z wrzosowiska wynurzył się człowiek, kierując się ku memu domowi. Był to Kedril, który przybył, by zaprosić mnie na swe wesele.

— A zatem, żenisz się, *mon vieux?*

http://rcin.org.pl

— Tak. Za dużo piję. Przyjdziesz?

— Jeśli ja nie przyjdę, to nikt nie przyjdzie—szturmanie!

— A może i flet weźmiesz z sobą? (Mój mały flet cieszył się wielką sławą na całej wyspie).

— Naturalnie, *mon cher*.

Na weselu tem znowu ujrzałem żółtowłosą dziewczynę.

By niczego nie stracić, już o wczesnym poranku byłem na miejscu. Rosa jeszcze leżała na źdźbłach trawy.

Ogoliłem się, kołnierzyk mój (ostatni), uprany jeszcze w Europie, lśnił w słońcu; na rękach miałem dwa pierścienie, a na kamizelce wisiał srebrny łańcuszek, który Bóg raczy wiedzieć poco, już od lat pięciu ciągałem ze sobą w kieszeniach spodni. Wśród rybaków miałem wygląd nadzwyczaj wyszukany, zwracający powszechną uwagę.

W kościele, po lewej stronie, klęczały kobiety w białych czepkach, po prawej — mężczyźni. Jasne włosy Rosseherry odbijały od czarnych grzyw, niby nowo wybity złoty luidor wśród starych miedziaków. Za każdym razem, gdy Rosseherre żegnała się, poruszała wargami. Nie oglądała się ani na prawo, ani na lewo; ksiądz gdakał, jak kura,

której wyrządzono gorzką krzywdę, i która

http://rcin.org.pl

nie może w żaden sposób odnaleźć znów równowagi duchowej. Miotał gromy na pijaństwo. Rzecz prosta, że to on wyprawiał się na morze w deszcze i wichry, a cały rok żył rybami suszonemi i tytuniem do żucia, podczas gdy rybacy siedzieli w miękkich fotelach i rozkoszowali się przyjaźnią świętych... Nas, tu obecnych, zwolna przypiekano na ogniu czyśćcowym, poczem przemknął nad nami cichy zefir łaski i nabożeństwo skończyło się. Wszyscy byli wzruszeni. Kedril oblubieniec, pijany już od godziny siódmej z rana, słuchał, wysunąwszy nieco język, a z jego zapalonych oczu, tryskał najczystszy spirytus. Oblubienica jego klęczała jak na szafocie, zgiąwszy w pałąk tłuste plecy i spuściwszy głowę.

Poupoul tymczasem arcyciekawie spędzał czas z zieloną papugą Noela, odbywającą swą poranną przechadzkę po placu kościelnym. Słyszałem ich spór. Na dźwięczny, drwiący śmiech papugi Poupoul nieuchronnie odpowiadał wściekłem szczekaniem.

Po ślubie wszyscy poczęli się całować. Jakiś człowiek obchodził publiczność z butelką w ręce, a każdy z obecnych otrzymywał łyk święconego wina i kęs święconego chleba. Mały kościelny placyk roił się od białych

http://rcin.org.pl

czepków. Zdawało się, że oto przed chwilą rozrzucono nadzwyczajny dodatek dziennika.

Rosseherre stała niedaleko odemnie i odwracała ku mnie od czasu do czasu głowę. Zaraz od pierwszego spojrzenia zauważyła, że ubrałem się dziś we wszystkie swe kosztowności. Dwaj starzy rybacy podeszli ku niej, zdjęli ze swych łysych czaszek płaskie czapki i, zgiąwszy kolana, potarli o jej policzek swe szczotkowate oblicza. Rosseherre uśmiechała się do mnie, gdy ją rybacy całowali.

Teraz nadeszła moja kolejka. Zdjąłem czapkę i zbliżyłem się do Rosseherry. Spojrzała na mnie niewypowiedzianie zdziwionemi oczami. Oczy jej były szaro zielone z żółtemi gwiazdami pośrodku. Były one zupełnie inne, niż wtedy. I jak mogłem był pomyśleć, że ma ona oczy obłędne?!

Nie, wydały mi się one tylko staremi. Jej czerwone, popękane od wiatru usta otwarte były ze zdumienia. I naraz wybuchła dziecięcym śmiechem. Ścisnęła ręce między kolanami i trzęsła się od śmiechu, niby miedziano-żółty pudel, który wybiegł z wody.

Wesołość jej udzieliła się wszystkim i mnie również. Śmiałem się, by ukryć swą klęskę.

 — Ale przecież ty nie jesteś rybakiem!—

http://rcin.org.pl

zawołała swym śpiewnym bretońsko-francuskim narzeczem.

— Skąd to wiesz? No poczekaj, jeśli nie dziś — to jutro.

Wszyscy znowu parsknęli śmiechem.

Poczem wszyscy zaproszeni udali się do Grand Hôtelu, a niezaproszeni również tam się udali.

„Grand Hôtel“ — była to nędzna, żółta chałupa na skraju wsi, nad samą zatoką, która, zdało się, nie mogła zdecydować się, w którą stronę ma się zawalić. Przed maleńkiemi, wykrzywionemi drzwiami siedziały na blaszankach od sardynek dwie papugi. Z niezachwianym spokojem przestępowały z nogi na nogę, posuwały puste pudełka, biły w nie dziobami, i od czasu do czasu śmiały się i krzyczały przeraźliwie: „Złodziej! Łajdak! Próżniak!“

W Grand Hôtelu gnieździła się pani Chikel, dziarska baba, *à la bonheur*, z głośnym aparatem gadatliwości, zawsze uprzejma, z rękami podobnemi do kotwic. W jej cieniu, niby grzyb w cieniu dębu, wlókł swą nędzną egzystencję pan Chikel. Bal on nawet był do grzyba podobny w swym szerokim kapeluszu plantatora i z wiecznemi bandażami na głowie, rękach i nogach.

Nieraz trafiała go butelka w głowę, nie-

http://rcin.org.pl

kiedy zaś spadała nań tylko serja bajecznych policzków. Nieraz zdarzało mu się też, gwoli zdrowia, spać na świeżem powietrzu. W świetle księżyca ukazywał się jak tłomok we drzwiach, i zlatywał ze schodów. Drzwi z trzaskiem zamykały się, warczała zasówka. Baczność! Z okna leciały młotki, butelki i pan Chikel zmuszony był do cofnięcia się w stronę skał. Był to swego rodzaju fort, tu więc pan Chikel sypiał.

Chikel — była to psia dusza. Uśmiechnij się doń—co on na to? Drgnie nogą i również uśmiechnie się. Uśmiechnij się ironicznie czy kwaśno — on również będzie się śmiać ironicznie czy kwaśno. Zsuń brwi i przeszyj go spojrzeniem, jakgdybyś zamierzał go zabić — on ci to samo powtórzy. Skazany był nato, by odtwarzać cudze nastroje ducha, i można go było rozpalić, wyczerpać całą gammą wrażeń, póki wreszcie pot, nie uderzył nań ze wszystkich pór ciała.

Pani Chikel była tak dalece silniejszą od niego, że w walce z nią zmuszony był uciekać się do podstępu. Mąż lubił bronić się ostremi przedmiotami, igłami lub kawałkami szkła, które kładł z sobą do łóżka. Potrafił też i siennik oblać naftą i zapałkę upuścić w pobliżu. Ale gdy tylko pani Chikel dostrzegła cośkolwiek, naprzykład, gwóźdź w po-

http://rcin.org.pl

deszwie swego drewniaka, czy coś w tym rodzaju—wnet bezlitośnie tłukła swego grzyba.

W tym oto pierwszorzędnym zakładzie na wyspie odbył się ślub Kedrila.

Żony zaproszonych przyniosły z sobą nakrycia i talerze, albowiem zakład nie był w stanie dostarczyć ich dla wszystkich, i uczta zaczęła się. Z poza stołu dźwignęło się rozwichrzone morskie widmo i przemówiło. Po bretońsku. Były to imiona, imiona, niezliczony szereg imion. Tu i owdzie żegnano się krzyżem świętym; Rosseherre też nagle drgnęła, spuściła głowę i poruszyła wargami. Poczem podniosła głowę nieśmiała, blada, z wymuszonym uśmiechem. Były to imiona tych, którzy wypłynęli na morze i nie wrócili. Podano jadło i napoje. Były ryby, baranina, piróg przyrządzony podług prastarej recepty z krwi świńskiej, z mąki i śliwek suszonych. Z początku panował nastrój wymuszony, z chłopska sztywny, poczem zawiązała się rozmowa biesiadna. Rozpoczęła się od powszechnego powątpiewania w wierność oblubiennicy Kedrila. Kedril aż się pokładał ze śmiechu. Po uczcie tańczono na polu.

„Bumba, bumba!“ — wszyscy zwarli się w koło i dreptali drewnianemi trzewikami, jakgdyby wchodzili po schodach i śpiewali, „bumba, bumba“. Ciągnęło się to w nieskoń-

http://rcin.org.pl

czoność. Naraz przenikliwie zanucił jeden głos dziewiczy, i puszczono korowód w ruch.

To śpiewała Rosseherre. Śpiewała dyszkantem, wysoko, tak przeraźliwie, że nawet świerszcz wpadłby w zdumienie. Śpiewała bretońską pieśń weselną.

„Daj mi więc, daj mi więc, kochanie, serduszko swe,
Daj mi więc, daj mi więc, przesłodkie serduszko swe".

Kołysała przy tem głową i patrzała ku niebu. Włosy miała rozwiane, a korowód obracał się. Stukały drewniane trzewiki, powiewały chusty, długie włosy kobiece i wstęgi białych czepców.

W jednej połowie korowodu wszystko zwiewał wiatr do wnętrza koła, w drugiej nazewnątrz. Rybacy o głowach topielców z połyskującemi oczyma deptali bezradnie nogami; smagłe, spalone na bronz kobiety indjańskie śmiały się, ukazując białe zęby, a spódnice wzbijały się jak balony nad grubemi, białemi pończochami. Dokoła korowodu stały dzieci, powystrajane jaskrawo, jak lalki, z rozwichrzonemi głowami, czerwonemi policzkami i zdumionemi błyszczącemi oczami.

Daleko, w dole huczało morze. Napór fal wzrastał z hukiem. Mewy z ostrym krzykiem krążyły nad tańczącymi. Dął wiatr. Było lato, słońce świeciło, ale wyspa wyglądała posępniej, niż pustkowie zastygłych skał.

http://rcin.org.pl

W dali, po ciemno niebieskiej smudze morza płynęły na południe dwa statki. Tam w dali biegła droga, po której czas odbywał swą wędrówkę

„Daj mi więc, daj mi więc, kochanie serduszko swe...“

Stałem i nie odrywałem oczu od jasnowłosej główki Rosseherry, migającej mi w korowodzie, niby błyszczący, dźwięczny dzwoneczek... Ach, tak wzruszająco śpiewała...

Obok mnie stał Yann „mały kapitan“ — zawsze, zawsze byliśmy razem.

Głowa Yanna, podobna do główki ostu była dziś nietylko wymyta, ale wyszorowana jak pokład. Jeszcze wyraźnie znać było każdy ślad szczotki. Jego jasnoniebieskie oczy dziecka wypucowane były jak latarnie okrętowe. Gwoli uroczystości wdział na się skurczoną białą kurtkę, zmiętoszony kołnierzyk, niebieskie mankiety, czarne drewniane pantofle... Cieniutka bambusowa laseczka, w krawacie zaś szpilka z ogromnym brylantem...

Wbił tę szpilkę w poprzek, tak że sterczała nazewnątrz na cały palec. I nadomiar cha, cha — powąchajcież — wyperfumował się, to ci frant! Niebieską, elegancką, czapkę kapitańską zsunął nonszalancko na tył głowy, niby coś ubocznego i najzupełniej zbędnego.

http://rcin.org.pl

Stał, naturalnie, rozkraczywszy nogi, z zasuniętemi w kieszenie rękami, ale było to jeszcze nie wszystko. Nogi wykręcone były do środka, zwłaszcza prawa, jedno udo zgięte w sposób nieprawdopodobny, tak że okrągły pośladek Yanna zarysowywał się plastycznie. Lewe biodro wysuwało się mocno naprzód, stan jego robił pełne gracji wygięcie, podczas gdy pierś stała całkiem pionowo. Ta postawa dawała ciału sprężysty fundament ze stali i gumy, to też mógł był jaknajspokojniej w świecie stać na pokładzie nawet podczas najsilniejszego kołysania się statku. A przytem mógł był swobodnie obracać ciałem to w jedną, to w drugą stronę, nie zmieniając postawy fundamentu.

Yann był komendatem niedużego rządowego statku, który stał na rejdzie. Karjera Yanna była jaknajpospolitsza: był chłopcem okrętowym na statku rybackim — głodowanie i policzkowanie; marynarzem na rozmaitych statkach żaglowych — znów głodowanie i policzkowanie; dwie ekspedycje po stokfisze ku mieliznom św. Piotra — jadło pieskie; dwa lata służby na statku amerykańskim — tu już jadło znośniejsze. Odtąd szybko poszedł w górę po szczeblach karjery. Stał się doświadczonym pilotem, to też rząd powierzył mu tę czarną polakierowaną trumnę z ogrze-

http://rcin.org.pl

waniem, na sto tonn objętości, z załogą liczącą aż sześciu ludzi. Zasłużył w zupełności na to wyróżnienie. Na jego palcach pozostały szpetne ślady od ściągania żagli, bo koło przylądka Horn zlodowaciałe żagle były ostre jak szkło, tak że krew tryskała z pod paznokci i trzeba było pomagać sobie łokciami. Wskazujący palec u prawej ręki, tej która odcięła tysiące głów stokfiszy, był wykrzywiony. Na palcach widoczne były głębokie szramy od wędek, a ręce stwardniały od wioseł i lin.

Yann była to kuta bestja. Był krawcem, szewcem, ślusarzem, kucharzem, wogóle czem on nie był! Potrafił robić pończochy, był zdolen pleść i poprawiać sieci, umiał otworzyć kawałkiem drutu, znalezionym na ulicy, wszelki zamek od drzwi. Zuch ten mówił po arabsku po malajsku, po chińsku — po jakiemu on wogóle nie mówił! — oprócz naturalnie tak pospolitych języków jak: hiszpański, portugalski, angielski i t. p. Znał tylko pięć słów z każdego języka, ale umiał wyrazić niemi wszystko, co było konieczne dla zaspokojenia potrzeb marynarza, który zstąpił na ląd. Prócz tego znał najordynarniejszą obelgę w każdym języku, którą też stale stosował, gdy zawodziła go wiedza, albo gdy coś nie wiodło mu się tak, jak chciał. Stanąwszy ledwo na trwałym gruncie, rzucał w tłum pierwszorzędną

http://rcin.org.pl

obelgę. O, był to człek doświadczony, nie nowicjusz! Ceny wnet spadały, ponieważ Yann przy najskromniejszej propozycji wyrzucał to same potwornie obelżywe słowo, które spadało nawet i na tego szczęśliwca, u którego coś nabył.

Taki był Yann! Naszpikowany był cały mądremi żartobliwemi pytaniami; dwunastoma zapałkami rozwiązywał zadania, od których można było sobie głowę połamać. Z jednej karty do gry umiał wyciąć coś tak niesłychanie nieprzyzwoitego, że niejednemu widzowi oczy momentalnie wilgotniały. Ot, sprobuj, naprzykład dać Yannowi swój scyzoryk. Bierze go do rąk, jak numizmatyk rzadką monetę. Klingi miedziane, to dobrze, nie rdzewieją! Wbija nóż w stół Noela, porusza nim, robi na stole głębokie nacięcie. Dobra stal, wogóle, doskonały nóż! Otwiera pionowo oba ostrza — no, kto ma chęć? Ja stanę pod ścianą — zaczynajcie — upp! Odrazu dwa ukłócia! Yann wysuwa ostrza. Tak! Niechaj ktokolwiek stanie z tyłu, drugi z przodu — raz, dwa! — rzut ręką, i nóż jednemu trafia w brzuch, drugiemu w gardło. Wspaniały nóż, merci!

Mimo to Yann był to człek z sercem. Zdarzało się wprawdzie, że bił swego chłopca okrętowego pięściami po twarzy, ale gdy te-

http://rcin.org.pl

muż chłopcu zachorowała matka — natychmiast dał mu dziesięć sou. Potrafił ze łzami w oczach marzyć o winie, które pił gdzieś tam sześć lat temu, o dziewczętach, ktoremi się rozkoszował — „ach, taka rozkoszna była, taka apetyczna, a jaki miły, miły miała głosik!...“

Stał obok mnie, wyperfumowany, wystrojony od stóp do głów, pełen wyższości i wzgardy, a jego zły język nie milkł wtedy ani na chwilę.

— Hę, ciebie widocznie z cmentarza wypuszczono dziś, babusiu? — mówił do pomarszczonej starowiny o woskowo-żółtej twarzy. Ciężarnej dziewusze kłaniał się ze specjalną uprzejmością: „*Bonjour, messieurs—dames*“! Dla każdego miał jakąś uprzejmość w zapasie. Mimo to nie gniewano się na niego i odpłacano mu tąż monetą. Ostatnie słowo zawsze jednakowoż miał Yann.

— Cha-cha-cha! — Tym swym ogłuszającym śmiechem unicestwiał całkowicie pobitego przeciwnika.

Aliści wkrótce wybiła jego godzina. Począł pokasływać. „Cóż to do stu djabłów, sterczy mi w gardle? Naprzód marsz! Łyknąćby, Hę?!“

Mnie najbardziej spodobały się tańce, tedy zostałem. Stałem i patrzyłem na Rosseherrę.

http://rcin.org.pl

Yann śmiał się.

— No dalibóg, że też to może ci się podobać! Toż to dzikusy!—rzekł pogardliwie.— Ty, bratku, nie myśl, że to są Francuzi! He, he! Cóż znowu. Są to ludzie przedpotopowi, bez wszelkiej kultury i wykształcenia, wymierający. Spojrzyj tylko:—„bumba, bumba!“

Yann śmiał się do rozpuku, by stwierdzić przedemną swój nieporównanie wyższy poziom kultury. A przecież przyszedł był na świat w Roskoffie, nazywano go Yann, i był bretończykiem od stóp do głów, szelma jedna!

— Czy znasz Rosseherrę?—spytałem go.

— Rosseherrę? Naturalnie, że znam! — Yann spojrzał na mnie, ale więcej nic nie rzekł.—Hm!... „Zatem marsz!“ Chciał pewno pić, a w takie chwile nie dopuszczał do żadnej opozycji.

http://rcin.org.pl

V.

Przejść trzeba było całe pięć kroków, ale Yann wymachiwał swą bambusową laseczką, jakgbyby przechadzał się był po lasku Bulońskim.

W Grand Hôtelu było już bardzo huczno. Rybacy wznosili odrętwiałemi rękami szklanki w powietrze, mówili głosami wychodzącymi zda się z beczek i trąb, dobrodusznie potrącali się nawzajem pięściami i wybuchając śmiechem, wylewali na siebie całe fontanny wódki. Panowało wielkie ożywienie, jeden tylko pan Chikel, psia dusza, był nieruchomy. Postanowił sobie nie brać udziału. Zasiadł w kącie, położył na krześle obandażowaną nogę i grał sam w domino z niewidzialnym partnerem. Głowę miał obandażowaną, a z pod bandażu wyglądało jedno małe oczko, niby maleńkie, lśniące zwierzątko w ciemnej klatce.

— Słuchaj, Chikel, wczoraj miałeś obwią-

http://rcin.org.pl

zaną tylko jedną rękę, a dziś jesteś cały obandażowany?

Yann nie rzekł mu nic, tylko stał przed nim i śmiał się bezwstydnie.

— To są następstwa mego złego prowadzenia się—odparł Chikel, lękliwie wzruszając ramionami i słabą, brudną ręką przesuwał kostki domina.

Tu pani Chikel krzyknęła nam z poza szynkwasu, aby temu gałganowi grosza nie dawać do ręki. Tej nocy gałganisko podpiłował deski łóżka i żona spadła na ziemię. „Cóż to za okropna kanalja!".

Pan Chikel zapiszczał jak mysz ze złośliwej radości, ale zauważywszy wymowny gest małżonki, natychmiast znów umilkł.

Tańce miały się ku końcowi, to też goście poczęli napełniać ciasną knajpkę. Prawdziwa uroczystość dopiero teraz zaczęła się. Szynkwas tonął w powodzi wódki, mężczyźni i kobiety krzyczeli, popici. Piszczała kobza, tańczono. Tańczono coś w rodzaju tańca szkockiego, ale cały sens tańca tkwił w tem, by jaknajbardziej tupać nogami. Grand Hôtel huczał niby wnętrze wielkiego bębna, w który warjat wali pałką. Z podłogi podnosiły się całe chmury kurzu.

Rosseherre stała niedaleko ode mnie.
 Zbliżyłem się do niej i zaprosiłem do tańca.

http://rcin.org.pl

Twarz miała pokrytą dziwnym rumieńcem, zda się upudrowaną tłuczoną cegłą. Ze śmiechem spojrzała na mnie. Zęby jej lśniły. Ale nie rzekła nic.

— No, jakże, Rosseherro? Nie chcesz?

Rosseherre potrząsnęła głową i roześmiała się znowu. Była zażenowana.

— Dobrze! — odszedłem i wróciłem do Yanna, postanawiając poczekać na dogodniejszą chwilę do zbliżenia.

Yann bawił się „doskonale". Siedział w rogu, dawał tańczącym kopnięcia w kolano, szczypał kobiety.

I pokładał się przy tem ze śmiechu: Ho! Ho! Ho! Wreszcie ukłół się do krwi w palec o swoją szpilkę do krawata i natychmiast zerwał krawat i kołnierzyk, poczem z wściekłością podeptał te wszystkie atrybuty kultury. Teraz znowu poczuł się człowiekiem i — o dziwo — począł pić dwa razy więcej.

Tu zaszła naraz mała przygoda. Jean Louis, którego nazywano „królem morskim", mały siwy staruszek, naraz bez hałasu runął na podłogę. Wyniesiono go nazewnątrz i położono przed domem.

Rosseherre podeszła do Yanna.

— Dziadek leży przed domem, — odezwała się, nieco zaniepokojona.

Yann roześmiał się.

http://rcin.org.pl

— No, a co dalej? — spytał. — Czy myślisz, że przyjdzie kto i ukradnie go!

Rosseherre uśmiechnęła się.

— Nie! — i uspokoiła się.

Yann wspaniałomyślnie podał jej swą szklankę.

— Jest to mój przyjaciel! — zawołał i wskazał na mnie -- Uściśnij go, a żywo!

To wydało się Rosseherze bardzo zabawnem.

— My znamy się już — rzekłem wyciągając do niej rękę i zaglądając jej w oczy. Tylko że Rosseherre nie chce mnie znać, dumna jest, ot co!

— Dumna? O, ja wcale nie jestem dumną — zawołała Rosseherre śpiewnie, poczem wstydliwie poprawiła czepek.

— A jednak nie chcesz tańczyć ze mną, Rosseherro!

Ta śmiała się.

— Tańcz z nim! Natychmiast masz iść z nim tańczyć, bo jest to mój przyjaciel! — krzyczał Yann. — Tańcz z nim!

Powtórzył to ze sto razy, póki Rosseherre nie zgodziła się.

Dreptałem w kole, jak wszyscy, objąwszy Rosseherrę. Była lekka i szczupła, a jej włosy miękkie łagodnie dotykały mej ręki.

http://rcin.org.pl

— Prawdopodobnie byłaś na wybrzeżu, Rosseherre?

Ach, nie, ona nigdy na wielkim lądzie nie była. Była tylko na wyspie Molen.

— Byłaś dziś w kościele taka piękna, Rosseherro. Jak jaka maleńka Madonna. Bardzo mi się podobałaś, jak Boga kocham! — rzekłem do niej i pociągnąłem ją ku sobie.

Rosseherre nie oponowała. Uśmiechnęła się i szybko spojrzała na mnie.

Na twarzy miała wiele piegów, zwłaszcza pod oczyma. Usta miała pełne i miękkie, usta które się w pocałunku całkiem oddają. Brwi prawie że wcale nie miała. Twarz, pomimo zdumiewających, starczych oczu, była dziecinną, nierozwiniętą. Na nizkiem, upartem czole, ciągnęły się linje licznych zmarszczek jak u wszystkich dziewcząt na wyspie a nawet u dzieci. Albowiem na okrutny blask szerokiego nieba można było patrzeć tylko ze zsuniętemi brwiami!

Powoli popychano nas dalej. Ilekroć przesuwaliśmy się koło Yanna, ten trącał nas swą bambusową trzciną. Aż wreszcie taniec skończył się.

Rosseherre była zgrzana, to też wycierała czoło rękawem. Wyjąłem z kieszeni maleńką niebieską chusteczkę i podałem ją jej.

http://rcin.org.pl

— Jaka prześliczna chusteczka! — zawołała dziewczyna.

Yann zawodowo obmacał tkaninę.

— *Pryma!* — zawołał.

Złożyłem chusteczkę i włożyłem ją do małej smagłej ręki Rosseherry.

— Co?

— Bierz ją, Rosseherro, jeśli chcesz? mnie jest niepotrzebną.

Rosseherre nieufnie spojrzała na mnie.

— Ależ, bierz że, Rosseherro! — zawołał Yann. — Jest to mój przyjaciel!

Rosseherre z wdzięcznością spojrzała na mnie.

— *Merci!* — rzekła cicho i uśmiechnęła się.

Jeszcze raz obejrzała chusteczkę ze wszech stron.

— Gdzieś ją kupił?

— W Paryżu!? — Rosseherre nie mogła tego pojąć. Poczem schyliła się nad moją ręką i poczęła przyglądać się pierścieniom.

— Jakie prześliczne pierścionki, Yann, spojrzyj!

Zdjąłem pierścionki i Rosseherre włożyła je na swe palce. Trzymała je pod światło, aby świeciły się, a oczy jej pełne były wówczas rozkochanej chciwości. Tu jednak Yann uważał za obowiązek wyrazić swe zdanie. Wyjął z kieszeni duży nóż, ostrożnie poskro-

http://rcin.org.pl

bał złoto, podrapał kamienie, poczem poślinił je trochę i potarł o rękaw.

— Prawdziwe! — oświadczył,

Rosseherre była spragniona, chciała pić *cidre*.

— Dobra! *Cidre*, pani gosposiu! A prędzej, do djaska, sześć flaszek!

Yann spróbował go. Powąchał, liznął, rozmieszał językiem nieduży łyk i im bardziej posuwały się naprzód jego studja, tem bardziej tryskała radością jego fizjognomja.

— To ci dopiero *cidre*!...

Rosseherre i ja również musieliśmy powąchać. Yann wymownie zerknął i natychmiast obsypał panią Chikel najdzikszemi wyrzutami. Taki towar i to za takie pieniądze! Pani Chikel chcąc — niechcąc musiała była opuścić z ceny o jedno sou na flaszce. Teraz dopiero Yann był szczęśliwy.

— Ja tak zawsze poczynam sobie, — mówił — przecież oni tu na wyspie sami złodzieje! Nawet księża — i ci — złodzieje. Poczem pokazał mi, jak należy pić *cidre*. Nie łykać, na Boga, tylko nie łykać... tak, ot poprostu... niech samo cieknie w dół! Od łykania *cidre* całkowicie traci swój aromat, swą duszę... A skoroś już wypił, przyciśnij język do podniebienia — och, jak przyjemnie musuje! O, tak!

http://rcin.org.pl

Nagle Yann machnął nogą pod stołem. — Chciałem przekonać się, czy wy oboje pod stołem... nie ten tego! Cha - cha!

Bajecznie spędzaliśmy czas. Poupoul również. Zdawało się, zbudziło się w nim wspomnienie jaśniejszych dni jego. Uśmiechał się. Kilka razy, z wielkim sprytem demonstrował swą sztuczkę, polegającą na tem, że chwytał zębami czyjąś nogę i mocno trzymał ją, nie gryząc.

Czarna Jeanetta stała, uśmiechając się koło nas i patrząc chciwemi oczami, gdyśmy ucztowali.

— Przynieś sobie szklankę, Jeanetto! — krzyknąłem jej.

Tu jednak Rosseherre zaczerwieniła się jak rak.

— Cóż takiego, i ona przecież chciałaby wypić szklankę wina...

Yann rzekł:

— Jest ona wrogiem Rosseherry...

— Ach, tak?

Jeanetta stała tuż obok ze szklanką w ręce. Yann patrzał na nią i uśmiechał się wzgardliwie.

— Zatem przyniosłaś sobie szklankę? — spytał ją drwiąco. — W takim razie odnieś ją sobie z powrotem. Ho! ho! ho!

http://rcin.org.pl

Janetta zdumiona otwarła usta, głośno, serdecznie roześmiała się i odniosła szklankę z powrotem.

Pocieszyła się prędko. Mały marynarz o karku byka objął ją w pół, więc poszła z nim. Koło drzwi obróciła się, uśmiechając się i ukazując zęby.

— Patrzaj — zawołał Yann — wychodzi z nim. I nie wstydzi się wcale!

Knajpa wrzała. Gdyby tu puszczono w ruch nawet młot parowy, to niktby go nie usłyszał. Ha! ha! Ho, ho, ho! Wskutek wrzawy powstawało niekiedy jakieś wyjące drganie i zdawało się niekiedy, że Grand Hôtel wylatuje w powietrze. Ci spokojni, milczący ludzie, pracujący w samotności pośród fal, w huku wichru, wrzeszczeli dziś za cały rok. W kącie stał człowiek, przywarłszy głową ku ścianie, z przymkniętemi oczami. W upojeniu, rozdziawiwszy usta, krzyczał dziko.

W głowach wirowało machano rękami. Oczy na zaognionych twarzach lśniły niby roztopiony ołów. Kobiety piszczały i szalały. Zapanowało odurzenie, już dawno nie widziane w Europie. Tylko pan Chikel siedział w swym kącie i grał w domino.

Wyznać muszę, że czułem się jak w domu. Nie lubię zbyt moralnego towarzystwa. Po-

http://rcin.org.pl

wietrze niekiedy czyni zator w płucach a wtedy sprawia mi taką przyjemność: wrzeszczeć, krzyczeć! Nadmiar sił tkwi w mych mięśniach, gdyż jak kamień twardnieją one nagle i wówczas tak przyjemnie bywa zbić talerz na kawałki. Ot, co! Kiedy w przyzwoitem towarzystwie jakiś idjota nudzi mnie, to obowiązkiem moim jest uśmiechać się do niego, tutaj zaś mogę go odrazu posłać do djabła. Ależ tak! Tu można było upić się ile wlazło, nie narażając się na miano pawiana i nie kładąc między sobą a otoczeniem tamy na tysiąc mil.

Ha! Ha! Ho, ho!

Kedril miał najzupełniejszą podstawę być zadowolonym ze swego wesela. I był też. Owiany oparami winnemi, z oczami upiora, krążył z butelką w ręce, jak wóz do polewania ulic. I nadomiar, ten człowiek mówił zupełnie nowym, nieznanym mi językiem. Czy to duch jakiegoś mieszkańca jaskiniowego owładnął duszą Kedrila i pędził na niej? —

— Cóż, u djabła, on mówi?

Yann wiedział, co mówi Kedril.

— Jest to „księżycowy język“ — oświadczył i począł mówić z Kedrilem w tem narzeczu. Kedril był zachwycony, rozumiał go, odpowiadał. Tylko ja byłem tu cudzoziemcem, i Kedril czuł to.

 — A gdzież jest twoja żona, Kedrilu?

http://rcin.org.pl

— Żona? żona? żona? — Kedril tańczył z flaszką. O, on zupełnie zapomniał...

— Jak ładnie ksiądz mówił dzisiaj, co? — ciągnął dalej. — „Nie upijajcie się do nieprzytomności" — ha, ha, ha! — tak ładnie, tak wzruszająco mówił... Jutro przejedzie tędy „Lady of Ireland", jutro wieczorem. Przyjdziesz? Będzie promenada. Tak, mój drogi rekinku...

Począł bez związku opowiadać o swym rekinie, którego złapał był ubiegłego roku.

— Idzie, widzę, rekinek mój; chodź tu, chodź tu, mój mały, z twemi prześlicznemi zębami, nie bój się, zrób mi ten zaszczyt!

Wyglądało to tak, jakgdyby złapał go rękami, a wyciągnął za zęby — ohyda!

— O, Kedrilu, pierwszy pilocie, łowco rekinów, powiadam ci, bracie mój, że ten rekin, który cię uczynił tak sławnym, stał się też twoją zgubą. Byłeś najporządniejszym na wyspie człowiekiem a teraz oto, schodzisz na psy. Ożeniłeś się, będziesz miał dzieci, hydrocefale, przepijesz swą łódkę, a żona stłucze cię na kwaśne jabłko. Niemasz dla ciebie ratunku!

Kedril był wzruszony tą moją przemową. Objął mnie i ucałował.

— Dzięki ci, przyjacielu, widzę, że pragniesz mego dobra.

Wsunąłem mu ukradkiem do ręki monetę pięciofrankową:

http://rcin.org.pl

— Aby wesoło było na twem weselu, pilocie!

Kedril obmacał drewnianemi palcami monetę i wepchnął flaszkę w wał z pleców ludzkich, otaczających szynkwas.

Uroczystość weszła w nową fazę. Zaznaczył ją brzęk szklanek we wszystkich kątach i wybuchające raz poraz krótkie spory. Wszystkie je gaszono w łzawej czułości. Obie papugi, wniesione do domu, koziołkowały na żerdziach i darły się z natchnieniem.

— A teraz graj! — krzyknął Yann. — Czy masz flet z sobą?

— Naturalnie.

— A zatem zagraj nam cokolwiek!

Wyjąłem flet z kieszeni, zwilżyłem wargi i prędko przebiegłem palcami po otworach. I mój mały flecik zaśpiewał:

„Rozkoszujcie się życiem póki w duszy ogień tli,
No, i zrywaj wonną różę, póki kwitnie, kwitnie ci...“

Ho, ho! Brawo! Bis, bis!

I mój maleńki flecik znowu zaśpiewał:

„Rozkoszujcie się życiem...“

Kobza piszczała, pantofle drewniane stukały.

Znowu ukazała się czarna Jeanetta. Stała razem z młodym rybakiem i patrzała w naszą stronę.

http://rcin.org.pl

— Otóż znowu ona! — pogardliwie rzekł Yann.

I rzeczywiście wcale się nie wstydziła!

Ja zaś wciąż tańczyłem z Rosseherrą.

— Tańczcież no, tańczcież! — krzyczał Yann. I znowu tańczyliśmy. Deptano nas, tłoczono się na nas, mimo to było przyjemnie. Mała pierś Rosseherry tchnęła podnieceniem. Twarz jej rozczerwieniła się od cidre'u. Ile razy przycisnąłem ją ku sobie, spoglądała na mnie i śmiała się. Martyna szarpnęła mnie za rękaw i rzekła: słuchaj! Ja jednak nie zważałem na nią. Było sporo dziewcząt okazujących mi wyraźne zainteresowanie, ale cóż one wszystkie znaczyły wobec Rosseherry? Wszystkie miały duże brzuchy, jakby były w ciąży, tylko Rosseherre nie,—ha!

— Może podaruję ci jeden z moich pierścionków, Rosseherro—szepnąłem jej do ucha.

Jakże ładny był jej maleńki biały czepiec, no i stanik pospinany blisko pół setką kolorowych szpilek.

Tu naraz coś zawirowało w powietrzu, zawirowało i wycięło o moje czoło. Szklanka wina. Rozcięło mi szkło skórę, popłynęła krew. Wyprostowałem się. No, jeśli tu na wyspie panuje zwyczaj rzucania szklankami, to ja nie mam zamiaru poddania się temu zwyczajowi, o nie, merci!

http://rcin.org.pl

— Kto cisnął?!—krzyknąłem.—Rosseherre szarpnęła mię za rękaw i wnet zrozumiałem. To cisnął Yann. Śmiał się, a ja widziałem, jak w jego jasno niebieskich dziecięcych oczach gasła ostatnia iskra gniewu.

Godzina twoja wybiła, mały kapitanie. Teraz już wszyscy kalendarzowi święci nie ocalą cię!

He, he! — śmiał się Yann i odwrócił się.

— Cóż ty, dalibóg! Trzebaż wreszcie przestać tańczyć... He, he, he!

— Ależ on krwawi — rzekła Rosseherre i dała mi chusteczkę, tę, którą jej podarowałem. To mnie momentalnie uspokoiło. Uratowały Yanna łagodzące winę okoliczności— życie tym razem darowane mu zostało. Wrócił mi dobry humor, boć było to wzruszające! Rosseherre stała z chusteczką w ręce. Dusza ma, nad którą dopiero co przebiegł tajfun — rozjaśniła się znowu. — Śmiałem się. Tak jest, z takiego bydlęcia jak ty, Yann, należy tylko śmiać się! Żałowałem go trochę nawet. Popełnił dwie ogromne omyłki strategiczne. Po pierwsze, swym przedwcześnie danym strzałem zdradził mi swoją pozycję, po drugie złożył dowód Rosseherze, że jest zazdrosny. A to była najgorsza z jego omyłek.

 Yann podniósł się i uroczyście położył

http://rcin.org.pl

rękę na sercu. Jego szczere dziecięce oczy wezbrane były łzami.

— Ja tylko trochę chciałem podrzucić, tylko trochę, mój przyjacielu!

Wyciągnąłem doń rękę. I ja miałem łzy w oczach. Objęliśmy się, uścisnęliśmy się jak należy, i sprawa została załatwiona.

Rosseherre w milczeniu stała koło nas, a jej nizkie czoło zebrało się w tysiące drobnych zmarszczek, niby morze, gdy wiatr poczyna dąć.

Wytarłem cidrem zdrapanie i poprosiłem o wino.

No, teraz pełną parą!

— Rosseherro, śmiej się!

Rosseherre uśmiechnęła się.

I znowu wszystko było w porządku.

Wydało mi się, że wypada mi zrewanżować się Kedrilowi za zaproszenie i przyczynić cię czemś niezwykłem do ożywienia uroczystości. Zademonstrowałem tedy publiczności cake-walk. Puściłem się w pląs ze śpiewem kupletów — hang it all.

„Da was no ha'r on de top of his haid
De place whar de ha'r ought to grow!
And he had no teef fo'to eat de hoe-cake
So he had to let de hoe-cake go!
Hang up de fiddle and de bo-oo-ow.

O-o—o-ooch! Cha, cha, cha! Jakiż to był sukces!

http://rcin.org.pl

Poupoul ze szczekaniem biegał naokoło mnie. Obawiał się o mój umysł.

„Take down de shovel and de hoe...

Kedril ze wzruszeniem dziękował mi. Poczem wyjąkał, że pani Chikel nic nie daje na kredyt, to też pozbierałem wszystkie swoje franki... „Nie dziękuj, Kedril, z powodu zwinięcia handlu, składy wyprzedaje się za bezcen".

Uroczystość weszła w nowy, jeszcze bardziej olśniewający okres. Ale Rosseherre nie tańczyła już więcej ze mną.

http://rcin.org.pl

VI.

Jakaż to wielka szkoda, że tak wspaniała, imponująca uroczystość Kedrila zakończyła się tak smutnym dysonansem! Pan Chikel, chodzący szpital, wzburzony swem własnowolnem męczeństwem, wszczął spór z racji jakiegoś głupstwa. Goście zbili się w ciężką fatalną chmurę, ale w tym momencie pani Chikel, jak wicher wypadła z poza szynkwasu. Krew uderzyła jej do głowy, poczem w napadzie wściekłości wszystkich nas powyrzucała za drzwi.

Papugi pobudziły się od hałasu i dalejże drzeć się ze wszech sił: „Złodziej! Drań! Złodziej, drań!“

Tak skończył się weselny dzień pana Kedrila.

Śmiałem się jeszcze w drodze do domu. Szczekałem ze śmiechu, ponieważ zupełnie ochrypłem. Ho! ho! Trza było widzieć, jak wszyscy wypadliśmy przez drzwi i toczyliśmy się po polu! Kedril toczył się z butelką, którą

http://rcin.org.pl

wysoko trzymał w powietrzu! Yann, Yann — a tyś gdzieżeś tak nagle przepadł? Była to nie nudna zblazowana Europa, byli to ludzie okresu kamiennego, którzy wszystko stawiali na ostrzu noża. Tak długo, szalenie śmiałem się, że sił już nie miałem do stania na nogach. Pełzałem tedy na czworakach, a ponieważ nadomiar tego jeszcze szczekałem, tedy Poupoul wziął mię za stworzenie podobne do niego. Skakał jak zwarjowany dokoła mnie a niekiedy lizał mi twarz. Przysiadłem i słuchałem. Z tyłu poza mną huczała wieś. Powoli cichła wrzawa. Noc była czarna, jak szyb węglowy. Creach wyglądał jak płonący upiór, z którego wszystkich pór tryskał prąd ognia.

Naraz Poupoul zatrzymał się. Stanął na tylnych łapach, położył przednie na me ramiona i zaszczekał. Objąłem go i pocałowałem. „Poupoul, duszo moja, wszak obaj jesteśmy psami!“

Poupoul liznął mi twarz, z dołu ku górze, lecz nie ruszał się z miejsca. Wówczas zauważyłem, że stoimy nad przepaścią. Był to wąwóz, który rybacy nazywali: wąwozem Poupona.

Czoło me ścięło się lodem. Mlasnąłem językiem i począłem myśleć z wytężeniem. Długo myślałem. O, tak! Pocóż mam, właściwie mówiąc, pełzać na czworakach? Oto

http://rcin.org.pl

o czem myślałem. Wstałem. Tu jednak wyspa usunęła się z pod moich nóg, jak płyta obrotowa, i znowu przemieniłem się w stworzenie czworonożne. Na to nie było rady. Nie dość, widocznie, oceniłem moc napojów Chikela, ot i wszystko. A zresztą, czyliż przodkowie moi nie chadzali również na czworakach, gdy jeszcze gwoli wygodzie nosili włosy? Być może udałoby mi się przy pewnej pro pagandzie znowu wprowadzić w modę ten sposób poruszania się.. Ludzie przecież są za wszelką nowością. Prawda? En route, Poupoul!

Kiedy przechodziłem koło mnicha, który wciąż stał i pouczał saurusy, to ogarnęło mię wzruszenie duchowe. Rzekłem: „Z uwielbieniem, na klęczkach, zbliżam się do Waszej Przewielebności!"

Ale mnich machnął ręką i powalił mię na ziemię. Długo leżałem bez ruchu. Poupoul czynił rozpaczliwe wysiłki przywrócenia mię życiu.

Ileż czasu minęło, Poupoul, zanim dostaliśmy się do domu? W końcu jednak znalazłem się w łóżku. Naraz wtargnął jeden z saurusów, włóczących się po pustkowiu, pochwycił trąbą łóżko i podrzucił je wysoko w powietrze. Łóżko zawirowało, zatańczyło i gruchnęło o podłogę. Obudziłem się. Ale tu ze świ-

http://rcin.org.pl

stem wpadła ognisto-czerwona kometa i pękła tuż przed moją twarzą. He - he - he! Dwa tysiące świerszczy tkwiło mi w głowie i trzeszczało przeraźliwie: daj mi—daj mi—melodja ta zwolna wciągnęła mię w koło, i usnąłem.

Ale nie znajdowałem spokoju. Krew wrzała we mnie. Pot strumieniem spływał mi z twarzy. Wstałem. Drzwi były otwarte. Było przewiewnie. Na Boga! Noc była jak chłodne płócienne prześcieradło. Wyszedłem i poczułem, że głowa moja staje się świeższą, rozjaśnia się... Na ziemi leżało grube jak śnieg, światło księżycowe, a między trawami, przebłyskiwały cieniutkie, srebrne nitki pajęcze, znikające przy zbliżaniu się do nich. Zeszedłem na dół, ku morzu

Morze roztaczało się niby roztopione srebro, drżące migotliwe, w pobliżu jednak było czarne i gładkie jak smoła. Oddychało ostrożnie i cicho jak złodziej w zasadzce, a przy każdym ukradkowym oddechu wiła się na piasku srebrna żmija. Podeszwy płonęły mi. Wszedłem do wody; nogi me przebierały lśniące srebro. Srebro podniosło mi się do piersi, do brody, ach, poczem sięgnęło mych powiek i zwarło się nade mną. Teraz dokoła mnie było ciemno, lecz ja sam lśniłem od stóp do głowy. Niby majaczący upiór poruszałem się w czarnem morzu. Z pod nóg mych wy-

http://rcin.org.pl

latywały srebrne perły. Siałem, siałem dokoła siebie srebro, podniosłem cały deszcz maleńkich srebrnych kropelek, szybko wylatujących w górę. Wzniosłem oczy. Srebro leżało na górze grubą warstwą.—Ciężkie kule srebrne, podnoszące się od mych kroków, momentalnie wzbijały się w górę i zlewały z powierzchnią.

— Jest to blask księżycowy na morzu,— rzekłem sobie i udałem się dalej. Cudownie było chodzić po dnie morza!

Czy huczno było przedtem? Nie. Ale teraz było ciszej, o, tysiąc razy ciszej. Jakaż cisza! Zatrzymywałem się i wsłuchiwałem. Cisza ta wzruszała mnie. Stałem na dnie morza ze spuszczoną głową, słuchałem i byłem szczęśliwy.

— To Nirwana! — rzekłem i pochyliłem głowę.—Oto jak daleko zaszliśmy...

I szedłem dalej z uśmiechem na ustach. Ciągnęły się bezkresne duny, piasek, piasek; moje nogi tonęły w piasku. Morze było ciemno zielone, niby lasy dziewicze, do których nigdy nie przedostaje się słońce. Poczem przeszedłem przez las wysokich, widmowych, lodowych kwiatów. Wyglądały niby blade, nieruchome ognie. Naraz zaszeleściły przedemną, rozstąpiły się i zaświeciły dwa wielkie okna. Coś trzeszczało, obracało się i wtedy

http://rcin.org.pl

ujrzałem. że owe duże okrągłe okna były oczami jakiejś potwornej ryby, z ciekawością przyglądającej mi się i poruszającej szczękami tam i z powrotem. He! He! Psztyknąłem palcami. Potwór rozczapierzył tylne płetwy, poruszył się i cofnął w tył.

Skończył się las lodowych kwiatów i znowu oto stałem przed nieskończoną piaszczystą pustynią.

Szukałem czegoś. Ale, na Boga, czego ja tam szukałem? Naraz natknąłem się na coś twardego. Była to nieduża okrętowa armata, leżała na piasku. Pokryta była grubą warstwą rdzy zielonej. Stuknąłem, patrzę — całe kawałki odpadają. Poszedłem dalej. Czegoż szukałem tu? Potrząsnąłem głową, nie wiedziałem, czego szukałem. W piasku leżała mała martwa ryba. Długo patrzyłem na nią. Leżała tak tajemniczo, a jej biała łuska zda się mówiła, że ona tu długo, nazbyt długo czekała na mnie. Wykopałem mały dołek, złożyłem w nim rybę jak należy i zasypałem piachem. Nad jej małą mogiłką położyłem muszlę. Wszystko musi być podług jakiegoś porządku.

Znowu poszedłem dalej, Ogarnęła mię trwoga. Rozglądałem się, patrzałem do góry. Dokoła było czarne, bezkresne morze. I naraz zdjął mię rozpaczliwy lęk — ja, jako małe

http://rcin.org.pl

ziarnko piachu błąkałem się głęboko w ogromnem morzu, i nie wiedziałem czemu. Rzuciłem się do ucieczki, zgroza ścigała mnie. Pędziłem naprzód wyciągnąwszy ręce, z rozwianemi z przerażenia włosami; krzyczałem.

Aż naraz umilkłem ze zdumienia, i serce moje ucichło. Przedemną leżał kadłub statku, zielonawo-szary jak samo morze.

Był to stary, brzuchaty, handlowy statek, wysokości domu, z całym szeregiem czworokątnych okienek, niezgrabnych urządzeń pokładowych i roztrzaskanych masztów. Pokryty był od góry do dołu obślizgłą gliną a ze wszystkich stron zwisały zeń zielone brody z mchu. Z ciekawością obejrzałem go. Na jego czubie sterczała drewniana figura a z boku był napis: „Marja. A. D. 1730“.

Nagle ujrzałem u góry szarą figurkę, która przegiąwszy się przez burtę, krzyknęła mi: Hallo! I tyś tu, stary szakalu?

I człowiek ten roześmiał się.

Poznałem go po śmiechu. Był to Kerhuel, rybak, który utonął przed kilkoma tygodniami razem z dwoma innymi rybakami.

— Acha, Kerhuel, to ty jesteś?

— Pójdź na pokład! Czy masz z sobą tytuń? Tu oto masz drabinkę, baczność!

W dół spuszczono drabinkę linową. Wpadłem w silne podniecenie.

http://rcin.org.pl

— Mam przy sobie tytuń, Kerhuelu! — krzyknąłem i szybko wdarłem się na górę wzdłuż śliskiej ściany statku.

— Naprzód! — skomenderował Kerhuel — wszyscy są tutaj: Leman, Bec, cała nasza banda. Rosseherre już dawno tu oczekuje na ciebie.

Rosseherre! Ach, przecież ja wyszedłem po to, aby znaleźć Rosseherrę! Ach jak głupio — dopiero teraz przypomniałem sobie to. „Masz szukać Rosseherrę“, mówiłem sobie gdy wstępowałem do morza.

— Hallo! — ryczał Kerhuel, przystawiwszy ręce do ust. — Gospodarzu! Nowy przyszedł! Hallo! Rosseherro, przyszedł tu gość weselny.

Ze wszech stron poczęły się wynurzać z otworów w ścianie statku dzikie rozwichrzone głowy.

Przede mną stała piramida siwych włosów. Był to gospodarz. Włosy jego głowy, brwi i brody, spadały niby mech, aż do samego pokładu. Wąsy mu drżały, broda rozwiewała się.

— Witam, witam, na dnie morskiem, — odezwał się i zamknął usta, ale ja nie odrazu skombinowałem, co on mówi:

Setki rąk wyciągnęły się ku mnie na po-
 witanie, setki ciekawych, promiennych dzie-

http://rcin.org.pl

cięcą radością twarzy otaczało mnie. Wszyscy mieli jasne, szeroko otwarte oczy, a włosy, niby mokre wodorośle wisiały wzdłuż ich trupich twarzy.

— Witam, witam na dnie morskiem...

Poznałem Lemana. Trzymał w ustach, jako zawsze, krótki mundsztuk gipsowej fajki; poznałem i Beca z zajęczą wargą. Hallo! Dwaj rybacy, ojciec i syn, których nigdy nie widziałem, trzęśli mi mocno rękę.

— To ojciec Rosseherry, a to twój szwagier, uściśnij ich! — wołał Kerhuel.

— Rosseherre jest tutaj! — rzekli ojciec i syn i pocałowali mnie w oba policzki.

Przyjmowali mnie tu wybornie — poczułem się jak w domu. Naraz na moje ramię spadła ręka; obróciłem się momentalnie. Była to Rosseherre! Patrzała na mnie i śmiała się, zda się kryjąc się, ale wreszcie została znaleziona.

— A tyś mimo wszystko znalazł drogę? — pytała. — Gdzie są pierścienie?

Nie odpowiadałem jej. Biegłem przez lasy wodorostów, przez pustynie, góry pokryte korzeniami i oto znalazła się przy mnie. Krzyknąłem dziko, chwyciłem ją, podniosłem wysoko nad głową, i rzuciłem się do ucieczki. Szybko wdarłem się po wązkiej drabince na górny pokład, a ominąwszy stosy lin, spuści-

http://rcin.org.pl

łem się w dół, na przedni pokład. Pędziłem jak warjat, a za mną biegła dzika kompanja. Rosseherre mocno uczepiła się za me włosy i wołała głośno, radośnie. Skoczyłem wraz z nią do otworu w ścianie statku, z szybkością błyskawicy zbiegłem po stromych stopniach w dół i pobiegłem wązkiem przejściem. Przed nami mknął rój wylęknionych rybek. Dzika pogoń wyła wściekle za nami, dolatywał głuchy wrzask. Pędziłem z Rosseherrą na rękach przez labirynt przejść i pokoi, aż wreszcie znalazłem się w dużej sali.

Wyjścia stąd nie było. Z niesłychaną wrzawą wtargnęła za mną pogoń. Brakło mi tchu.

— Wesele! Wesele! — krzyczeli, podrzucając w górę czapki i otaczając nas.

— Może cofniecie się trochę? — spytałem, śmiejąc się, i wytarłem pot z twarzy.

Nie, cofnąć się nie chcieli. „Zedrzeć z nich ubranie, ho, ho!“ — Krzyczeli i napierali na nas. Stali dokoła, zbici ściśle, sto ciekawych bladych twarzy z mokremi włosami i jasnemi szklannemi oczami. Chcieli wszystko widzieć...

http://rcin.org.pl

VII.

Obudziłem się przy żałosnem beczeniu barana. Drzwi były otwarte, a do pokoju wpadało słońce. Lizało ono mój czarny piec. Było po południu. Zerwałem się. Wszedł Poupoul, by być obecnym przy mem wstawaniu. Wstydziłem się go trochę. Zerknąłem zagniewany na niego. Ale jego szacunek i oddanie mi bynajmniej nie zmniejszyły się. Zeszedłem na dół ku morzu, i pływałem tak długo, dopóki nie poczułem zimna lodowego w kościach: znów oto byłem czerstwym i wesołym. Tej nocy doszedłem do jednej z najgłębszych nizin swego bytu — a teraz wszystko znowu pójdzie stopniowo w górę, coraz wyżej, wyżej. Bóg raczy wiedzieć, jak wysoko...

Dzień był prześliczny i dodawał odwagi. Morze było gładkie, jak zwierciadło, a błękitne, jak jedwab. Niebo całkiem bez chmurki, przedziwne, ciemno-niebieskiego koloru. Drgało, a niekiedy było przejrzyste, jak kryształ:

http://rcin.org.pl

to mknęły tam prądy powietrzne. Ale nad wyspą dął ledwo uchwytny wietrzyk i rozsuwał po morzu wielki błękitno-stalowy wachlarz, to rozkładający się, to składający. W oddali drgał cały rój świecących się żagli. Rybacy, wczoraj potaczający się po pijanemu przed Grand Hotelem, dzisiaj byli przy pracy. Zapadł wieczór, niebo przybrało kolor zielony. Morze stało się czerwone jak wino, a lekki wietrzyk tchnął nań, pstrząc metalicznie zielonemi frendzlowatemi plamami.

Małe żagle popłynęły z powrotem do zatoki i zblakły.

Poszedłem do przystani i usiadłem w łódce Kedrila. Skoro zciemniało, podnieśliśmy żagle. Sunęliśmy niepostrzeżenie, bezszelestnie, niby wielki ptak, lecz dopiero w godzinę potem ogromna zatoka pozostała poza nami. Jasno świecił sierp księżyca. Na niebie skrzyły się wielkie gwiazdy, małych nie było tam widać. Nad nami były tysiące pięter przestrzeni. Sierp księżyca unosił się głęboko w morzu, a wielkie gwiazdy świeciły nam z głębin. Między górą a dołem leżało cienkie szkło a myśmy ślizgali się po tem szkle.

Wspaniała cisza nocy owionęła nas milczeniem, to też każdy z nas pogrążył się w swych myślach. Na samem południu, na horyzoncie prawie w morzu, niby płynący ogień, migotała

http://rcin.org.pl

promienista gwiazda. Słała ona ku mnie szeleszczące promienie — mówiła ze mną Wy, istoty, grzejące się przy tym ogniu — jak nazywacie to ciało niebieskie? Hala? I czy ja błądziłem kiedyś pod promieniami Hali, czy w mem dalekiem błąkaniu się sądzone mi było przejść pod niemi?

Ty, wielki duchu nad wodami, pozwól mi kiedyś być pod promieniami Hali, przesiedlij mą duszę w bizuny i wyjce małpie, — jest mi to obojętne — lecz nie daj jej umrzeć!

Kedril kichnął. Kedril, bezbożniku jeden, czemu ty kichasz w tak niestosownej chwili, mieszasz ohydę swego ciała z kadzidłem wonnem, które ślę w górę ku czci wielkiego ducha?...

Zatrzymaliśmy się, oczekując Lady of Ireland z Queenstown. W oddali Creach miotał w mrok nocy swoje śmigi świetlne, a co siedm sekund dwukrotnie oślepiał nas jego płomień. Wówczas zdawało się, żeśmy się oddalili na setki kroków. Patrzyliśmy w żarzącą się soczewę i — ślepliśmy.

Woda biła o łódź, a zwierciadlane odbicie sierpa księżycowego wykrzywiało się i niekiedy rozpadało na kawałki i strzępy. Wielkie gwiazdy błyszczały w głębinie niby olbrzymie brylanty, niekiedy rozsypywały się w rój drżących iskier, które natychmiast na nowo zlewały się z sobą. Patrzałem poprzez ledwie

http://rcin.org.pl

widoczny cień mego ciała, w czarną błyszczącą smołę. Niekiedy unosiła się jakgdyby oddychała. Morze w głębinach swych wygląda wrogo i strasznie. Zdawało się, że spuszczamy się na dół, coraz głębiej, głębiej; dokoła ciemno i miękko, a nogi wciąż jeszcze nie dotykają dna. Naraz przypomniałem sobie sen, który miałem ubiegłej nocy: tam, w dole świętowałem weselisko z Rosseherrą... Zaśmiałem się cicho.

— Czy widzisz światło? — pyta Kedril.

Wyostrzonym wzrokiem wpatrzyłem się w dal. Na horyzoncie błyszczał czerwony punkt, sto razy mniejszy od tlejącego ogarka w ciemnym pokoju.

— Masz djablo ostry wzrok, pilocie!

Lady of Ireland z szumem zbliżała się.

Dźwięk dzwonu na pomostku wyraźnie przeleciał w zmroku. Dwa cienie pochyliły się w dół. Kedril wszedł na pokład.

Zamieniliśmy kilka słów z cieniami na górze. Głosy ludzkie tak dziwnie brzmią w nocy na morzu! Byliśmy podobni do widm.

http://rcin.org.pl

VIII.

Stało się to, co przewidziałem. Pewnego pochmurnego dnia pod moim domem rozległo się tupanie, jakgdyby młody koń przemknął mimo galopem, a kiedy otwarłem drzwi, ujrzałem na polu dziewczynę w białym czepku. Prowadziła na postronku dwa czarne barany.

Widziałem, stojąc na progu, jej zęby. Śmiała się. Wiatr trzepotał jej spódnicą. Zdawało się, że wiatr ten przywiał ją ku mnie.

— Ty tu mieszkasz?! — krzyknęła mi, a wiatr poniósł jej słowa. Głos jej wydał mi się dalekim i cienkim, jak nitka.

— Tak tutaj, alboż tego nie wiedziałaś? Dokąd idziesz?

Rosseherre zakręciła się i zaśmiała.

— Ciągnę swe barany do domu.

— Co mówisz?

— Ciągnę barany do domu.

Podszedłem bliżej.

http://rcin.org.pl

— Co porabiałaś po weselu Kedrila? Co słychać nowego?

Poszliśmy obok siebie, walcząc z wiatrem. Rosseherre patrzyła na mnie poprzez sieć swych rozwianych złotych włosów i śmiała się.

— Yann o mało że nie pobił mię ze złości za to, że tańczyłam z tobą.

— Yann? Ależ przecie on sam mówił, byś ze mną tańczyła.

— Za to, że ty *tak* ze mną tańczyłeś...

— *Tak?* A jakżeż inaczej miałem z tobą tańczyć? Z dziewczyną zawsze *tak* się tańczy.

Rosseherre przyznała to.

— Yann zawsze jest w złym humorze — ciągnęła dalej, paplając. — Chce abym wyszła za niego. Ale Jean Louis nie daje na to zgody. A bez tego nic nie będzie. Dziadek mówi, że jeszcze jestem zbyt młoda.

— A tobie prawdopodobnie, nie spieszy się?

Rosseherre zaprzeczyła głową.

— O, nie! Gdy wyjdę za niego, pocznie pić i będzie bić mnie. Wszyscy oni tak robią.

— Nie. Yann ma dobre serce.

Rosseherre skinęła głową.

— Owszem serce ma dobre, ale mimo wszystko jest to marynarz.

http://rcin.org.pl

Rosseherre poczęła naraz opowiadać tysiące drobiazgów, których słuchałem z przyjemnością. Jej wysoki dziecięcy głosik wznosił się, zniżał, a wietrzyk zwiewał go. Rozwiewała się cała, jak chorągiew. Maleńkie, okrągłe pięty co krok to wypadały z drewnianych trzewików. Oczy miała zmrużone i patrzące prosto na wiatr, niby oczy mewy. Nawet rzęsy jej nie drgały, kiedy zimne jak lód krople deszczu biły ją w twarz.

Smagłaś jest jako ziemia, Roseherro, włosy twe żółte jako kwiaty stepowe, a całaś jest stworzona z wiatru, soli i deszczu!

Chodziliśmy tam i sam po brzegu. Wszędzie leżały zwietrzałe głazy kamienne i kupy wodorostów. Słychać było jeno żałosne beczenie przywiązanych do kołków baranów i gdzieś tam przenikliwy krzyk mewy. Na drodze stała głodna czarna krowa, i ryczała melancholijnie, gdyśmy ją mijali. Nie była większa od cielaka, była to krowa-karzełek. Inne, nieliczne krowy na tej wyspie nie były też większe od niej. Nawet zwierzęta robiły tu tylko to, co było niezbędne. Kury składały miniaturowe gołębie jaja. Na ziemi drżały na niskich łodygach maleńkie kwiaty. Wiatr nie dawał im wyrosnąć wysoko. A ponieważ bały się one wiatrów północy, tedy rosły tylko na południowych zbo-

http://rcin.org.pl

czach wałów ziemnych. Tu tuliły się główkami ku ziemi i marzły. Każdy raz, gdyśmy wychodzili z wąwozu na otwarte morze, widzieliśmy posępne, dymiące się morze i spienione skały. Północna część wyspy była osłonięta mgłą, która powoli przysuwała się coraz bliżej.

Rosseherre nie miała już nic więcej do opowiadania, opowiedziałem jej tedy, co działo się ze mną na dnie morza. Wplotłem mnóstwo okropnych awantur z rekinami i polipami, aby zająć jej wyobraźnię.

Rosseherre naraz zatrzęsła się i lękliwie spojrzała na mnie. Oczy miała zielone, jak piana morska.

— Czy widziałeś mego ojca i brata? — przerwała mi.

— To mi się tylko przyśniło, Rosseherro!

Oczy Rosseherry zaświeciły się w uniesieniu!

— Obadwaj utonęli, — rzekła cicho i wskazała ręką przez pole. — Tam. — Czoło jej zachmurzyło się wrogo, i w tym momencie wydała mi się tak niezwykłą i starszą o wiele. Poczem potrząsnęła głową i poszła dalej.

— I cóż oni rzekli?

— Rosseherre jest tu. Nic więcej.

Rosseherre uśmiechnęła się.

— I więcej nic nie powiedzieli?

— Nie.

http://rcin.org.pl

I opowiedziałem jej, jak stali dokoła i wyli. I to co z nią zrobiłem. Rosseherre spojrzała dużemi zdziwionemi, śmiejącemi się oczami i wybuchła głośnym, dziecinnym śmiechem.

— A to ci sen — cha, cha, cha! I jak może człowiekowi przyśnić się taki sen?

— Rzeczywiście. I cóż ty na to, Rosseherro — rzekłem i objąłem ręką jej talję. — Jakie głupstwo, nieprawdaż?

Rosseherre obejrzała się i próbowała się uwolnić.

— Jeszcze kto zobaczy..

— To i cóż?

Ze zdziwieniem spojrzała na mnie.

— Yann zabije cię wtedy.

— Cha! cha! Zaśmiałem się. — To i cóż? Byłem zupełnie pijany jej bliskością. Czułem przez stanik ciepło jej ciała i małe, cienkie żebra. Włosy jej biły mnie po twarzy. Po smagłym policzku toczyła się kropla deszczu. Właśnie w to miejsce, gdzie spływała kropla deszczowa, pocałowałem ją. Policzek miała chłodny, jak lód.

— O, jakiś ty niedobry! — zawołała, zarumieniwszy się na twarzy.

— Cóż mam robić, skoro mi się podobasz, Rosseherro?

Roześmiała się i poszła naprzód, dzielnie walcząc z wiatrem.

http://rcin.org.pl

— Ty i Jeanettę całowałeś!

— Jeanettę? Tę czarną Jeanettę?

— Tak. Mówiła to. I powiadają ludzie, że bywasz u Marciny, a raz w nocy widziano cię w Stiffie, koło domu wdowy Bec...

Masz ci! Nietęgą, jak widać, miałem reputację...

— Cha, cha, cha! Rosseherro, Rosseherro. A to ci ludzie napletli! A więcej już nic nie mówiono?

Mgła była blisko przed nami. Pełzła po polu wielkiemi kręgami i w pewnym momencie osłoniła nas. Przestałem widzieć postronek w rękach Rosseherry, małe zaś baranki wlokły się za nami, szare, bezkształtne. Mgła osiadała na ich szerści.

Naraz w powietrzu rozbrzmiał ogłuszający ryk, zda się zaryczał olbrzymi, żelazny byk, wielki jak dom, aż oboje drgnęliśmy. Głos ten wyrwał otwór w przestrzeni, rurę, przez którą ryk potoczył się dalej, na morze, zda się olbrzymia hucząca kula, i oddalał się coraz dalej i dalej. I znowu żelazny byk wznowił swój ryk, aż ziemia drżała.

— Teraz nikt nas więcej nie widzi! — rzekłem i począłem całować jej zimne policzki; jej wilgotne włosy wpadły mi do ust.

 Rosseherre już nie oponowała. Śmiała

http://rcin.org.pl

się, jakgdyby to, że całowałem ją, wydawało jej się wielce zabawnem.

— Jeśli ci się tak podobają moje pierścionki, Rosseherro — rzekłem — to możesz je otrzymać. Przyjdź do mnie, to ci je wyniosę. Nie potrzebujesz nawet wstępować do mego domu.

— A ty dlaczego chcesz mi podarować pierścionki? — pytała Rosseherre.

— Dlatego, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną na wyspie. — Przyjdziesz?

Rosseherre spojrzała na mnie. — Cha — cha — cha!

— Dlaczego miałabym nie przyjść? — rzekła zdziwiona. — Tylko z Jeanettą więcej nie wdawaj się, słyszysz? Nienawidzę jej! I Yann nic nie powinien wiedzieć.

— Yann nigdy nic się nie dowie.

— A teraz, do widzenia! — Rosseherre pobiegła. Przebiegłszy kilka kroków, znowu zatrzymała się: — Dis donc! — krzyknęła poprzez mgłę. — Czy możesz mi pożyczyć dwa sou?

Pożyczyłem jej dwa sou.

Przez całą noc huczał z Creacha róg bezpieczeństwa. Co każde trzy minuty jego ryk dwukrotnie wstrząsał mym domem. A w przerwach ustalała się tak tłocząca cisza, jakgdyby wszystko wsłuchiwało się — i morze — i skały — i ludzie na statkach. Pochylali

http://rcin.org.pl

się przez mosty, wytężali uszy, liczyli minuty a serca w nich biły silnie.

Siedziałem przed słabym ogniem, paliłem fajkę i myślałem o tem co powiem Rosseherze, gdy przyjdzie.

„Słuchaj, Rosseherro, mała słodka madonno — rzekłbym jej — siądź, cały czas czekałem na ciebie — i serce moje jest pełne radości, że cię widzi...“

Słuchałem. Statek zahuczał. Gdzieś bardzo daleko. Huczał trwożnie, niepewnie, i zda się omackiem, ostrożnie, krok za krokiem, torował sobie drogę. Mgła sączyła się poprzez szczeliny drzew jak dym. Dorzuciłem drew do ognia.

— Wszystko to nonsens! — zawołałem na głos. — Całkiem inaczej mówić z nią będę. Będę mówić tak, jak się mówi z rybaczką — i basta!

http://rcin.org.pl

IX.

Ale gdy Rosseherre przyszła, nie powiedziałem jej nic.

— Ach, to ty?

— Tak, to ja, — odpowiedziała, ukazując zęby.

— Nie zajdziesz do mnie?

Ta z ciekawością zajrzała przez drzwi.

— Ach, nie, nie! Słońce tak pięknie świeci...

I oto Rosseherre, kwiatuszek wyspy, siedziała na kamieniu przed mym domem, i robiła grubą białą pończochę. Drzewaki zwisały z jej nóg; niekiedy odgarniała z twarzy pasmo włosów. Paplała, a jej świeże szesnastoletnie usta nie zamykały się ani na moment.

Paliłem papierosa i patrzałem na jej prędkie, smagłe ręce z jasnemi paznogciami i na druty pończoszane, uderzające jeden o drugi, niby wiązka masztów stojących na kotwicy łodzi rybackich, na morzu wzburzonem.

Nieco w dali stały dwa czarne jak djabły,

http://rcin.org.pl

barany Rosseherry. Wicher igrał ich szerścią. Mogły były całemi godzinami, niby zahypnotyzowane, patrzeć w znieruchomieniu na nas, na te cudowne zwierzęta, a w ich bursztynowych, o czarnej szparce oczach jarzył się jasny lęk i szacunek. Od czasu do czasu poparskiwały łagodnie wielbłądziemi pyskami i lękliwie cofały się w tył, ponieważ bały się wszystkiego — wiatru, owadów a nawet przedmiotów, których my, ludzie, nie widzimy. Kiedy Poupoul przeciągał się lub poziewał, to barany, poszalałe z przerażenia, rzucały się dokoła swego słupa. Wydawał im się, zapewnie, strasznym, olbrzymim niedźwiedziem, zdolnym połknąć je ze skórą i włosami, bynajmniej nie nasyciwszy się niemi. Poczem znowu stały nieruchomo na cienkich, kształtnych nogach, raczej na paluszkach i trwożnie, z ciękawością spoglądały na nas.

Po morzu płynął parostatek. Maleńkie flagi wznosiły się po linach ku górze. Statek rozmawiał z naszym semaforem: wytężyłem wzrok i patrzyłem w dal: tam oto jakiś rybak, wiosłował rozpaczliwie w swej małej łódeczce, w obawie przed zdruzgotaniem. Nie, była to tylko czarna skała, nic innego — ja wciąż jeszcze myliłem się. Fale toczyły się obok,
 bez kresu, wciąż nowe i wciąż te same.

http://rcin.org.pl

Z morza dźwignęła się biała łapa i uderzyła w skały.

Ciepło było, brzęczały owady. Ostatniemi dniami przed willą „Burza“ zakwitły kwiatuszki, których jeszcze nigdzie nie widziałem. Przypominały mi one maleńkie kręcone świece woskowe, dokoła których trzepotały małe kwiatuszki, woskowe dzwoneczki. Dobrze nam tu było i tak wspaniale niebieski był dym mojej fajki!

Rosseherre końcami palcy nóg bujała swe drewniane trzewiki i nuciła półgłosem. Piosnka jej brzmiała, ni to jako cichy płacz wiatru, ni to jako ćwierkotanie małych ptaszyn, mieszkających na wyspie i śpiewających zawsze cicho i nieśmiało, jakgdyby szkoda było na to zachodu.

— Może mi powiesz, co śpiewasz, Rosseherro?

Rosseherre długo myślała, poczem zanuciła półgłosem strofę, najprzód po bretońsku, później po francusku. Wahała się.

— O—rzekła—tego po francusku nie można wyrazić—brzmi tak jakoś nieskładnie!

— A jaka treść?

— To jedna dziewczyna rybacka, która wstępuje do klasztoru. Odwiedza ją rybak i stuka do okna. „Otwórz, otwórz!“ — mówi.

http://rcin.org.pl

Spojrzyj do okna. Wyciągnij tylko rękę, włożę w nią jabłko i gruszkę".

Znała jedną maleńką, smutną piosnkę, którą często śpiewała, i której dotąd nie zapomniałem. Dość by powiał cichy wietrzyk, aby piosnka wnet rozdźwięczała w mych uszach. Albowiem piosnka i wiatr — jest to jedno i to samo. Dziewczyna chce wyjść za rybaka, ale kobiety powiadają jej: nie czyń tego. Nic oprócz smutku nie przyniesie ci to, dziecko; on umrze, a ty zostaniesz sama jedna. A może tak nie będzie?—odpowiada ona, i wychodzi za niego. Rybak odjeżdża na długie miesiące do St. Pierre, na połów stokfiszów. I oto nastaje okropna noc. Ach, jakaż dzika, jakaż ciemna!... Naraz — stuk, stuk, do okna rybaczki. „Otwórz, to jestem ja, twój mąż ukochany". Ta otwiera okno. On stoi przed nią i trzyma w rękach swe serce. Ta wydaje krzyk, łka i biegnie do sąsiadów: mój ukochany mąż umarł...

— I ty sądzisz, że on istotnie umarł?

Rosseherre spojrzała na mnie zdumionemi oczami i nic nie odparła.

Ale najwięcej spodobała mi się pieśń, którą rybaczki śpiewają swym dzieciom.

Skoro tylko Rosseherre poczynała ją śpiewać, uśmiechałem się mimowoli.

http://rcin.org.pl

Rosseherre nuciła:

Rybaczka gotuje kaszę i mówi: „Ach, jakże pragnęłabym wiedzieć, gdzie jest mój dobry mąż! Cały już rok nie miałam od niego wieści".

A w piecu siedzi gnom i przedrzeźnia ją·

Ale Rosseherre nie mówiła „gnom", mówiła „lutin", i brzmiało to zupełnie inaczej· Lutin, lutin. I głos tego lutina śpiewała wysoko i piskliwie.

Lutin siedzi w kominku i przedrzeźnia ją: „Ach, jakże pragnęłabym wiedzieć, gdzie jest mój miły, dobry mąż! Już cały rok nie miałam od niego wieści."

Rybaczka wzdycha i mówi: „Ach, miły mój mężu, przyjdź, pomóż mi!"

Lutin naśladuje ją: „Ach, miły mój mężu przyjdź, pomóż mi!"

Rybaczka mówi: „Ach, miły mężu, lutin siedzi w kominku i przedrzeźnia mnie".

A lutin przedrzeźnia: „Ach, mój miły mężu, lutin siedzi w piecu i przedrzeźnia mnie".

Rybaczka mówi: „Lutin, lutin, ja się ciebie nie boję".

Lutin przedrzeźnia: „Lutin, lutin, ja się ciebie nie boję!"

Rybaczka mówi: „Ach, luby mężu, pomóż mi, lutin mi wrzucił czarny kamień do kaszy!"

http://rcin.org.pl

Lutin przedrzeźnia: „Ach, miły mężu, pomóż mi, lutin mi wrzucił czarny kamień do kaszy...“

W tym miejscu głos Rosseherry brzmiał przenikliwe i drwiąco. Śmiałem się i ja.

— Chciałbym poznać tę piosnkę po bretońsku, — rzekłem jej raz. — Czy nie chciałabyś mi jej zanotować?

— Owszem.

— Pójdź do mnie

Rosseherre spojrzała na mnie pogodnemi wymownemi oczami i pokręciła żółtą głową

„Nie?“ Rosseherro o cóż ty sobie myślisz? Wyniosłem jej kawałek papieru, ta zaś pochyliła się nad nim i naskrobała:

„Rosse — herre“

— No, a piosnka?

Rosseherre parsknęła śmiechem! Nie umiała pisać.

Gdy zmierzch zapadał, Rosseherre odwiązała swe barany. Poczem wzięła pończochę pod pachę i pobiegła:

„Kenavo!“

— „Kenavo!“

Wstęgi od jej białego czepka powiewały na wietrze. Jako myszka polna, jesteś zwinna i miła, o Rosseherro...

http://rcin.org.pl

X

Przez wiele dni, po południu Rosseherre przychodziła do willi „Burza“ ze swemi baranami. Yann był na morzu.

I opowiadała o lutinach, którzy drzewiej stukali do okien rybaków i wołali w nocy: „märri“, „märri“! Rosseherre miauczała jak kotka. Ba, a nawet jeden lutin rozerwał kamień studzienny, wprost przez środek, a rozerwał go dlatego, bo się rozgniewał! Kusili oni także rybaków do grot przybrzeżnych, mówiąc: chodźcie, z nami! chodźcie z nami do groty, my damy wam złota, złota, całe stosy złota; poczem nadbiegał przypływ morza i rybacy nędznie tonęli! Czy widziała ona kiedykolwiek choć jednego lutina?

Rosseherre zaprzeczyła głową.

— Nie—rzekła i z otwartemi ustami spojrzała ku niebu. — Raz, zdaje mi się zresztą, widziałam lutinów, aż trzech, siedzieli obok siebie, skurczeni i wykrzywiali do mnie gęby.

http://rcin.org.pl

Ale to tylko tak mi się przywidziało, ponieważ lutinów więcej już niema. Przyszli na wyspę księża, pokropili skały wodą święconą, i lutiny odeszły do morza, całemi chmarami... Na wyspie pozostał jeszcze tylko duch jeden, Pupon — morderca.

— Morderca Pupon?

Rosseherre skinęła głową.

— Tak, — rzekła poważnie — przebywa on w głębokim wąwozie. Ty go codziennie mijasz.

Kiedy morze jest wzburzone, to możesz słyszeć jego wycie. Strzeż się go!...

— Strzedz się?

— Tak, nikt tamtędy nie przechodzi. Dlatego, że Pupon ma zły charakter. On już wielu ściągnął w dół. Wszyscy wokoło omijają go. Pupon był kiedyś rybakiem i posiadał młodą żonę. Raz wyjechał na wielki ląd, a tu nadeszły groźne burze, i trzy tygodnie musiał był czekać. Poczem wrócił. Wówczas jeden z lutinów usiadł mu nad uchem i dalejże naszeptywać: „Tu był ktoś"... Żona Pupona podała zupę rybną na stół i poklepała go po policzku, ale ten odepchnął ją i spytał: „Kto tu był?" Ta odrzekła: nikt, i zapłakała.

Ale Pupon coraz bardziej wściekał się. A niema nic groźniejszego na świecie od zazdrosnego rybaka! „Żono — rzekł — jeśli to

http://rcin.org.pl

tak tylko się skończy, to powiem: wybaczam ci, żono. Ale jeśli to tak się nie skończy, to powiem ci: ty brudna krowo! — i zabiję cię. Ona wszakże miała mieć dziecko, więc Pupon zasztyletował ją. Przyszedł z zakrwawionym nożem do wsi, tańczył przed domami, a ludzie bali się go. Potem, tak... potem pobiegł przez pole do Stiffu, gdzie skały są tak wysokie, jak dwie wieże kościelne i rzucił się w dół... Ale morze nie chciało go przyjąć i wyrzuciło z powrotem. Wówczas począł biegać dokoła wyspy, z tak strasznym krzykiem, że wszyscy usłyszeli i pootwierali drzwi. Rzucił się oto tam, z wąwozu do morza, ale morze nie przyjęło go. Od tej pory mieszka w wąwozie. Skoro tylko powstaje burza, Pupon rzuca się do morza i wyje głośniej niż wichura, ale morze nie chce go przyjąć. Tak oto nie może Pupon umrzeć".

Teraz już wiedziałem, dlaczego Rosseherre idąc, okrążała daleko wąwóz, gdy się do niego zbliżała.

— Ale czemu on umrzeć nie może?—spytałem, udając naiwnego.

Rosseherre wybuchnęła wesołym śmiechem.

— Dlatego, że żona była niewinna! Lutin okłamał go... Nigdy nie wierz lutinom! Są to złe stworzenia...

http://rcin.org.pl

Poszedłem na wieś, do Noela, i poprosiłem go, by pokazał mi najpiękniejsze chustki, jakie tylko posiadał. Wybrałem niebieską jedwabną chusteczkę z jaskrawo czerwonemi różami w rogach. W sklepie Noela zetknąłem się z Martyną. Krzyknęła na mnie później przed domem Noela, gdy chciałem był przejść koło niej.

— O, tak dawno już nie przychodziłeś — odezwała się, a ja zauważyłem, że mimo wszystko ma ona bardzo piękne, czarne oczy.

— I więcej już nie przyjdę, — odparłem, patrząc poprzez nią na morze.

Martyna nie rzekła ani słowa. Zdziwiona spojrzała na mnie i odeszła.

— Cha, cha! A to ucieszy się Rosseherre, gdy jej pokażę chusteczkę! I rzeczywiście, radość jej była bez miary.

— To dla mnie? — spytała, wskazując na serce. — Och, nie, nie!

Miałem przy sobie maleńki nożyk, spodobał on się Rosseherze, więc dostała go. Ołówek mój też spodobał jej się, dalej stary miedziany pieniądz, chustka do nosa. Wszystko to stanowiło dla niej wartość i wszystko to oddałem jej. Twarz Rosseherry sposępniała naraz od głębokiej, dawnej troski. Winną była bowiem Noëlowi dziesięć sou, a ten nie chciał jej dawać więcej towaru, dopóki nie spłaci

http://rcin.org.pl

długu. Tu Rosseherre pokazała mi swoją maleńką skórzaną torebkę: było w niej raptem trzy sou? Czy nie mógłbym jej pożyczyć z dziesięć sou? I znowu Rosseherre była wesoła. Tak lekko jej było na sercu, że bezustanku ukazywała mi swoje błyszczące zęby.

— Rosseherro — rzekłem — czy chcesz teraz mieć te pierścionki, które ci obiecałem?

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Nie?

— Nie! Bo kiedy będę mieć pierścionki, to nikt nie uwierzy, żeś ty mi je tak tylko podarował.

— Pocóż masz je pokazywać komu?

— Na cóż mi więc pierścionki, których nikt nie zobaczy?

— A... jeśli... Rosseherro?

Rosseherre śmiała się. Była dzieckiem. Ja zaś czułem, że nie mam władzy nad nią. Niczem nie mogłem sprawić na niej wrażenia. Miałem wprawdzie opaloną twarz, jak rybak, a głos gruby, jak marynarz. Niekiedy mówiła mi też, że mam dzikie oczy. I podnosiłem kamień, na którym siadywała, aby pokazać jej swą siłę. Wypinałem pierś i mówiłem, że sprawiłoby mi przyjemność wszcząć walkę z całą chmarą djabłów dla jednego jej jasnego włoska. Nic nie skutkowało!

http://rcin.org.pl

— Rosseherro, co mam uczynić, czy miotać płomień, ciskać głazy kamienne do morza, jak nieboszczyk Polifem? He, he, Rosseherro, a może pokazać ci, że jestem silniejszy od ciebie?

http://rcin.org.pl

XI

Dął wiatr, powietrze pełne było chaotycznych głosów i głuchych krzyków. Morze niespokojnie miotało się i huczało. Kolumny piany pionowo wznosiły się wzdłuż raf, a wiatr ze świstem ciskał je o kamienie.

Widziałem, jak Rosseherre szła po pustkowiu, lecz naraz zniknęła, i dopiero w chwilę później znowu ujrzałem jej biały czepiec między urwiskami. Siedziała na kamieniu bezczynnie, nieruchomo, wpatrzona w morze.

— Dzień dobry, Rosseherro!

Nie odpowiedziała.

— Czy nie zajdziesz do mnie?

Rosseherre ściągnęła czoło w tysiąc małych zmarszczek, poczem spojrzała na mnie. Oczy miała zmęczone, chorobliwe. Zrozumiałem, co chciała powiedzieć, tedy pozostawiłem ją samą.

Razu pewnego ujrzałem, jak Rosseherre chwyciła się obiema rękoma za głowę i koły-

http://rcin.org.pl

sała się, jak człowiek, który płacze. Wiatr świstał w skałach i chłostał szare morze. Siedziała pod strumieniami deszczu.

Zbliżyłem się, Nie płakała, jeno śpiewała wysokim smutnym głosem i kołysała głową.

— Zawołałem na nią. Obróciła się. Policzki jej wydawały się zapadniętemi, zdawało się, że postarzała. Oczy zmieniły się i spojrzenie było tak obce, jakgdyby nie poznawała mnie.

— Dlaczego siedzisz na deszczu, Rosseherro?

Poruszyła wargami, i uśmiechnęła się cichym, chorym uśmiechem. Nie rzekła nic.

Odszedłem. Poczynałem rozumieć, że coś jest z nią nie w porządku.

Siedziała na deszczu, póki się nie ściemniło. Wyszedłem później popatrzeć czy jest tam jeszcze. Ale ona odeszła już inną drogą.

http://rcin.org.pl

XII

Noc jeszcze. Pusto wszędzie. Śpią bogowie, śpią zwierzęta, śpią ludzie. Tylko ja jeden czuwam. Niby widmo błąkam się w smętnem przedświtowem zmroku. Cisza. Tylko kroki me stukają jako głuche uderzenia młota... Bezgłośny mknie wietrzyk, nasycony silnie woniejącemi nocnemi oparami morza. Ponad wyspą świecą jeszcze gwiazdy zda się znużone po bezsennej nocy. Księżyc w Stiffie mgławo drga, to białem, to czerwonem światłem. Creach bez wytchnienia rozrzuca w koło swe blade snopy promieni. Na wschodzie pęka noc, a poranek poprzez jej szczelinę dymi się, jak mokre od krwi mięso. Po morzu ślizga się dreszcz, rzekłbyś — zimno morzu. Jak cienkie zasłony leją się strumienie swiatła z Creacha. Wynurzają się z mgieł nikłe kolory wyspy, morze nabiera barw.. Creach gaśnie. Na północy Stiff jeszcze raz wy-

http://rcin.org.pl

bucha czerwonem światłem, i już światło jego nie pokazuje się więcej.

Daleko na morzu krzyczy mewa. Wtóruje jej inna i nagle ze wszystkich skał podnosi się chaotyczny ogłuszający krzyk. Chciwy ten krzyk drapieżnych ptasich dziobów wita na tysiącach raf wszelkich mórz światło dnia. W przesłoniętej mgłą przystani powoli, a ciężko poruszają się rybacy, jak ciężkie niepewne widma.

Wzbił się ku górze potężny żagiel i popłynął we mgłę. Pozdrowiłem Jeana Louisa, „Króla Morza“, poczem w milczeniu poczęliśmy się szykować do odpływu. Wyczerpaliśmy wodę, naciągnęliśmy żagle, przygotowaliśmy liny, sznurki, przynętę. Zwał wodny huczał. Fala bryzgała. Łódź skwiercząc tarła się o brzeg. Plusnęło wiosło, brzęknął łańcuch, jakiś gromki głos zaklął we mgle, ktoś wymyślał. Powietrze czuć było zgniłą wodą i rybami. Szybko wdarliśmy się ścieżynką ku górze do Chikela na śniadanie. Jean Louis wychylił kieliszek wódki i to było całe jego śniadanie. Na morzu przez cały dzień zjadał tylko kęsek chleba, a wieczorem znowu wypijał kieliszek wódki. Później spał. Tak żyli.

Odbiliśmy od brzegu. Przed nami we mgle mknęły cienie dwóch żagli. Lodowata woda dymiła się. Nad bezkształtnemi, niz-

http://rcin.org.pl

kiemi chmurami rozlała się czerwień, i naraz obłoki podniosły się ku górze, stając się lekkiemi, powiewnemi. Sierp księżycowy stał się cienkim a przejrzystym. Ostatnie gwiazdy drżały, błyszcząc, aż naraz zupełnie zniknęły. Morze w cieniu skał było granatowe. Rafy różowiły się, jak jasne korale. Po wyspie ślizgały się mleczno-mgliste smugi.. Owinęły one latarnię w Creachu, a kiedy znowu wynurzyła się, to jego szklanna głowa płonęła czerwonemi ognikami. Naraz roztoczyło się morze dalekie, jasne, a żagle w oddali zaświeciły czystem złotem. Wiatr poderwał nasz żagiel i łódka przechyliła się na bok. Napotkaliśmy pierwszą falę wyraźną. Łódz podniosła się ku górze, poczem ześlizgnęła się w dół... Było to pierwsze pozdrowienie wielkiego morza!... Z tej oddali...

Wygodnie rozłożyłem się w łódce i zapaliłem papierosa. Jean Louis palił na sucho — zerwał papier z papierosa, poczem tytuń wsunął do ust.

— Piękny poranek, Jean Louis!

— Hi, hi, hi!

„Król Morza" był to sobie nieduży kłębuszek, składający się z zatłuszczonej brudnej czapki i takoż brudnych drewnianych trzewików. Z pod czapki widać było zwisające cienkie, białe kosmyki włosów, a tylko chwi-

http://rcin.org.pl

lami widziałem jego różową, wielkości pięści, wiecznie uśmiechającą się twarz. Jego kurtka była skurczona ze wszech stron, a spodnie dochodziły tylko do goleni. Niebieskie płótno spłowiało i lśniło biało jak śnieg na ramionach i na udach, liczne łaty również oddawna spłowiały. Rękawy pokryte były skorupą i lśniły łuską rybną: wycierał bowiem o nie nos i nóż. Ręce Jeana Louis stały się drewniane od wiecznego wiosłowania, a palce rąk nie zginały się. Oczki wyblakły, jak jego kurtka, lecz widział niemi jak przez lornetkę. Drewniane trzewiki wypychał słomą, tam zaś, gdzie słoma przebiła się przez pancerz brudu, widać było wielkie plamy czarnej, zeschłej krwi.

„Król Morza“ był najodważniejszym mężczyzną na wyspie — zapytajcie o to, kogo chcecie! Ocalił czternaście żywotów ludzkich, i sam kilkakrotnie przeszedł rozbicie okrętu. W młodości kilkakrotnie objechał cały świat, ale z tego już nic a nic nie pamiętał. Teraz oto miał „siedymdziesiunt siedym lat“, — a na przyszłe lato miał mieć „siedymdziesiunt usiem lat“. Ten „Król Morza“ był to najniebezpieczniejszy złodziej na wyspie. — W nocy i we mgle wyjeżdżał na morze, tam gdzie rybacy zastawiali więcierze na langusty. Dźwigał ciężkie kosze, które niejednemu mężczyźnie

 były ponad siły. Wyjmował langusty, więcie-

http://rcin.org.pl

rze rzucał znów do morza, a langusty kładł do swych koszy. Kiedy rybacy nazajutrz wypływali na morze, to pokazało się, że wszystkie langusty co do jednej ulokowały się w więcierzach Jeana Louisa. Hi — hi — hi! O, oni już nieraz przyłapali go na tem!...

Przecięliśmy prąd. Łódź kołysała się; wielkie kawały piany obrzucały nasz żagiel. Morze huczało; w urwiska uderzały raz po raz spienione bomby piany.

— Ni podoba mi dziś murze, — zawył Jean Louis.

Zaśmiałem się.

— Tym lepiej! — a idąc za przykładem Jeana Louis, zabrałem się do przygotowania sznura.

— — — — — — — — — — —

W odległości mili od wyspy leżał łańcuch podwodnych skał i raf, do połowy ukrytych, o które szalenie bił wściekły prąd.

Wzdłuż tego łańcucha skał płynęliśmy, łowiąc ryby.

Fale były tu szybkie, gniewne, czarnozielone, zda się pociągnięte warstwą oleju i sadzy. Jasna przynęta opuściła się na dół, jak maleńki zielony ognik. Ognik pogrążał się, pogrążał, ciemniał, a wreszczie zgasł i pozostało tylko trwożne, szumiące, falujące pole ciemnych obślizgłych fal. Omotaliśmy sznur

http://rcin.org.pl

dokoła palcy i z drżenia sznura czuliśmy potężne tętno olbrzymiej aorty, pompującej miljony ton wody od zatoki Meksykańskiej aż do wysp Lofoteńskich.

Tam, w dole, w ciemnej otchłani... Boże nam poszczęść! Tam były! Toż nie dla przyjemności krążyliśmy wzdłuż tych raf. Wsłuchiwałem się przez linę długości stu metrów w głąb morską — cyt! Tak jest, one tam były! Rzucały się za biegnącym ognikiem, gapiły się nań ze wszech stron, ich tylne pletwy grzbietów rozszerzały się od pożądania, brzuchy wzdymały się, drżały wąsy. Trącały tępemi pyskami o przynętę, targały ją... Ale odpowiedni moment jeszcze był nie nadszedł... Ryby są podejrzliwe. Uniosłem nieco sznur, aby podrażnić ich żarłoczność, umocniłem sznur, znowu opuściłem — i pociągnąłem. Stało się! Ręce me obróciły się jak koło. Przegiąłem się przez skraj łódki i pracowałem gorączkowo. Trzeba było namotać sto łokci sznura, a wykonać to szybko, ponieważ ryby nie cofają się przed niczem. Jak pies rwała mi ryba sznurek, szamotała się na haku, szarpała, ja jednak nie puszczałem. Ukazały się ołowiane ciężarki — oto jest! Patrzyła teraz na mnie szeroko rozwartemi wściekłemi oczyma, trzęsła się z bólu i przerażenia i biła ogonem. Chwyciłem ją za

http://rcin.org.pl

brzuch, wyrwałem jej haczyk z pyszczka i cisnąłem do łódki. Przez minutę leżała w przerażeniu, poczem rozpaczliwie poczęła się rzucać na dnie.

Małe światełko znowu pogrążyło się w mroku.

Nabyłem w porcie parę krabów na wypadek, gdyby ryby nie miały chętki brać się na wędy... „Król Morza“ był niezadowolony i zdecydował się poświęcić w ofierze swe kraby. Poodrywał im kleszcze, przyczem z wściekłością krzyczał na nie, ponieważ opierały się. „Ho, ho! Patrzcie no, te nędzne kreatury nie dają sobie nawet kleszczy poodrywać! Ho ho!“. Poczem kraby, kleszcze podeptał na galaretę i galaretę tę cisnął do morza, jako przynętę.

Umocowałem do haczyka wielki kęsek. Rybom ten przysmak z pewnością musiał się wydać czemś w rodzaju pieczonej kury, nagle spuszczonej z góry w mrok ciemnicy.

Udało się! Ryby potraciły głowy i przybiegły do wędy. Wyciągano je na powierzchnię mokrzuteńkie, z powykrzywianemi pyskami, tam zaś patrzyły w okrutną jasność i w twarze tych szalejących djabłów, którym sprawiało przyjemność wyciągać je z ciemnej szumiącej ojczyzny... Ciskano je do łodzi, zabrudzonej krwią i łuską, by tam zdychały.

http://rcin.org.pl

Rzucały się, ich błyszczące, srebrno-białe ciała ubarwiały, pokrywały się jakimś żółtym odcieniem, a następnie plamami. Robiły bokami, a wtedy czerwone skrzele ryb rozczapierzały się, ukazując krwawo-czerwone mięso. Złote ich oczy rozszerzały się w przedśmiertnej walce. Wreszcie robiły ostatni wysiłek, wyginały się jak klingi, i podrzucały do góry. Wówczas Jean Louis kopał je nogą i cichły. Jednakże żyły jeszcze z godzinę...

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Łowiliśmy już odruchowo, w milczeniu. Łódź wzbijała się, opuszczała, ślizgała. Pracowałem poważnie z zaparciem się siebie. Starannie wycinałem przynętę z muszli, przypominających małe, płaskie, chińskie kapelusze. Wiele z tych muszelek nosiło na sobie kępki mchu i wodorostów, z czem wyglądały jakby w dziwacznych kapeluszach damskich ostatniej mody. A ja, śmiałem się do siebie, gdyż wiele przygód majaczyło w mym umyśle. Tu, przy huku morza, znowu wywoływałem w myśli promienne spojrzenia, które widywałem tu i tam, i znowu wdychałem wonności, któremi nęcą nas kobiety, jak kwiaty pszczoły. Jak to mawiają poeci?... Nagle przemknęło po sznurze uderzenie elektryczne, że aż uczułem pchnięcie w sercu: ryba...

 Co dziesięć minut „Król Morza“ zmieniał

http://rcin.org.pl

żagiel, by skręcić w bok. Wówczas musiałem był kłaść się na płask, mimo to żagiel raz po raz zdzierał mi skórę na głowie... Fale szumiały jakimś monotonnym syczeniem i świstem, a do łodzi bezustannie stukało coś i drapało. Niekiedy nadlatywała prędsza fala, podrzucała łódź ku górze, ochlapywała nas pianą i wówczas widziałem, jak fala wbijała się na inną falę, wywołując tam bezład. Znowu zaświstało. Kipiąc i gulgocząc, wypływał wielki mieniący się jak marmur krąg wodny: to dół fali natknął się na podwodną skałę. Krąg ten, o kolorze białego i zielonego marmuru, uciekał szybko, przebiegał przez grzbiety fal i jeszcze długo i daleko zachowywał swe zarysy. Mewy piersiami ślizgały się ponad falami, dokładnie a chyżo bacząc na każdy ich ruch, i wrzeszczały.

Skrzydła mew świstały, a haczykowate ich dzioby rozcinały powietrze.

Morze do nich należało, to też rybacy nic a nic ich nie obchodzili. Rzucały się one w pianę koło skał, biły skrzydłami, zda się zamierzając opaść w dół — wzlatywały pionowo ku górze, gdy wzbijała się fala i spadały głową w dół, kiedy fala przeszła. A woda, lśniąc, ociekała z ich skrzydeł. Morze śpiewało monotonnie, huczało... Minęła godzina — i znów zapanowała cisza. Wówczas nadbiegła chmura

http://rcin.org.pl

jaskółek morskich: — doji — doji — gully gully gullu dojlji! — i przemknęła. Niby nić przeciągały teraz w oddali...

Zapaliłem fajkę. Ukląkłem, przycisnąłem kolana do żeber łodzi, głowę do ściany, i dopiero w tej pozycji mocnej mogłem był zapalić zapałkę.

— — — — — — — — — — —

Ze dwie minuty przedtem chlusnęły mi na twarz zimne jak lód bryzgi wodne, teraz zaś cały kubeł letniej wody chlusnął mi na rękawy. Zmienił się prąd. Prowadził on na otwarte morze, ku wyspie. — Tajemnicę tego znał tylko jeden „Król Morza". Fale, przedtem gładkie, pokryły się teraz pierścieniowatym pancerzem, ponieważ wiatr dął przeciwko prądowi. Skały podwodne, koło których przepływaliśmy, występowały coraz ostrzej i surowiej. Piana niby eksplodujące bomby, wzbijała się pod niemi, przyczem podnosiły się lekkie wodne woale, które świeciły w słońcu i migotały jako pył. Słychać było głuche strzały armatnie, wzrastające z każdą minutą w miarę jak się wzmagał przypływ. Jean Louis patrzał na wodę i potrząsał głową.

Niebo pokryło się chmurami, a słońce skryło po za porcelanowo-białym obłokiem. Morze nabrało ponurego, wrogiego wyrazu.
 Toczyło się, ciemne i ciężkie, tam zaś, gdzie

http://rcin.org.pl

od białego obłoku padał odblask — spływało masą gęstej, białej farby olejnej. Maszt trzeszczał i giął się, a dziury w naszym potarganym żaglu rozszerzały się i zionęły pustką. Płynęliśmy z szybkością sześciu węzłów; łódź drżała jak sprężyna. Drżąc, pogrążała się w rozpadliny na wiele setek metrów; pochylając się, rozcinała fale, a gdy wypływaliśmy na grzbiet fali — to zdawało mi się, że siedzę na skraju dachu jednopiętrowego domu i patrzę w dół. Wówczas widziałem dyszące podwodne rafy, wydające tchnienia tego ogromnego płuca. Rafa obnażała się głęboko, fala ssała, gulgotała, poczem chciwie rzucała się ku górze, a kolumna z piany pionowo wznosiła się nad rafą. Przez moment trwała w nieruchomości, poczem obracała się powoli, niby jakieś drzewo brylantowe, i zapadała. Z rafy spadały setki spienionych kaskad. I znowu trwożnie wynurzała się rdzawo czerwona rafa, niby głowa pływaka, z którego jeszcze ścieka woda, ale którego już oświeca słońce. Niekiedy otwierał się przedemną z mej wysokości daleki horyzont, lecz na chwilę tylko, i znowu mknęliśmy w dół...

Częstokroć „Król Morza“, nie podnosząc głowy zmierzał wprost na rafy, ja wszakże trzymałem język za zębami, wiedząc, że uczyni on zwrot w ostatniej chwili. „Król Morza“

http://rcin.org.pl

posuwał się w tej pustyni wodnej z tąż samą pewnością siebie, z jaką kto inny chodzi po pokoju. Znał tu każde miejsce, więc też nie miał potrzeby rozglądać się. Miał on swoje znaki: gdy ukazywała się w dali ta lub inna skała pomiędzy tą czy inną rafą—to znaczyło, że trzeba zwrócić łódź na bok. Znał również i podwodne skały, a kiedy mówił: — tu w dole, jest *men glas*—wówczas niewątpliwem było, że za chwilę na skałę nadbiegnie fala i morze zaigra w oddali marmurowemi kręgami. Wiedział i więcej. Wiedział, gdzie o tej lub owej godzinie, przy tym lub innym prądzie są ryby i dokąd odpływały, gdy zmieniał się prąd. Wiedział, z jaką szybkością powinna płynąć łódź po to, aby te lub inne ryby chwytały przynętę. Wiedział kiedy należy oczekiwać ryb, a kiedy ryby znikają...

Nieraz śmiałem się, patrząc nań. Obojętnie jakby przed kominkiem siedział zgarbiony ten mały tłomok, machinalnie poruszał się to w tę, to w ową stronę, podczas gdy ja musiałem był trzymać się ze wszystkich sił, by nie zostać wyrzuconym z łodzi. Kąsał wąsa i z nabożeństwem nasadzał przynętę na haczyk. Zdawało się, że szyje. Raz już użytą przynętę zrywał zębami z haczyka i wypluwał do morza. Dużą rybę witał grubaśnym śmiechem, a drobną zasypywał obelgami. Zda-

http://rcin.org.pl

rzało się, pojmie rybkę małą, wielkości ręki, która zżarła całą przynętę i aż krew mu uderzy od gniewu, poczem ciśnie ją do łodzi z taką wściekłością, że rybka otworzy pyszczek i natychmiast ucichnie, zesztywnieje.

Niekiedy „Król Morza“ przykucnął w łodzi, biorąc do rąk blaszankę po konserwach. „Prze-pra-som przyjacielu!“—ryczał. Toć jezdeśmy na morzu...

Zbyteczna uprzejmość! W tej wannie, kosztującej wraz z całem wyekwipowaniem sześćdziesiąt pięć franków, nie podobna było mieś takiego komfortu, jak w hotelu.

Na wyspie dzwoniono na południe. Kuszącemi czarującemi dźwiękami dolatywał do nas dźwięk dzwonu. Zjadaliśmy kawałek chleba i nie wypuszczając omotanego dokoła palca sznura, popijaliśmy wodę z flaszki.

I znowu łowiliśmy ryby. W milczeniu nasadzaliśmy przynętę na wędy, wciągaliśmy rybę do łodzi i klęliśmy półgłosem, kiedy sznurek zaplątał się. Łódź drżała i mknęła to do góry, to w dół. „Król Morza“ częstokroć wisiał nademną, zda się gotowy runąć na mnie, ale już za chwilę jego czapka była gdzieś głęboko pode mną, ja zaś znajdowałem się w położeniu pionowem do ławki. Przemokłem do kości, woda zalała mi kark i rękawy. Włosy mi rozmiękły, a oczy zlepiały się i płonęły.

http://rcin.org.pl

Twarz była sucha i paląca od soli, wżerającej się, niby drobny piasek we wszystkie pory, a skóra stawała się sztywna i bez ruchu.

Ręce mi drżały ze znużenia, a wiatr bezustanku kłuł do ucha, jak ostra igła lodowa. Ale moje serce huczało, szalało i wezbrane było niepohamowaną dzikością, jak to morze, które mnie otaczało!

O tak! Wy zostańcie sobie spokojnie w domach, w swych miękkich fotelach, bełkoczcie mądre, subtelne słowa o życiu i chorujcie na suchoty. Mnie zaś pozostawcie życie, głupie i proste życie! Tak, ja wam podaruje słowa!

Jakiś żagiel z kotwicą na nim przemknął za falistą linją wód. Wznosił się, chybotał, ginął całkowicie, i dopiero o wiele później wypływał znowu zdaleka. I nagle znikł mi z oczu.

— Czas już! — zawył Jean Louis. Trzeba ruszyć się. Szturman jedzie do domu!

— Zarzućmy wędę jeszcze raz, o Królu Morza!

Wtem nadbiegła wielka fala, i musieliśmy czemprędzej umykać.

— — — — — — — — — — —

Fala ta była największą i najpiękniejszą z tych, jakie zdarzyło mi się tu widzieć. Już zdaleka zauważyłem jej zbliżanie się. Toro-

http://rcin.org.pl

wała sobie drogę poprzez rzucające się pieniste grzebienie; jej piana biegła przed nią, a fala szumiała i świstała, jak lokomotywa pociągu kurjerskiego. Była tak potwornie wielka, że wyróżniała się z pośród innych fal, jak szalejąca maciora dzika wśród swych warchlaków. Poczem olbrzymia masa wód uderzyła o rafy, gniewnie zatrzęsła się od góry do dołu, wzbijała się i stawała dęba. Rozciągała się na długość pięciu domów, rozrastała na wysokość domu dwupiętrowego, a wobec niej inne fale zdawały się być malutkiemi... Była czarnozielona, lecz pęczniejąc, stawała się zieloną jak szkło butelczane. Przed nią migotała turkusowa kopuła, a na tej kopule rozpościerał się przesycony słońcem kamień bursztynowy, uwieńczony diademem z białośnieżnej piany. Nad całą zaś falą unosił się szeroki woal z pyłu wodnego, cała ściana pyłu w której mieniły się kolory tęczy. Taką była! Znajdowaliśmy się od niej w odległości dziesięciu kroków, to też ja zdumionym i wylęknionym wzrokiem patrzałem na tego dzikiego, przepięknego zwierza, zrodzonego przez morze. Teraz jednak rzuca się w dół.

— Hallo! Jean Louis!

Właśnie w tym samym momencie Louis obracał żagiel. Odwiązał żagiel i trzymał sznur w rękach. Naraz ujrzał falę, która drżała

http://rcin.org.pl

lśniła i chyliła się naprzód, upstrzona białemi, pienistemi smugami, wachlarzami spadającemi w dół. Śmiał się idjotycznym śmiechem: hi-hi-hi! — i obiema rękoma mocno trzymał linę żagla, niby uzdę konia, który chce ponieść. Wparł się swemi drewnianemi trzewikami w ławę, a twarz mu się wykrzywiła w rozpaczliwem natężeniu. Żagiel, zdało się, ot, ot pęknie, tak mocno był napięty od silnego naporu powietrza, podnoszącego się z opadającej masy wód.

Fala huczała i ryczała; łódź leciała do góry, początkowo powoli, poczem coraz szybciej i Król Morza przepadał w zamieci śnieżnej.

Hi, hi, hi! gruby promień wody jak rakieta, z sykiem wytrysnął nad łodzią.

Przez szczelinę zielonego okna widziałem dalekie morze, aż po sam horyzont. Tam najspokojniej sunął parostatek z dwoma brunatnymi kominami i dymił. Płynął na południowy zachód. Hawana, St. Thomas, Para, Rio Janeiro, Valparaiso? Szczęśliwej drogi! Ale tu mnie znowu coś łomotnęło w oczy...

Wyczerpaliśmy wodę. Naprzód! Do domu! „Król Morza“ był blady jak śmierć, a i ja naraz poczułem dokładnie miejsce, gdzie leży serce, albowiem zatrzymało się...

 — — — — — — — — — — —

http://rcin.org.pl

Teraz pozostawało nam tylko przejechać prąd, przecinający wejście do zatoki. Nie było to łatwem nawet podczas odpływu, podczas zaś przypływu, dla łodzi niedużej, było niemożliwością. Bywa, spóźnisz się pięć minut i już musisz czekać przez trzy cztery godziny aż uspokoi się wściekły bieg prądu. Razu pewnego kuter wyjechał z portu przy wspaniałym wietrze, ale akurat podczas prądu wiatr zastygł, statek zagnało ku skałom, o które rozbił się w drzazgi, ludzi tak dalece zniekształciło, że rozpoznano ich tylko po odzieży; jednemu z marynarzy brakowało głowy.

Prąd gnał, jak armja uciekających potężnych wielorybów.

Przegalopowaliśmy przezeń i wjechaliśmy do zatoki. Siedziałem, u steru, gdyż była to moja praca.

— Djabuł! djabuł! — wył „Król Morza".— Ja już dwie łódki tu straciłem! Raz przybyłem na brzeg ze szczątkami, innym razem siedziałem na rafie przez dwadzieścia cztery godziny, dopóki nie zabrali mnie. Znowu ocaleni jesteśmy przyjacielu, musimy świecę w kościele postawić! Za dziesięć sou!

Zaśmiał się i zdjął swą lepką czapkę. Wówczas obnażyła się jego blada czaszka. Czy był to człowiek? Jego głowa zmarszczyła się do rozmiarów jaja strusiego. Na łysinie

http://rcin.org.pl

przylepiły się trzy cienkie pasma włosów, a z twarzy przypominał — żuka. Nos zapadł się, sól wyżarła mu okolice oczu tak, że wyglądały jak rany...

— Alboż ty wierzysz w takie rzeczy, Jean Louis?...

„Król Morza“ zaśmiał się. „Na lądzie ja w Boga nie wierzę — rzekł — ale na morzu... Na lądzie może ci pomódz rząd, ale na morzu nawet sam pan minister nie pomoże“...

To mię przekonało..,

— Czy długo jeszcze będziesz rozjeżdzać z takim złachmanionym żaglem, Jean Louis?— spytałem.

— Nowy żagiel drogo kosztuje! — do stu djabłów! — odparł Jean Louis. — To niedostępne dla mnie. Obszyję go pasmami naukos, mój przyjacielu, naukos. Przed dziesięcioma laty przydarzyło mi się małe nieszczęście z takim właśnie żaglem.

I tu Jean Louis opowiedział swym ochrypłym, wyjącym głosem o tem nieszczęściu. Łowił był ryby koło Sztiffu, żagiel mu porwał się na strzępki, a prąd go poniósł. Wówczas z całych sił począł wiosłować. Wiosłował jak warjat, ale gdy nieco później obrócił się, — to wyspa była już całkiem mała... Pod wieczór widział jeszcze latarnię w Sztiffie, poczem już nic więcej nie widział. Splunął do morza

http://rcin.org.pl

i rzekł: teraz czas ci umierać, Jean Louis. Hi, hi! Nadszedł dzień a tu on, Bóg wie gdzie już nie jest. Mgła była, ryczały parostatki. Znowu nastała noc, i wtedy ujrzał tak za mgłą, wiatrak świetlny wymachujący śmigami. Mniejsza o to, rzekł sobie, ty będziesz spał. I spał. Nagle usłyszał dudnienie i głośny ryk. Obudził się i ujrzał przed sobą olbrzymi czarny gmach, z licznemi lampami, a z góry wołano nań przez tubę. Podpłynął bliżej i wszedł na pokład. Moja łódź, na miłość Boską! Naprzód! — Zadzwoniły dzwony, maszyny poczęły pracować, okręt pomaszerował dalej. — Nazajutrz „Król Morza“ ujrzał się wśród eleganckiego towarzystwa pań i panów, którzy ze zdumieniem patrzyli nań i śmieli się do niego, do tego starego, siwego, małego „Króla Morza“, którego wyłowiono wśród nocy z Lamanche'u.

Napchali mu kieszenie pieniędzmi i zaopatrzyli w bilet drugiej klasy z Londynu do Brest. Hi, hi! I oto mamy go znowu! Idź do piekła, „Królu morza“, znowu tu jesteś! Toż po nim nawet nabożeństwo żałobne odprawiono! W kaplicy cmentarnej stał już krzyż z jego nazwiskiem... I musiał zapłacić ośm franków za mszę, której nie zamawiał!

— Ale ja za nią zapłaciłem! — Krzyczał Jean Louis, i uderzył się po bocznej kieszeni.

http://rcin.org.pl

Już jedną mszę żałobną mam zaliczoną na zapas w niebie...

On Jean Louis, dał Panu Bogu zaliczkę — cha, cha!

Sprowadziłem rozmowę na Rosseherrę.

— Masz ładną wnuczkę, Jean Louis! — rzekłem.

— Rosseherre jest moją przybraną córką! — zawył Jean Louis. — Obie me córki były to złe baby i nikt nie chciał ich tknąć nawet... Kanalje były, tłukły mię, gdy się upijałem, ba, zmuszony byłem chować przed niemi swe grosze w szparach ścian... Z gęby by mi poprostu wydarły. Hi, hi! A teraz już ich niema... Zmarły — na suchoty. Rosseherre mój przyjacielu, jest moją przybraną córką.

— Ty pewno bardzo ją kochasz, Jean Louis?

— Hi, hi, hi,—„Król Morza“ roześmiał się dziecinnym śmiechem i uderzył się po krótkich lędźwiach. — Rosseherre! Jednego tylko mi żal: ot, zdrowie ma słabe...

— Czy i ona ma coś nie w porządku z płucami?

„Król Morza“ zaprzeczył głową.

— Nie, mój przyjacielu, w głowie ma coś nie w porządku! To już po matce. Ta była jasnowidzącą. Jest jak to morze. Bywają dni,
 kiedy Rosseherre jest opanowaną tą siłą i za-

http://rcin.org.pl

mącone ma zmysły. Gdy dziś powie, że w nocy utonął pilot — to on już nie wróci, nigdy więcej!

Skierowałem łódź ku czerwonej tyce na rejdzie.

— Czy Yann chce się z nią ożenić?

— Tak, lecz ja przecie nie dałem swego przyzwolenia! — Tu Król Morza dumnie wyprostował się.

— Słuchaj! — rzekłem i spojrzałem Jeanowi Louis w jego płaskie, wyblakłe oczy, wyglądające jak oślepłe. — Chciałbym zrobić kawał małemu kapitanowi. Niedawno temu, cisnął mi w głowę szklanką z winem. Kupię ci nowy żagiel, nowiuteńki żagiel z najlepszego materjału — pierwszoklaśny, jeśli ty jeszcze na jakiś czas odwleczesz swe przyzwolenie.

Jean Louis natychmiast zgodził się. Gotów był czekać, tak długo jak ja postanowię.

— Zgoda. Jutro przyjdę do ciebie i wspólnie pójdziemy do Noëla kupić to płótno. Możemy również wtedy i świece wybrać.

Tu Jean Louis filuternie zaśmiał się. Skoro już wróciliśmy pomyślnie, to lepiej będzie te dziesięć sou przeznaczyć na wódkę...

Ja nic przeciwko temu nie miałem.

Jean Louis przepłókał ryby i poukładał je do skrzynki. Uśmiechał się z zadowole-

http://rcin.org.pl

niem. Był to dla nas dzień, jak rzadko szczęśliwy. Przez te dwanaście godzin nałowiliśmy ryb za dobre trzy franki! No, tak wiele to nie jest. Handlarze, ot, ci zarabiają na tem!... Drobny handlarz na wyspie, więksi w Brest, no i najwięksi sprzedawcy ryb w Paryżu. Wszyscy oni mieli olbrzymie wydatki, dom, rodzinę, powozy i wszyscy ponosili olbrzymie ryzyko. A tylko Król Morza żadnych wydatków nie ponosił i ryzykował tylko swem życiem.

Jean Louis ociężale wylazł na brzeg. Na lądzie poruszał się niezdarnie, jak rak. Wziął skrzynkę na ramiona, na palcach wskazujących dźwigał dwie największę ryby, które zaczepił za skrzele i tak powoli poczęliśmy się posuwać w górę schodami do Chikela. Ziemia zafalowała pod memi nogami, kamienie były jak ciasto.

W barze odsunęliśmy na stronę hałaśliwych gości. „Rozstąpcie się, my rybacy, wracamy od pracy!"

— Ho, ho! Spójrzcie-no na tych kulawych psów!

— Ha-ha-ha!

U nas zawsze bywało hucznie i wesoło.

Wracam do domu. Kamienie dźwięczą mi pod nogami, oczy zaostrzyły się a wzrok biegnie za mewą po dalekiem, dalekiem morzu...

http://rcin.org.pl

XIII.

Nazajutrz złożyłem Jeanowi Louis przyrzeczoną wizytę.

— Dzień dobry, Królu Morza, otóż i przybyłem z racji żaglu.

— Hi, hi... żaglu?

Zapomiał już wszystko.

— Hi, hi. — Otóż i on — wejdź! — zawył Jean Louis.

Rosseherry nie było w domu. Tylko w rogu wisiała czarna, błyszcząca spódnica. „Najlepszy jedwab!“ — rzekłem i „Król Morza“, któremu to pochlebiało zaśmiał się.

W niedużym wązkim pokoju było jedno tylko czworokątne okienko w niszy. Łóżka stały wzdłuż pokoju, za niedużemi czyściutkiemi firankami, niby kotary teatru marjonetek. Stół i ławy wzdłuż ścian — ot, i całe umeblowanie. Pod jedną niszą z pstrą gipsową Madonną, przybite było przysłowie które ry-

http://rcin.org.pl

bacy mają przed oczami w ciągu całego swego żywota:

Ar Maro
a zo eur moment terrubl
ewit ar bec'herien,
golvet int ractal dirag
Ar Barner Souveren.

(Śmierć—jest to straszny moment dla rybaków, ponieważ bywają wzywani oni nagle przed Sędziego Niebios...)

Jean Louis nalał wina. Wino było ciemno-złociste. Co to było za wino?

— To wino pozostało po rozbiciu okrętu, mój drogi przyjacielu!

„Król Morza" znikł i przyniósł skądś małą japońską szafkę z laki, z tysiącem — niech mię djabli wezmą — prześlicznych szufladek.

— Rozbicie okrętu!

O, tak, przedtem tu statków było dość! Hi, hi... Kiedy latarnie morskie i syreny nie były jeszcze doprowadzone do takiej doskonałości. Niekiedy zdarzało się po dwa, po trzy co noc. Tylko zbieraj! Ale teraz?... Życie staje się coraz to cięższe.

I naraz zobaczyłem, że stół, koło którego siedziałem miał ogrodzenie, nogi zaś tego stołu miały okucia do przyśrubowania w podłodze— i cóż ty na to?

http://rcin.org.pl

„Król Morza“ przebiegle uśmiechnął się, prawdopodobnie miał jeszcze wiele innych, gdzieś tam ukrytych skarbów.

Poczem udaliśmy się do Noëla.

— A zatem zapłacisz za płótno? — spytał Jean Louis w połowie drogi i, rozstawiwszy nogi, wyciągnął się przedemną.

— Tak.

— Doprawdy zapłacisz?

— Doprawdy!

— Eh bien, mon vieux, en route!

Jean Louis z wyzywającym wyrazem twarzy wszedł do kupca i zawył mu wprost w twarz: „Chcę nabyć płótno na żagiel, Noëlu!“

Ale czerwony, jak lak Noël nie okazał żadnego pośpiechu, wzruszył tylko ramionami z szyderczym uśmiechem, a patrząc w okno, rzekł cicho i spiewnie: „Ho, ho, mój stary przyjacielu, moją zasadą jest nie kredytować ani jednego sou wam, rybakom“.

Ale Jean Louis, który ledwo wystawał głową ponad bufet, wskazał na mnie i krzyknął wściekle: „Mój przyjaciel zapłaci!“ Tu otarł pot z czoła. Mały Król Morza drżał z podniecenia na całem ciele.

Noël naraz wezbrał uprzejmością i gorliwością. „Ach tak, to zupełnie zmienia postać rzeczy!“ Przyciągnął cały zwój płótna, przyniósł szklanki, butelki.. Wówczas „Król Mo-

http://rcin.org.pl

rza“ zabrał się do dzieła. Począł przyglądać się zwojom płótna. Zdejmował i znowu nakładał swą zatłuszczoną czapkę. Poczem wlał do gardła kieliszek wódki. Obmacywał tkaninę palcami, rwał, tarł ją, trzymał pod światło. Brał poszczególne nitki i rozrywał je. Nie zbyt lekkie, nie zbyt ciężkie, nie zbyt cienkie, nie zbyt grube... Poczem znowu wypił wódki, jeszcze raz wypił, począł jąkać się, zachwiał się na nogach, potknął się o wór z mąką, wytarł czoło i oświadczył, że jutro znów przyjdzie.

Zdecydował się wszakże dopiero na trzeci dzień, a wówczas tyloma *kroplami* zalewał swe podniecenie, że z płótnem pod pachą natknął się na skałę, przewrócił się w polu i jak runął, tak leżał.

http://rcin.org.pl

XIV.

Spotkałem Rosseherrę o zmierzchu, w pobliżu wsi. Niosła pod pachą wielki okrągły chleb. Creach właśnie wtedy rozpalał swoje ognisko. W jego szklanej głowie coś dęło, jakgdyby ktoś trzymał w ustach żarzącą się zapałkę i dmuchał na nią, poczem wyrzucił z siebie krótkie fioletowe błyskawice, a te werznęły się w zmrok ostremi, niby wyszlifowanemi igłami.

Morze było już ciemne.

— Ty niedawno omal że nie utonąłeś —, rzekła spiesznie Rosseherre i oparła bochenek chleba o wązkie biodro.

Śmiałem się. „No, tak znów źle nie było!" — rzekłem.

Rosseherre z dziecinną powagą zakołysała głową.

— Jean Louis stracił już nawet nadzieję! A on zna otwarte morze; lepiej od niego nikt nie zna morza.

http://rcin.org.pl

A prócz tego ty pływasz koło samych skał i podczas odpływu i podczas przypływu. Są tam jednak odmęty, wiry i prądy, i morze może cię porwać. Amoryk z Creachu mówi: ja nie mogę na to patrzeć! Po co to robisz?

— Nie pływam przecież, gdy prąd jest silny.

— Ty nie znasz morza, — ciągnęła Rosseherre dalej. — Strzeż się go!

Uśmiechałem się. Troskliwość Rosseherry wzruszyła mnie. Było to dziecko...

— Strzedz się?

— Tak, strzedz się morza! Chciałabym bardzo wiedzieć — ciągnęła dalej Rosseherre — dlaczego ty mieszkasz na wyspie?

— Aby słuchać morza i łowić ryby, — Rosseherro.

Tego nie pojmowała.

— Alboż ty nie masz rodziców, rodzeństwa?

— Nie.

— Ani żony?

— Nie.

— Ale przyjaciół masz przecie?

— Nie. Od wielu lat jestem sam w drodze, a moi przyjaciele już dawno zapomnieli o mnie.

Rosseherre potrząsnęła głową.

 — Pan pocztmistrz powiada, że ty jesteś

http://rcin.org.pl

szpiegiem angielskim i chcesz wybadać, gdzie na wyspie Anglicy mogliby wylądować, z okrętami wojennemi. Ale to nie prawda? Tylko bardzo możliwe, żeś ty popełnił coś takiego i nie możesz wrócić do swojego kraju.

Śmiałem się.

— A może ty byłeś bardzo nieszczęśliwym w swojej ojczyźnie i dlatego ją opuściłeś?

— Nie, nie wierz temu, Rosseherro, przeciwnie byłem bardzo szczęśliwy.

— Bo tu nikt nie rozumie, po co tu przebywasz — tu, gdzie nic niema.

— Podoba mi się tutaj.

Rosseherre nie wiedziała więcej, o co pytać. Cała jej twarz teraz osłoniętą była zmrokiem, jeden tylko biały czepiec jeszcze świecił.

— Noce teraz są tak piękne, tak ciepłe, Rosseherro — rzekłem — ot, posłuchałabyś jak po nocach świerszcze psykają koło willi „Burza"...

Rosseherre obróciła się nieco i cicho zaśmiała. Widziałem białka jej oczu i zęby.

— Kenawo! — rzekła potem.

— Kenawo!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XV.

Po nocach był jeno mrok, jeno bicie morza, psykanie świerszczy i ta moja tęsknota za niewiadomem i nieosiągalnem. Czarna była ziemia i morze, a ja byłem sam.

Morze bez przerwy biło o skały i huczało, ale w mej chacie było tak cicho, że słyszałem cienkie, dzwoniące stukanie pająków po ścianach. Bezustannie migotały błyskawice. Co siedm sekund błyszczący nóż Creacha dwa razy, raz po raz wrzynał się w noc, rozcinał małe okienko, rozcinał mą chatę i mnie. Więcej nie zwracałem już na to uwagi.

W jasne noce otwierałem drzwi. Do pokoju wdzierał się parny aromat morza. W ramie drzwi stało ciemno-niebieskie niebo i widać było świecącą konstelację gwiazd. Wychodziłem z domu, robiłem kilka kroków po mokrej trawie i błądziłem wzrokiem po nieskończonej kopule firmamentu. Czasem powoli, błyszcząc, spadał do morza meteor.

http://rcin.org.pl

Gdzieś tam, daleko na wodzie, było małe światełko czerwone lub zielone, które wędrowało. Ale z tamtej strony zatoki, pod urwiskami z Creacha tchnąc bez przerwy, spadały smugi światła, zda się oślepiająco jasne ekspressy piekieł, mknące tysiącami w godzinie — w bezkresy. Dokoła leżała martwa cisza, a ja znowu wchodziłem do domu... Słuchaj! Czy słyszysz? Coś tam wałęsa się na dworze, to zbliża się, to oddala, bezszelestnie i niewidzialnie, ja jednak czuję to, siedząc przed swym ogniem. Więc było tu coś jednak prócz mnie? Ktoś był tu? Czy był to zmarły marynarz, który wychodzi z morza i udaje się ku swej chacie, ażeby zajrzeć do okna. Co to było? Słuchaj! I niekiedy przypominało mi się przedziwne zdanie biblijne: „I duch Pański unosił się nad wodami"...

Powoli obracała się noc. We drzwiach ukazywały sie nowe gwiazdozbiory. Dorzucałem do ognia garść suchych wodorostów. Było to wszystko, co robiłem w ciągu godziny. Mewy krzyczały. Odpływ, — pomyślałem — mewy ciągną po żer... Morze oddychało, zmęczone ciężko. Poczem wzdłuż brzegu przewalał się pierwszy huk: to przypływ powracał. Ja zaś siedziałem, podtrzymywałem ogień w fajce i niekiedy uśmiechałem się, gdy w ogniu ukazywała się jakaś piękna wizja.

http://rcin.org.pl

O, ja umiałem rozkoszować się swą samotnością, aż do dnia byłem sam, tak wspaniale sam, — cha, cha! Poupoul spał pod kominkiem, a powietrze ze świstem wylatywało z jego nozdrzy, jak przez wentylatory. Ilekroć przemówiłem do niego, pies postukiwał końcem ogona i sennie otwierał jedno oko. „Spij, Poupoul!“ Wówczas pies podpełzał bliżej, kładł głowę na mojej nodze i znowu zasypiał.

Niekiedy wstawałem, wytężałem oczy, jakgdybym patrzył na coś w dalekiej, dalekiej oddali: widziałem ludzi, ludzi których znałem przed laty. O, jak daleko jestem teraz od nich...

Wstawałem znów, patrzałem w dal; były to myśli, na które patrzałem, dawne myśli z przed lat, takie dalekie, takie maleńkie. Daleko już teraz byłem od nich. Wyszedłem i spojrzałem na bezsenne morze: pionowa błyskawica rozłupała noc na dwie części, niby blok błyszczącego węgla. Na morzu nawoływały się i odpowiadały sobie dwa dalekie głosy, lecz nic nie było widać. Coś niewidzialnego owionęło mój dom i jak widmo stało koło mnie. W jednej ze skał coś cicho osypało się — czy słyszysz? Skała starzeje się.

Na bezsennem morzu kołysała się tam i z powrotem iskra — odpowiadała jej w dali inna: to dwa statki, które rozmawiały ze sobą.

Raz w nocy począł dąć wiatr. Wstrzy-

http://rcin.org.pl

małem oddech. Nade mną huczał olbrzymi przestwór. Jak szalony wołał o buncie i walce, o dzikiej wspaniałej śmierci. Serce mi biło głośno. Wyszedłem z domu. Wicher porwał mnie w swe objęcia i wył mi do uszu, że jest moim towarzyszem. Szalał dokoła mnie i naraz rozpalił w mej głowie przedziwną myśl. Tak! Zobaczmyż, czego jesteśmy warci, zaraz, natychmiast! I spuściłem się do morza, postanowiwszy, że cokolwiek by zaszło — mam zmierzyć się z niem, — co do sił. Wicher wył mi do uszu: — tak! tak!

Morze było błyszczące, czarne, a kłębiące się pieniste śnieżno-białe grzebienie poprzetykane były iskrzącemi się ognikami. Ujrzałem się w zielonym ogniu: sam podobny byłem do płonącego widma, rzucającego się w morze po nocy. W dole świeciło się i migało, niby las czarny, pełen robaczków świętojańskich. Przy każdym mym rzucie rybackim wzlatywały snopy ogniste, a moje ręce pokryte były bomblami fosforycznemi. Rzucałem się wprot na falę, a kiedy fala nasuwała się — wynosiłem pięść z wody i waliłem w twarz. Fala, niby szczapę, wynosiła mię w górę. Ja jednak przemieniałem się naraz w obracającą się śrubę okrętową i płynąłem. Kiedy pogrążałem się w wodzie, to dokoła mnie powstawała
 cisza, gdy zaś wznosiłem się ku górze, to
http://rcin.org.pl

w uszach mych coś wyło i huczało. Na powiece mej osiadło świecące się ciałko i czułem poprzez powiekę jego łagodne światło.

Wyszedłem na brzeg, Stałem tam, a para biła od mego ciała. Zaofiarowałem się morzu, lecz ono nie chciało mię przyjąć. Pierś moja oddychała spokojnie, ręce me nie drżały. Widziałem daleko przed sobą czarne morze.

Wiatr wył, przyrzekał mi sławę, bogactwa i tysiąc pięknych kobiet!

Ale ja śmiałem się. „Merci, zatrzymaj sobie wszystko—rzekłem. Mnie nic nie trzeba było, tak stoją me sprawy. W owej chwili nie miałem żadnych pragnień.

Jak duszno było teraz w mym domu! Zagotowałem grog i odszukałem swoją lekturę. Cała moja bibljoteka składała się raptem z jednego numeru New York Herold'a European Edition, który wypadkowo przywiozłem był z sobą w kieszeni. Numer ten zżółkł, przesycił się wonią soli, i zawsze wyłaziła zeń para pająków. Znałem go już na pamięć, każdy artykuł, ba, nawet ogłoszenia. Mimo to wciąż i wciąż odczytywałem go, a otwierając go, zawsze wpadałem w nastrój podniecony: oto świat, moi państwo, świat z mięsem i kościami, z aureolą świętości i zbrodniczemi czerwonemi rękami morderców!

http://rcin.org.pl

Tak, cha-cha, było to nie lada zabawne — to się wie!

Na pierwszej stronicy wciąż jeszcze leżał w łóżku papież — był on chory — miał lekki ból reumatyczny w prawem kolanie, nie w lewem, do licha! — Oczywiście, życzę Jego świętobliwości rychłego powrotu do zdrowia. Na tejże stronie ofrendzlony starzec małpi chrzęści szczękami a małpy dokoła niego z czołobitnością biją ogonami o ziemię. Starzejesz się, Europo, i poczynasz śmierdzieć!

Szarpnęło drzwiami, stuknęło, obróciłem się. Proszę wejść! Nikt nie odpowiedział. Cieniuteńki głosik, przypominający głos małej zziębniętej duszyczki, żałośnie płakał w górze nad drzwiami.

Więcej już podobał mi się Bobby, murzyn, ktorego stracono w stanie Ohio. O, nie, odejdźcie, Bobby nie potrzebuje pociechy duchownej, „idzie on do całkiem określonego celu — do piekła!“ Skoro już tak być musi to, szczęśliwej drogi, mój Bobby!

— A cóż byś tak na to powiedział? Pomiędzy Niemcami a Włochami stosunki w danym momencie są chwilowo oziębione. Och, ten genjusz, żujący papkę papierową i mający gębę czarną od farby drukarskiej, który kładzie rękę na sercach państw i stwierdza wielkie oziębienia... Napiję się bardzo gorącego grogu, pa-

http://rcin.org.pl

nie bydlę papierowe, ponieważ od tego wielkiego oziębienia między Niemcami a Włochami szczękają mi zęby.

Na moim dachu zabębnił deszcz — ktoś zapukał do okienka, czyjaś twarz zajrzała i mrugnęła na mnie. Nie zwróciłem na to żadnej uwagi. Byłem przyzwyczajony do tego, że po nocach zaglądały do mnie jakieś twarze.

Cieniutki głosik brzęczał teraz przy podłodze, poprzez szparę we drzwiach. W tem rozległ się w oddali ryk Creacha. Mgła. Dorzuciłem wodorostów do ognia.

Poczem rzuciłem się na ogłoszenia. W jednej chwili wynająłem trzydzieści trzy pokojówki i nie więcej niż dwadzieścia bon, z gwarancją delikatnego obejścia, poczem z błyskawiczną szybkością zniknąłem pod ziemią, iżby zaangażować kucharza na rue de Longchamps. Przebiegłem przez wnętrzności Paryża, wynurzyłem się na światło dzienne, wskakiwałem na stopnie autobusa, płynąłem wśród balkonów i szyldów, a ludzie niesieni byli przez prąd ulicy. Niestety, mój kucharz przed chwilą był wyszedł — czekałem więc w kawiarni, tutaj spotykam ładną dziewczynę, hej, auto. Mkniemy po lśniących asfaltowych morzach Paryża...

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XVI.

Raz wszakże w nocy, kiedy znowu czytałem, do mego okna zajrzała twarz, a nad tą twarzą ujrzałem biały czepiec. Poupoul zaszczekał.

Odłożyłem gazetę na bok i otworzyłem drzwi.

— Ach, to ty, Rosseherro?

— Tak, to ja, — odparła, bez tchu. — Przyszłam... Jean Louis jest chory.

— Co mu jest?

— Mówi i śmieje się. Ma febrę. Chodź i zobacz!

Prędko poszliśmy przez wrzosy. Jean Louis leżał w swem łóżku szafowem i przywitał mnie głośnym śmiechem: — Hi, hi, hi!

— Hej, Jean Louis, nie poznajesz mnie?

Nie, nie poznawał mnie. Od poduszek bił gorący, duszny, przesycony alkoholem odór. Rosseherre zaświeciła kawałkiem świecy,

http://rcin.org.pl

kapiącej jej na palce, ja zaś widziałem, że ma on oczy otwarte. Śmiał się, coś mamrotał.

— Co on gada, Rosseherro?

— Powiada: wyjdż najmilsza. To on tak z rybą rozmawia.

„Król Morza“ był nie tylko pijany, nie, miał on także silną gorączkę. Cóż było począć? Położyliśmy mu kompresy na głowę i na piersi, a on aż zachichotał z zadowolenia, gdy poczuł zimną wodę. Rosseherre drżała.

— Nie będzie tak żle, Rosseherro.

— Nie?

— Tak sądzę.

Usiedliśmy, w oczekiwaniu. Rosseherre przylepiła do stołu kawałek świecy. Sadło poczęło tajać i kapać na podłogę. Knot osiadł w roztopionem sadle i zgasł. Zrobiło się zupełnie ciemno.

— Hi, hi, hi! — śmiał się Król Morza. Położyłem rękę na małej piersi Rosseherry.

-- Rosseherro?

Wysunęła się naprzód i owinęła rękami moją szyję.

— Une bonne pêche — mon vieux — mon vieux! — wył Jean Louis i śmiał się.

— A Jean Louis?—szepnęła Rosseherre.—

— On nas przecież nie widzi!

— Hi, hi! — do stu kroć, — trente sou —

http://rcin.org.pl

quarante, hi, hi! — śmiał się Król Morza w swem łóżku szafowem.

Rosseherre trzęsła się na całem ciele. Zachowała się, jakby postradała zmysły, płakała, szeptała i pokrywała moją twarz prędkimi pocałunkami. Poczem pocałowała mi ręce i nogi stokrotnie. „Me o car" — szeptała.

— Dobranoc, Rosseherro.

Odprowadziła mnie za drzwi.

— Dobranoc! — uśmiechnęła się, a pierś jej falowała szybko. A kiedy już odszedłem, znowu zawołała na mnie.

— Słuchaj — rzekła, czy nie mógłbyś pożyczyć mi sto sou — mam dawny dług. — Zająknęła się. — Nie, nie sto, — pięćdziesiąt,— dwadzieścia sou?

Nazajutrz wieczorem do mego okna znowu rozległo się pukanie. Przed drzwiami stała Rosseherre. Przyszła opowiedzieć mi o zdrowiu Jeana Louis.

— Jest mu już dobrze, o tak. Jutro znowu wyjedzie na morze.

— Nie zajdziesz do mnie, Rosseherro?

Roześmiała się.

— Owszem.

— Wejdź więc.

Jak głośno psykały w te letnie noce świerszcze dokoła willi „Burza"!

http://rcin.org.pl

Yann miał wiele roboty na brzegu, transportował węgiel dla Creacha.

Gdy zmierzch zapadał, siedziałem przed drzwiami na gorącym jeszcze od słońca kamieniu i grałem sobie piosenkę na flecie.

http://rcin.org.pl

XVII.

Poczem nastały wielkie burze i wszystko zmieniło się. Same burze temu były winne...

Pewnego ranka obudziłem się z ciężkiem uczuciem. Nie miałem czem oddychać. Wyszedłem popatrzeć, czy nie opuściło się niebo do ludzkich głów, czy nie zniżyło się i czy nie ciąży nad wyspą na wysokości człowieka? Było cicho dokoła. Zamarły trawy, morze, powietrze. Na morzu leżał długi obłok dymu parostatku, który już znikł na widnokręgu, i ten obłok stał nieporuszony. Szare, starcze niebo patrzyło z góry na ziemię. Kędy odeszło życie?

W godzinę potem wszystko zmieniło się. Mewy najpierwej poczuły święto. Muskały brzuchami morze, mknęły szerokiemi szybkiemi kołami i dziko krzyczały. Na horyzoncie wysuwała się niepozorna ołowiana ława chmur, ale tak szybko, jakgdyby wyrosła z zagłębie-

http://rcin.org.pl

nia i w miarę tego, jak rosła—stawała się coraz bardziej ciemną, prawie czarną. Przed nią biegły białawe pionowe strzępy obłoczków. Morze stało się ponurem i zmarszczyło się, jak czoło dzikiego zwierzęcia, które traci cierpliwość. Skrzydła chyżych mew mknęły przed ciemną chmurą, blade jak wapno. Jaskółki morskie latały zygzakami nad urwiskami, dzwoniły, ćwierkały. Na jednej ze skał siedziała czapla, patrzyła na morze i od czasu do czasu uderzała skrzydłami.

Serce me biło.

Nagle nad nami rozległo się świszczące uderzenie i całą wyspę osłoniła ogromna chmura pyłu; cała wyspa zda się zakotłowała się. Trawy pokotem leżały na ziemi; w powietrzu, świszcząc leciały drobne kamyczki. Otóż ona...

Co to była za pieśń — o bogowie? Pieśń o chaosie, gdy jeszcze nie było nic oprócz czarnych wód i nagich skał! Była to pieśń bojowa pierwotnych wielkoludów, walczących o morze, o ziemię i druzgoczących się nawzajem...

Ciężko huczało morze, skały grały, a wszystkie dźwięki zlewały się w jeden głuchy, brzęczący, wstrząsający wszystko huk. W powietrzu grzmiało, drżała atmosfera, huczało niby potężny wentylator, odrywało mięso od ko-

http://rcin.org.pl

ści, rwało powieki i wargi, gięło na wsze strony uszy, nos.

Wysoko wzdłuż brzegu leżała piana, a zdawało się, że brzeg ten jest pokryty śniegiem. Na rafach w morzu powiewały pióropusze generalskie. Morze aż po sam horyzont pstrzyło się od smug, było dwoma białośnieżnemi grzbietami z piany — z nocą po środku — niczem więcej nie było morze. A te grzbiety z piany szalały przeciwko wyspie, a zbliżając się jeszcze bardziej pędziły. Były to szeregi białych koni z rozwianemi grzywami, spienionemi pyskami, rzucające przedniemi nogami. Wskakiwały na skały, wzbijały się ku górze, rżały, rozrzucały grzywy i rozbite spadały na wznak do morza. I w tymże samym momencie nadbiegał następujący szereg — hej, hej, hop, hop! Wiatr chłostał je, a one zwarły się z całych sił, nadbiegały, wspinały się w górę i rozbijały.

Oto—ona!

„Ojcze nasz— otóż ona! Co mam począć? Wskaż mi pieśń, którą mógłbym zanucić! Czy mam śpiewać o zielonym, jak trawa, djable morskim, który spał na dnie, a teraz wspiął się ku górze i kręci się jak oszalała turbina?

Poupoul podskoczył ku mnie, a ja chwyciłem go za gardło i począłem dusić. „Strzeż się, Poupoul, czyliż nie widzisz, że jestem zabójcą!

http://rcin.org.pl

I podszedłem ku morzu, i krzyczałem burzy wprost w twarz...

W dole, tam w przystani, stali mężczyźni i kobiety, rzekłbyś powiewające strzępki flag, wszyscy wystraszeni i bladzi. Jedna z kobiet z krzykiem rzucała się, załamywała ręce. Mąż jej wyjechał w nocy na morze i dotąd jeszcze nie wrócił. Każda fala zatapiała granitowe ściany tamy, a igrając, podrywała ku górze ciężkie pierścienie żelazne, i pierścienie te brzęczały.

Podnosiły się, spadały całe ściany wód. Na tamie leżał ociosany granitowy głaz metrowej wysokości i szerokości, który miał służyć za kotwicę pewnej baji. Głaz leżał fali po drodze i naraz fala podniosła go i cisnęła w dół przez tamę.

Statek pocztowy szybko wprowadzono do wewnętrznej przystani; marynarze rycząc biegali po pokładzie i naciągali liny. „Komisjoner“ spętany został, jak furjat łańcuchami, linami drucianemi, sznurami. Jednakże drżał z niezadowolenia, stawał dęba, rwał pęta i rozbił na tysiące kawałów balustradę stojącego w tyle po za nim statku „Notre Dame de l'Isle“. Dalej w rozszalałej zatoce szarpał się na łańcuchach mały parowiec Yanna. Wesołej zabawy, Yann!

 Naraz ujrzałem Rosseherrę.

http://rcin.org.pl

Siedziała na rafach, po drugiej stronie małej przystani. Była żółtą i mizerną, a podniósłszy wysoko brwi, patrzyła w dal. W rękach miała różaniec, wargi jej poruszały się.

— Hej! Rosseherro! — krzyknąłem ze wszystkich sił, lecz nawet nie usłyszałem własnego głosu.

Nagle wśród burzy rozległo się jakieś żelazne szczekanie. Dzwoniono. Koło Stiffu okręt był w niebezpieczeństwie.

Natychmiast ruszyłem w drogę. Do Stiffu nie było nawet godziny drogi, lecz ja potrzebowałem na to prawie dobre dwie godziny. Przytrzymałem płaszcz zębami, a głową rozbijałem burzę. Musiałem wywalczać sobie drogę krok za krokiem. Burza zaostrzyła krople deszczu jak igły, i krople te niby lodowe strzały wbijały się w moją skórę. Od czasu do czasu wypadało zatrzymywać się, by odetchnąć pod osłoną głazu, jeśli tylko znajdowałem dostateczną dla swojej głowy osłonę; tak, aby odetchnąć parę razy. Gdy opuszczałem schronienie, wnet wicher chwytał mnie jak świszczący pas transmisyjny i porywał z sobą. Poupoulowi też lżej nie było. Co każde dziesięć kroków podstawiał wichrowi swoją tylną część, a przycisnąwszy łeb ku ziemi, oddychał między łapami. Widziałem mewę, która fruwała wstecz Spuściła się zmęczona na ziemię, odetchnęła

http://rcin.org.pl

nieco i znów rzuciła się naprzeciwko burzy. Obracała się jak śruba okrętowa, ale wiatr był mocniejszy od niej i znowu odrzucał ją wstecz. Burza porywała ją ku górze, niby kawałek papieru, mewa krzyczała, robiła skrzydłami jak szalona, ale daremnie; wicher niósł ją tam, gdzie chciał! W trzy godziny była w Anglji. Naraz zagwizdałem. He! Tak jest, gwizdałem wbrew woli. Wiatr zabawiał się, igrając w mem gardle, to też otwierając i zamykając usta, mogłem był cały koncert wygwizdać. Nad mokrym stepem rozpościerał się dym. Zatrzymałem się. Gęsta pozioma chmura dymu, jak szalona mknęła wraz z burzą. Nie jest-że to pożar? Azali nie pali się to statek tam w dole? Nie, była to tylko para wodna. Wyspa tu jest bardzo wysoka, ale wicher dął tak mocno, że wznosił i porywał pył wodny ze szczelin i zagłębień w skałach, jak wiatr wznosi dym z komina. Trzy, cztery takie kolumny dymu mknęły wpoprzek wyspy.

Ukazał się wreszcie Stiff. Jego maleńka żółta latarnia, skrzywiwszy się, pływała w pęcherzu wodnym; domek ze stacją Marconiego przykucnął, jak szary rozkudłany zwierz w szalejącem polu. Stiff nawet w słońcu wydawał się takim beznadziejnym, bezludnym i przygniatającym, że serce zamierało. Dziś zaś była to piekielna pustynia, która nawie-

http://rcin.org.pl

wała grozę. Jak złowrogo czerniała flaga nad semaforem! Tu wicher poderwał mnie, niby świstek, dobrą część drogi niósł przed sobą, aż wreszcie udało mi się na czworakach posuwać się od głazu do głazu. Tchu mi brakło, ze zmęczenia prawie dostałem choroby morskiej, gdy dobrnąłem nareszcie do stacji Marconiego. Zastukałem w żelazną okiennicę.

Pan Boucher był tu, chwałaż ci Panie! Rzucił się ku drzwiom. „Ależ ciągnijcie!" — krzyknął.

— Ciągnę przecież! — odparłem. Drzwi znowu zamknęły się. Czyliż doprawdy my, dwaj mężczyźni nie jesteśmy w stanie otworzyć tych mizernych drzwi? Pan Boucher wsunął między drzwi swój drąg, ja pociągnąłem i drzwi z trzaskiem odpadły ku zewnętrznej ścianie domu, i tak tam pozostały, jak przykręcone. Pracowaliśmy jak djabły, deszcz chłostał nas po twarzy, wiatr odrywał mięso od kości — nareszcie dobiliśmy się swego.

— Zdaje się, że jakiś statek jest w niebezpieczeństwie, panie Boucher?

— Spójrz pan do okna! Na dół. Widzi pan? To łódź rybacka.

Tak, widziałem ją. W głębi, wśród spienionych grzbietów fal kurczowo rzucał się maleńki żagiel.

— No?

http://rcin.org.pl

— Zginęli! Nie mogą oni wypłynąć na morze, ani wejść do zatoki, gdyż rzuciłoby ich na skały. Pan Boucher nałożył na głowę hełm telefograficzny ze słuchawką i zasiadł do aparatu: „Przed chwilą podsłuchałem właśnie rozmowę między jednym parostatkiem a Lizardem. Zdaje się, jakiś statek doznał katastofy. Ot przeczytaj pan tu; nie, teraz ja nic nie słyszę.“

Była to depesza statku Cunardlinera Celtic — do Lizarda. Celtic telegrafował, że minął właśnie statek węglowy „Fulspeed“, o piętnaście mil ku południowi od wysp Scilly — Islands, bez masztów i kominów; maszyny są nieuszkodzone.

— Tak, teraz pójdę z powrotem. Dzięki serdeczne, panie Boucher.

Musiałem zejść na dół. Dla mnie i po dziś dzień jest zagadką, w jaki sposób Poupoul i ja zeszliśmy urwistą ścieżką ku zatoce, dość że zeszliśmy na dół — to fakt.

We wnękach skał ukryła się garstka rybaków. Buda, w której mieściła się łódź ratunkowa, była otwartą. Nie mogli oni, rzecz prosta, podpłynąć ku rzucającemu się maleńkiemu żaglowi. Niemożliwem było nawet spuścić łódź na wodę. Stali, wsunąwszy ręce
 do kieszeni spodni, milczeli i nieruchomo pa-

http://rcin.org.pl

trzyli przymrużonemi oczyma na morze. Sztandary piany wysoko zbijały się nad nami.

U drzwi budy siedziała kobieta z dwojgiem dzieci, a wszyscy troje nieruchomo śledzili za małym żaglem, który drgał i krążył. Kobieta miała twardy wyraz oczu, uśmiechała się chłodno i wzgardliwie.

— Jest to żona tego oto kierownika łodzi. Są już dwadzieścia cztery godziny na morzu. Mają z sobą tylko kawałek chleba i butelkę sznapsu. Długo już nie wytrzymają. Zginęli!

Gdy przybyłem do domu, willa „Burza“ była jakgdyby owiana trądem. W powietrzu latały kawały piany. Wściekły przypływ przemieniał wodę między rafami w brudną pianę, a wiatr unosił całe bloki piany. Przed memi drzwiami leżała ona na stopę wysoko, zaś daleko było nią pokryte całe wrzosowisko.

Burza, zda się, językiem wylizała mój wielki komin. W pokoju nie było widać ani pyłku.

Tej nocy spałem mało. Wciąż myślałem o małym żaglu, krążącym koło Stiffu. Teraz już są trzydzieści godzin na morzu. I wciąż kołują! Być może, nie mogli opisać koła większego w obwodzie nad dwieście metrów, dość że było to wszystko, na co mogli sobie pozwolić. I to zaledwie o pół mili od brzegu... akto! Widzieli przed sobą ogień Stiffu, wprost

http://rcin.org.pl

przed oczami, w dzień wyraźnie widzieli czarną flagę nad semaforem. Oto śmierć powiewała tam w górze; to była ich śmierć. Widzieli być może, domy za których grubemi ścianami można było spokojnie siedzieć, jeść i pić—a jednak w kółko krążyli, uciekając przed śmiercią, która igrała z nimi!

Noc pełna była nieopisanego hałasu. Bryzgi wody ze świstem latały nad mym dachem, spływały wzdłuż ścian. Huczały strugi deszczu. Grzmiało, huczało. Zdawało się że to oszalały wielkolud — goryl siedzi na rafach, i bębni pięściami po brzuchu. Krzyki rozdzierały powietrze, rzekłbyś ze skał zrzucano w dół ludzi a ci, spadając, krzyczeli. Śmiech, przekleństwa. To krzyczeli wszyscy marynarze, którzy potonęli w morzu i potrząsali pięściami nad rafami.

Szlochali, ponieważ nie było im sądzonem ujrzeć więcej ojczyzny. Wszystkie statki, które porozbijały się tutaj, znowu wypłynęły tej nocy. Trzeszczały, łamały się, szły na dno. A poprzez hałas słyszałem głuchy dzwon morza. Zakotłowało się do głębi. Na dnie — dzwony huczały:

— Bum — bach!—bum — bach!

Ale w hałasie tym wyraźnie rozróżniałem płacz, straszny płacz samotnego głosu. Spie-

http://rcin.org.pl

rał się o coś z Bogiem i z piekłem i nie mógł się zatrzymać. Był to Poupon, morderca, którego morze nie chciało przyjąć. Czy słyszysz go? Niekiedy wydawał krzyk z siebie, rzucał się w dół, ale znowu i znowu powracał, wył przeklinał Boga i świat, i ciskał Stwórcy skały, w twarz, tak — skały, skały! Nie słyszysz?

Część pustkowia, na którem stał dom, nazywała się cmentarzem angielskim. Przed dwustu laty rozbiła się tu właśnie flota angielska, liczącą czterdzieści statków; cały brzeg usiany był trupami. Tu ich pochowano. Teraz i oni usłyszeli, że tam w górze coś dzieje się i wyszli z mogił. Huczeli, i darli się; jazgotem brzmiało wiele setek głosów, mnie jednak wydało się, że rozumiem każdy poszczególny głos. Dom stał na drodze, musieli coś zdemolować, bo byli rozwścieczeni. Runęli na dom ten plecami. Kopali nogami we drzwi, śmieli się. „Otwórz, otwórz, You damnedrascal!! Wyraźnie słyszałem ich, słyszałem nawet, że mówili po angielsku. „Na dach“! Otóż nawet i na dach wdarli się, dudnili, połamali mi dachówki i wreszcie poczęli ryczeć do mnie przez komin. Ryczeli jednogłośnie: Cha! Cha! Cha! Son of a bitch! Cha, cha, cha!

Usiadłem na łóżku, włosy mi stanęły dęba. Każdy pojedyńczo.

http://rcin.org.pl

Tu jednak nad mym domem rozległo się przeraźliwe gwizdanie, hałas, odgłos bójki; słyszałem jak oddalali się, jak ostatni z nich ześlizgnął się z dachu. Wykrzykując, biegli przez pole. Jak błyskawica, setkami, wszyscy naraz! Słyszałem ich krzyki, ginące coraz bardziej w dali. Żagiel! Tak, maleńki, drżący żagiel koło Stiffu!! Tu była dla nich robota. Tu mogli coś zdziałać..,

„A może oni właśnie teraz toną“, — pomyślałem na głos, i zrobiło mi się zimno.

http://rcin.org.pl

XVIII

Nadszedł dzień, gdy huragan huczał nad wyspą, niby tysiące wściekle mknących pociągów kurjerskich. Nie wył już, nie krzyczał, lecz warczał głucho i tępo. Gdyby tak zdjąć kapelusz, kurtkę, i powiesić je na zewnętrznej ścianie domu bez gwoździ, to zawisły by, jakby je przykleił kto — tak mocno dął wiatr! Maleńki żagiel wciąż rzucał się, wciąż w tem samem kole; już trzydzieści sześć godzin byli na morzu. Nastała noc, pięć tysięcy kannibalów pląsało dokoła mego domu; znowu zaświtało — huragan jeszcze warczał.

Maleńki żagiel znikł.

Usłyszawszy to, zbladłem.

Byliśmy wszyscy w restauracji Chikela i gorączkowaliśmy się! O, diaul! Pajda chleba i flaszka sznapsa, dwa dni bez snu a jaka praca! — Drzwi otwarły się i cóżeśmy ujrzeli? Trzy widma morskie! Trzy widma o białych jak wapno twarzach i zsiniałych ustach, trupy,

http://rcin.org.pl

długie dni leżące w lodowej wodzie o szklanych oczach, ze zlepionemi cienkiemi włosami i obłędnym martwym uśmiechem. To byli oni!

Wszyscy ucichli.

Trzy morskie widma poczęły nieprzyzwoicie wymyślać: „Kanalje! Tak bez niczego dalibyście nam najspokojniej w świecie zginąć!“ Chwała Bogu, — ocaleli.

Zdecydowali się na rozpaczliwy krok. Wyjechali na otwarte morze, by umrzeć — albo okrążyć wyspę i przybić gdziekolwiek od strony pozbawionej wiatru. Udało im się. Cho, cho! Zuchy! Tu wszyscy rzuciliśmy się całować ich.

Leli sobie wino do gardzieli, płókali gardła wódką, jeden z nich upuścił ze trzy, cztery kieliszki: stracił był najzupełniej czucie dotyku w rękach i śmiał się idjotycznie.

Naraz wszedł jeszcze jeden upiór morski. Nie był biały, był czarny jak murzyn, z pozostałą tu i tam białą barwą na twarzy i z czerwonemi kręgami pod oczami. Był to Yann. Maleńki kapitan mówił jak z beczki i charczał rozpaczliwie.

— Musiałem wylądować — kaszlał. — Nie mam więcej koniaku. Hej, gospodyni! A żwawo! Zeszłą nocą mieliśmy istne piekło! A może chcesz ze mną na statek? Hę?“ O,

http://rcin.org.pl

Yann, jak ty wspaniale szyderczo uśmiechasz się!

— Sześć flaszek koniaku, *m-me* Chikel — odparłem. — I trochę sera! A chleb masz? Chodźmy, Yann!

W przystani pływały drzazgi zdruzgotanej „*Notre Dame de l'Isle*". Z każdą falą gnało je naprzód, porywało w tył. Spętany „Komisjoner" uszkodził sobie parę żeber, leżał sterem na brzegu i ciężko rzucał się.

Skoczyliśmy do łódki. Poupoul na czele. Pies ledwo oddychał z radości, ile razy mógł wskoczyć do łodzi. Wiosła pogrążyły się w wodzie i łódź została wyniesiona na morze na powracającej fali. Yann siedział u steru ze zgiętą szyją i bacznie spoglądał za każdym ruchem fali, jak bokser za ruchami przeciwnika; rzucał marynarzom rozkazy, ci zaś z wytężeniem patrzyli mu na usta, ponieważ na morzu ani słowa nie można było rozróżnić. Trzeba nam było wiosłować ogółem z pięćset metrów, lecz nam zdawało się, że nigdy nie dojedziemy do „Robotnika". Niekiedy łódź stawała literalnie w pozycji pionowej.

„Robotnik" rwał swe łańcuchy kotwicowe, stawał dęba i brykał jak koń! Pokład jego to był na poziomie wody, to wzlatywał ku górze na całe piętro i „Robotnik" obnażał wtedy swój czerwony brzuch.

http://rcin.org.pl

Pierwszy wszedł na statek Yann, poczem podałem mu na górę Poupoula, trzęsącego się z podniecenia, a wreszcie za nimi, wdrapałem się — ja.

„Robotnika“ puszczono pełnym biegiem. Rzucał się naprzód z szybkością siedmiu węzłów, lecz pomimo to nie ruszał się z miejsca. Nawprost niego biegły całe domy, całe ulice rozkołysanych mas wodnych. Przestrzenie między szeregami fal wynosiły dobre dwieście kroków. Piorunująco nadbiegały równiny, a z nich, drgając, wyrastały góry wodne. „Robotnik“ podnosił się, gramolił, skakał, ślizgał się w dół, i znowu szybko nadbiegała masa wód. Wiatr roznosił wodne brzegi, a fale, zdawało się, usiane były białemi, długiemi, wełnianemi nićmi. Rzekłbyś, biegnące czarno-zielone góry, w których przesmykach i wąwozach taje śnieg. Bryzgi fal z szybkością błyskawicy ślizgały się wzdłuż ścian parostatku, krążyły wściekle, i z szumem i gwizdem wpadały na pokład.

Z „Robotnika“ od góry do dołu ściekała woda.

Fala poziomo przebiegła nad statkiem od dziobu aż do steru, chlusnąwszy mi wodą w twarz.

„Naprzód“! — zaryczał Yann i popchnął mnie na dół, do otworu. W małej cuchnącej

http://rcin.org.pl

kajucie nie sposób było ani chwili ustać na nogach. Była ciemna, a obracała się jak duży rekin podczas pełnego biegu. A wiadomo, że rekin pływa linjami spiralnemi.

Otwór był zaśrubowany od strony zwróconej do wiatru, promień zaś światła przedzierał się ku nam dopiero wtedy, gdy szkło znajdowało się nad wodą. Poupoul pokasływał. No, Poupoul, tylko, nie to! Cóż to znowu, psie okrętowy! Ach nie, przecież Poupoul tylko gwoli przyjemności zakasłał, czuł się on tu na dole, jak w domu.

— Pij prędzej! — ryknął Yann, i nalał koniaku do blaszanego rondla. I wnet poczęliśmy pić na zabój. Tu w dole, w brzuchu rekina, nic innego nie pozostawało do zrobienia, nie było innego wyboru. Na zdrowie, moi państwo!

Spędziłem na „Robotniku" niezapomniane dwa dni i dwie noce.

W godzinach przypływu Yann zmieniał swego sternika. Szliśmy na górę. Zaledwie wysuwaliśmy głowę z otworu, wiatr i woda, jak tarka, wpijały się nam w twarz. Pomiędzy dwoma wałami wchodziliśmy wązką żelazną drabinką na mostek, i tu mocno przywiązywaliśmy się. Burza witała nas głośnem, tryumfującem wyciem, jakgdybyśmy się ukrywali przed nią. Bryzgi biły w naszą naoliwioną

http://rcin.org.pl

odzież i silnie przywiązane hełmy; całe groty wody lały się na nas! Woda na pomostku wznosiła się powyżej kostek, ale ponieważ byliśmy boso, tedy nie mogło to nam szkodzić.

Woda kołysała się to w jedną, to w drugą stronę, a wreszcie przewaliła się w dół po żelaznych schodach. Niekiedy o parostatek uderzały bomby wody, wówczas maszty i komin, wszystko znikało w obłoku piany i pary.

Yann strasznie kasłał, a wymyślał bez przerwy. Skaleczył sobie do krwi usta, koło tuby, tedy wściekał się. Każdą poszczególną falę obsypywał przekleństwami, jak jakiego wroga osobistego. Kiedy nadbiegała góra wodna, to krzyczał przez tubę: „w tył!“—a kiedy wdzierał się na górę, komenderował: „naprzód!“ by wyrównać napór wielu tysięcy tonn wody. Łańcuchy kotwicy wyciągały się, trzeszczały, brzęczały, czub statku pogrążał się i natychmiast wysoko na kilka pięter wzbijał ku górze. Parostatek częstokroć tak silnie przychylał się na bok, że mostek stawał pionowo. Morze w nocy było ciemne, jak smoła, a skłębione ciemne grzbiety jaśniały, jak śnieg. Creach rzucał dokoła swe świecące się konusy, oświetlając złe, prawie pomarszczone morze. Para od bryzgów wodnych błyszczała i iskrzyła się w jego świetle. Co siedm sekund widzieliśmy, jak skakał w zatoce „wielbłąd“. „Wiel-

http://rcin.org.pl

błąd“ była to wysoka, blizko pięciopiętrowa, skała, lecz woda i ją zalewała. Niekiedy piana latała w górę, na wsze strony, zda się „wielbłąd“ zeskoczył do wody z wysokiego urwiska.

Około godziny trzeciej w nocy zdarzyło nam się nieszczęście. Szczyt fok-masztu z naszą ładną latarką spadł za burtę. Yann wyrzucił z siebie możliwie najdłuższe i najnieprzystojniejsze przekleństwo, jakie kiedykolwiek bądź zeszło z języka ludzkiego. Gdyby nie był mocno przywiązany, to ze wściekłości napewno, rzucił by się wnet za fok-masztem.

— Chodzi o to, że... — krzyknął mi Yann do ucha i zwrócił czub statku nawprost fali, która przegnała wszystkie inne i z wysoko podniesionemi białemi łapami przecięła mu drogę,—że kotwice głęboko siedzą, do stu kroć, ale licho wie, jak długo wytrzymają łańcuchy! Wówczas — bądź zdrów: za dziesięć minut poniesie nas ku rafom! Ostrożnie! O, żeby cię, włochaty potworze, wszystkie śmierdzące djabły piekielne!... *En arriere!* — ogromna masa wód walnęła na pokład i statek opadł tak głęboko, że minęła cała wieczność, póki znowu nie wynurzył się.

Od czasu do czasu przedsiębrałem małą ekspedycję do hali maszyn. Opuszczałem się po schodkach na pokład, wyczekując mo-

http://rcin.org.pl

mentu, gdy znowu będę mógł uchwycić się poręczy żelaznych, nie ryzykując wyleceniem za burtę, i przedzierałem się od strony osłoniętej od wiatru wzdłuż ścianv kotlarni. Tam, gdzie wiatr znajdował szczelinę, dął tak wściekle, że czułem, jak obsuwa się i mięknie mięso na mych kościach.

Aha, otóż oni! Krzątali się tu, w dole, czarni, jak murzyni.

Zastukałem do przygwintowanej luki; podnieśli głowy, wyszczerzyli zęby, a maszynista otworzył mi. Spuściłem się na dół po żelaznej drabince. Jakże ciepło tu było!

— A wam, gałgany, dobrze tu!

— Czemu nie przyniosłeś nam nic do picia?

— Tak jest, jak mogłem odważyć się przyjść bez koniaku do tych czarnych djabłów z rozpalonemi gardłami!

— Zaraz!

Znowu wyłaziłem do luki, odbywałem podróż do kajuty i wracałem. Palacz gotował wodę w rondlu, by przygotować wielki kufel grogu. Tu, w dole, czuć było gorącym olejem i pakułami. Łopata zgrabiała węgle, a gardziel pieca wyrzucał płomień. Błyskały rozpalone węgielki, spadając na moje bose nogi. Burza huczała gdzieś daleko. Tu było dobrze i spokojnie jak w wykwintnym salonie, kiedy na zewnątrz grad pada...

http://rcin.org.pl

Wiatr trąbił i gwizdał do tuby; z monotonnym hałasem wypadała komenda Yanna: *en route, doucement, en arrière!* Maszynista trzymał rękę na dźwigni, maszyna tykałą, a kiedy szruba znalazła się nad wodą, to kołysała się cała.

— *An... au... au.. en route!* — kaszlał Yann.

— Zaziębił się trochę mały kapitan. Ludzie lubili Yanna i polegali na nim, mimo że tenże niekiedy rzucał się na nich z pięściami. Miał on bezsprzecznie też swoje dobre strony. A pozatem znał się na rzeczy.

Chłopcy ci, żyli tu w dole, swojem własnem życiem. To, co działo się w górze, nie obchodziło ich nic a nic.—Była, wprawdzie dziś praca, ale to bynajmniej nie przeszkadzało im arcywesoło bajdurzyć o swych psich figlach z jakąś grubą kelnerką w Brest — cha, cha, cha!

Zahuczała tuba, i parostatek szarpnęło do góry. Wał wodny wstrząsnął statkiem, — który zapadł się. Dokądże jeszcze mamy iść? Przez chwilę stał nieruchomo, poczem, drżąc przechylił się na bok, tak że podłoga znalazła się prawie w pionowej pozycji, i trzeba było mocno trzymać się rękami i nogami. Nie rzekliśmy ani słowa. Twarz maszynisty koło dźwigni była woskowo żółtą pod warstwą sadzy.

http://rcin.org.pl

— Jeśli „mały kapitan“ nie da teraz komendy — to znaczy się że spadł za burtę! — rzekł i nasłuchując otworzył usta i oczy.

— *En route, nom de chien!* — zagrzmiał głos w tubie.

http://rcin.org.pl

XIX

Gdy tylko Yann schodził z posterunku — wnet stawał się zupełnie prywatnym człowiekiem i zachowywał się tak, jakgdyby go wszystko nic a nic nie obchodziło.

Jedliśmy kolację. Yann wycinał olbrzymie zęby w chlebie, w bułce i serze, i obiema rękoma napychał sobie usta. Żuł jeszcze prawą szczęką, podczas gdy lewą już pił z butelki. Nie tracił ani minuty, zawsze pędził pełnym biegiem. „Jedz i pij!" — wykrzykiwał. Biedny Yann! Stracił zupełnie głos. Jeszcze oblizywał językiem zęby, a już odkorkowywał nową butelkę.

Poczem wyjął cygaro ze skrzynki, odrzucił się w tył i dwa razy westchnął głęboko.

— Cha — cha! — śmiał się.

— Za twoje zdrowie, kapitanie!

— Cha, cha! — Yann wesoło zerknął okiem i z zadowolenia pierdnął. Zaraz potem wy-

http://rcin.org.pl

buchnął głośnym, kaszlącym śmiechem i zapalił cygaro. Nie, wy nie myślcie, że Yann tylko je wziął i zapalił. On nic bez ceremonji nie robił. U końca cygara zrobił nacięcie i w tem właśnie miejscu zapalił je! „Patrzaj! Ach, oczy zaraz wytrzeszczysz! Zaraz — cha, cha, cha! Zaraz będzie z niego — mnich!“

Zaciągnął się kilkakrotnie, zapaliło się nacięcie i, jak Bozię kocham, ukazał się mnich w kapturze, z ogniście czerwoną, tłustą twarzą, poczem ukazały się jego siwe włosy!

Yann zachwyconemi oczami patrzał na mnicha. „Cha-cha-cha! Widzisz go? Pater, franciszkanin, benedyktyńczyk, kapucyn!“

Śmiał się tryumfująco...

Do następnego dyżuru pozostało nam dobre cztery godziny, to też gawędziliśmy trochę. Najedliśmy się już dostatecznie i napiliśmy, a teraz robiliśmy to tylko dla przyjemności. Piliśmy czysty koniak z płaskiego blaszanego rondla i trzymając się za ręce wdrapywaliśmy się w górę szczebel po szczeblu. „Robotnik“ stukał, drżał i trzeszczał we wszystkich szwach, zda się łamiąc się na dwoje. Fale chlustały nad naszemi głowami, na pokład, a nasza mała lampka naftowa skrzypiała, opisywała koła i kopciła. Twarz Yanna była zupełnie ciemną, a na jego ponurej twarzy świeciły jasno prawie białym światłem, wodnisto niebieskie

http://rcin.org.pl

oczy. Płonący mnich czadził i smrodził, jakgdyby włosy i masę rogową miał w ciele.

Rozpoczęła się biesiada. Nigdy nawet pięciu minut nie mogliśmy pomówić, nie kłócąc się. Ot, leżymy wygodnie na tapczanach i palimy, lecz naraz zrywamy sie i poczynamy ryczeć na siebie, jak wściekli.

Naprzykład, drugi maszynista u Yanna miał suchoty, na co Yann dawał mu radę, by wchłaniał żar z pieca, to zabije bakcyle...

Uważałem radę tę za niewłaściwą. Wprost przeciwnie...

— Współczesna terapja udowadnia, że właśnie żar — to trucizna, Yann!

Yann odparł mi na to zjadliwym, ironicznym śmiechem.

— I dlatego chorych posyłają do Egiptu, co? — cha, cha!

— To dla suchości powietrza.

— *Eh bien, mon cher monsieur le docteur*, a w piecu to powietrze nie suche, co, hę?

— Yann, ty jesteś dwudziestotonnowe bydlę!

— Cha, cha! Co, może zimne powietrze leczy? Ładny kwiat!

— Ależ w niem mniej bakcylów!

— *Bien!* Dlaczegóż więc nie posyłają chorych na biegun północny? Czy słyszałeś kiedy, aby suchotnika posyłano na biegun pół-

http://rcin.org.pl

nocny? Tak! Zresztą, mój brat, znakomity specjalista w Nicei...

— Milcz! Milcz! — ryczałem.

— Będę mówić, ile zechcę... — darł się Yann!

Dwudziestu braci i pięćdziesięciu kuzynów miał Yann, rozproszonych po całej kuli ziemskiej, to też niemożliwem ich było przegadać. Czy to mowa była o maszynach, czy o astronomji, czy o produkcji zapałczanej, Yann zawsze miał jakiegoś brata specjalistę, udzielającego mu informacji o najnowszych zdobyczach w tej dziedzinie. Yann zawsze zdobywał palmę pierwszeństwa i wymachiwał tryumfująco rękami.

Poczem wdarł się na następny szczebel, na którym zaczynały się już żarty i figle.

Yann rzucił na stół tuzin zapałek: — rozłóż je tak, ażeby...

— Wynoś się do djabła, Yann!

Ale Yann rozkładał zapałki tak, jak trzeba było i śmiał się. Chciał tylko udowodnić mi, że ja nic nie umiem, nic nie umiem, nic a nic.

— Chcesz, to wyrznę ci wachlarz z kawałka drzewa?

— Nie! — Jednakże chciałem był widzieć bardzo, jak on to zrobi.

— Zobaczysz! Robi się to na statkach żaglowych.

http://rcin.org.pl

Yann wstał, szybko obrzucił spojrzeniem kajutę, odbił listwę u szafy z mapami geograficznemi i natychmiast zabrał się do pracy. Raz, dwa — drzazgi poleciały. Siedział na tapczanie, podgiąwszy kolana i z całą pewnością siebie operował nożem, mimo, że bezustanku rzucany był to w górę, to na dół. Niekiedy wpierał się kolanem w stół, aby nie zlecieć. Przedewszystkiem ostrugał drążek, który był nadciął w różnych miejscach — wyobrażało to ozdobę rączki i samego wachlarza — poczem rozczepił drążek na cienkie wiórki, z góry na dół ku rączce, i wiórki te ostrożnie poodginał nazewnątrz. Tak! Pięć minut i już gotowe! Cha, cha! Wachlował się kokieteryjnie.

— Następnym razem wyrzeźbię ci trzyżaglowy statek z butelki po koniaku.

— Chroń mię, Panie Boże!

— Kompletny ekwipunek!—mój drogi. Tak. Poczem Yann pokazał mi jeden ze swych ulubionych kawałów. Wziął nóż, tępy brudny nóż, którym rżnął ryby i szczury, przystawił go do wielkiego palca i zarznął. Chlusnęła krew. Yann wsunął palec do ust, pomasował go — ani śladu krwi. Cha-cha! Przysunąłem się bliżej! Yann ty jesteś kanalja. Był gęsty dym, więc źle było widać. Yann tryumfująco powtórzył eksperyment i przekonywująco wykonał przede mną wszystkie jego fazy. Poczem nożem

http://rcin.org.pl

uczynił nacięcie dokoła paznokcia wielkiego palca, które powoli napełniło się czarną krwią. Liznął — ścisnął — ani śladu...

— Zuch jesteś!

Ale Yann wymownie spojrzał na mnie i śmiał się: a ty co umiesz? Nic!

I rzeczywiście, ja nic nie umiałem... Umiałem rozerwać szpagat swym bicepsem, zagwizdać na dwa głosy, pluć po amerykańsku, znałem dwie pieśni przedpotopowe, umiałem wyprawiać trele na flecie — same nic nie warte sztuczki...

Zaczem Yann wziął wielki łyk, i rzucił się na tapczan z cygarem w ustach.

— Wcale nieźle się wiedzie temu, kto dobił się już czegokolwiek... — zaczął zarozumiale i znikł w obłokach dymu.

— Kapitan, sto dwadzieścia franków pensji miesięcznej, własne winko, cygara, kanapka do snu... Czegóż więcej? Najcięższe przeżyte już. Ach, najokropniejsze, czy wiesz ty, ech, co jest najokropniejsze? Połóż mi dziesięć tysięcy franków na stół — nie więcej! Odbyłem dwie wyprawy na okręcie. Jest to psie życie, życie dla świń!...

— Co ty tam mielesz językiem?

— Idjoto, cóż to, nie słyszysz? Ja o St. Pierre, mówię, do stu djabłów. Pięćdziesiąt tysięcy sztuk stokfiszów, ośmdziesiąt tysięcy

http://rcin.org.pl

przy jednej wyprawie. Ech, mój miły! Okręt od góry do dołu naładowany solą; zaczyna się praca! Ryba, ryba, nic oprócz ryby. Ty spisz, tyś śmiertelnie znużony, *pique, pique*, wstawać. Ryby przyszły? Ubierasz się naprędce. (Tu Yann ubierał się naprędce i przecierał senne zlepione oczy) Zimno, brrr.. Ledwo na nogach się trzymasz, zarzucasz wędę, ciągniesz ją, a śpisz przy tem. (Yann zarzucał wędę, ciągnął ją i spał przy tem) naraz, — szszsz!... Nadbiega wieloryb i rozpędza ryby. Ty drzemiesz? *Pique, pique!* O, do djabła! Stoisz dzień i noc, w mgle, w burzy, w śniegu i łowisz na wędę... Albo odcinasz łby rybie, tysiac łbów na dzień, dwa tysiące łbów. Koło stołu masz długi gwóźdź, wytniesz o niego rybą i raz, dwa odetniesz jej łeb. Wycinasz: wątrobę — do beczki, kiszki do morza! Po lewej i prawej stronie statku tańczy rekin, który wszystko podchwytuje i zżera, ponieważ rekin nie jest to nic innego jak — świnia. O, jakiż zabójczy smród! Wątroba cuchnie, ryby cuchną, cały statek śmierdzi od góry do dołu, jak zgniła ryba. Smacznego apetytu mój drogi! Mdli cię, gotów jesteś do wody nawet rzucić się. Widziałem zdrowych chłopów, a jednak płakali z tęsknoty...

— He, he! A jednakowoż wesoło tam było, niezłe rzeczy można było tam widzieć! 161

http://rcin.org.pl

Naprzykład—słoneczna ryba. Jest wielkości człowieka, a płaska jak talerz. Twarz i nos ma jak u małego wyschłego żydziaka. Żydowski profil. Wachluje bokami, ot, tak widzisz, i w ten sposób pływa. Na przedzie, przed jej żydowskim nosem, płynie maleńka rybka, jest to jej pilot. To dlatego, że ryba ta jest rozpaczliwie głupia i napół ślepa... Uśmiejesz się z niej na umór. Ów cicerone pokazuje jej osobliwości, niby grubemu bankierowi o chwiejnych nogach, a gdy ten już nażre się ile wlezie, wówczas ociężeje i opada na dno morskie. I leży w piasku, wyciągnięta niby arkusz gazety, śpi i trawi. Prócz tego jest jeszcze ryba mieczyk, która stanowczo nie znosi wieloryba. Zaledwie podpłynie tryskająca fontanna, — wnet moja ryba-mieczyk podrzuci się na cztery metry do góry, i wrazi swój miecz w brzuch wieloryba. Precz z nim! Tak jest, przyjemny światek stworzył nasz Pan Bóg. Cha, cha, cha! I jak mogło mu przyjść do głowy tyle niedorzeczności. Z rekinem też nieźle można się zabawić. Opuszczasz na dół linę, up, a on jak cygaro przerznie ją.

Niekiedy, gwoli zabawie łowiliśmy rekiny. Jezusie, Jezusie, jak one śmierdzą! A strzeż się zetkną z takim, choćby w kilka godzin później.

http://rcin.org.pl

Świnia ta jest naładowana elektrycznością i takim ciosem obdarzy cię, że cię ogłuszy.

— Hej! Odkorkujno nową butelkę, chcemy pić! Nędzne dziś morze. Żreć na mieliźnie niema co. Mdli cię. Dwa kartofle, zielony groch, w niedzielę miniaturowy kawałek sadła i szklanka wina. Sadło, wygrywane bywa na loterji, jak fanty. Kto otrzyma ten kawałek? Inaczej są kłótnie, ponieważ wszyscy są głodni, jak wilki. Nienawidzą się na wzajem, jeszcze w parę miesięcy później nienawidzisz najlepszego swego przyjaciela. Precz z mojej drogi. bałwanie! Ach, jakież to życie. Podczas całej tej wyprawy nikt się nie myje — po co? Alboż jakie ładne dziewuchy przyjdą na statek? Dopiero przed powrotem do domu wszyscy udają się do St. Pierre po zakupy. Wszyscy schodzą na ląd i wszyscy myją się. Nowe twarze. Nowa załoga, hę? „*Bon jour, messieurs*“!

— Ale wielu, mój druhu, nie wraca do domu. Nieopłaca się wracać jako trup... Nie zapomnij — jakie tam burze i góry lodowe... Wynurzą się nagle przed tobą, i zadławią, bo one nawet nie widzą cię. Albo te wielkie kurjerskie parostatki we mgle! Dmą w róg sygnałowy — tu — tu — tu — całemi dniami. Już na milę je słychać. Ryczą, jak jakie niedźwiedzie głodne. Parostatek podsuwa się

http://rcin.org.pl

bliżej, bliżej. Leżysz na tapczanie, budzisz się, słuchasz, i włosy ci wstają dęba. Wszyscy rzucają się na pokład: sterniku, statek idzie na nas! Co czynić? A jeśli on cię nie słyszy? A otóż on jest już całkiem blizko, nie będzie nawet dwustu kroków. Ty go już więcej nie będziesz słyszeć — ale zobaczysz, jeśli jestto nieuchronne. Stoisz, czekasz, a zęby ci stukają ze strachu. (Klnę się Bogiem, że Yannowi włosy stanęły dęba na głowie na samo wspomnienie). I oto — trąbi już dalej — przeszedł obok... No, tym razem ocalałem. Rokrocznie pół tuzina łódek poprzecina na pół — lekki trzask i — po wszystkiem.

— A parostatek nie wraca, Yann?

Yann zaśmiał się.

— Nad tem to on sobie jeszcze pomyśli. Zanim wróci, minie kwadrans. A ty gdzie jesteś już wtedy? Znajdzie, być może, wysepkę słonych stokfiszów—ot, i wszystko. No, ale powiedzmy, wróciłeś do domu. Skarbnik wydaje ci twoją pensję, sześćset lub ośmset franków, a nadomiar podarowuje ci jeszcze dwie, trzy sztuki stokfiszów. Najpierwszą rzeczą jest upić się, to też zasypiasz wtedy gdzieś pod płotem, trzymając pieniądze w pięści. Jest to najpewniejsze miejsce. Pieniądze przywozisz matce. Daje ci ona dziesięć franków, abyś rozerwał się przez dzień jeden, poobszywa

http://rcin.org.pl

cię, no i, spacerujesz po wsi ze swoją bambusową laseczką, aż ludzie wybałuszają oczy na ciebie. I otóż jestem znowu! Jeśli nie masz np. matki, to natychmiast idziesz do dziewek. Tam urządzasz się po domowemu, jesz, pijesz, radujesz się z całym domem, zaczynając od właścicielki, a kończąc na pokojówce, dziewczęta obiorą cię do suchej nitki, poczem wyrzucą cię na ulicę. Znowu jesteś goły, jak sokół. No i idziesz, znów wynajmujesz się na statek, i znowu, po dwóch dniach jesteś na grochu zielonym i kartoflach. Ech! A jednakowoż nieźle tam było. I inni też opowiadają ci, jak dobrze było... Śpiewają, i ty śpiewasz, nie gnijesz. Znowu jesteś na morzu, gdzie jest twe miejsce.

Yann naraz zakasłał. Mógł był o każdym czasie zasnąć i obudzić się. Było mu najzupełniej obojętne, w jakiej pozycji zasypiał: czy siedząc na piecu, czy też leżąc na podłodze, z podłożonemi pod twarzą rękami.

Siedziałem na tapczanie, ze zgiętemi kolanami i paliłem. Niekiedy wirowało mi w głowie — nie, to już nie było wcale piękne... Parostatek grzmiał groźnie. Kiedy naciągano łańcuchy kotwicy, wstrząsało go z taką siłą, że wszystko w nim jęczało, trzeszczało. Drżał od nudy maszyny, a gdy śruba prędko obracała się — boki statku drżały u góry, wśród lin rozle-

http://rcin.org.pl

gał się świst burzy, fale chlustały, i wówczas do otworu kapała i sączyła się woda.

Nad samem mem uchem masy wód biły w ściany jak tarany. Od morza dzieliła mnie ścianka grubości dwóch palców. Widziałem przez okienko, jak rzucało się na „Robotnika“ z wyostrzonemi siekierami i obnażonemi, zazębionemi mieczami. Szkło było czarne jak smoła — my zaś byliśmy w dole. Mnóstwo wielkich wyłupiastych oczu przylegało do szkła; majaczyła badawczo blada wpatrująca się twarz, widziałem światło latarni morskiej i grzbiety piany — byliśmy na górze.

Poupoul lizał mi rękę i bił ogonem. Radował się. Myślał, że jesteśmy na otwartem morzu i że jutro pójdzie na pokład i będzie szczekać na ryby latające. Mówiłem z nim niewiele.

Tu Yann obudził się. „Cha — cha! A teraz tyś tu kapitan — ciągnął poprzednią opowieść — i w kieszeni masz zegarek za trzydzieści franków. Czyś wszystko wypił?“

Opuścił z dziesięć minut, to też musiał teraz dogonić.

Zresztą miał rację — żyć było trzeba. Dość było na moment poddać się słabości — a wnet na śmierć uśpiło cię morze.

Yann wyjął ze szkatuły swą znakomitą esencję cytrynową, którą dolał do koniaku.

http://rcin.org.pl

Mieszaninę tę nazywał „ponczem". Działanie tego „ponczu" było piorunujące, a tego Yannowi właśnie było trzeba. Dość było istotnie, jednej tylko kropli tego eliksiru, by przemienić litr wody na mocną lemoniadę. Esencja ta miała swe pochodzenie w jednej katastrofie okrętowej i według mnie, nadawała się raczej do wytwórczości mydlanej i perfumeryjnej. Znowu wdaliśmy się w spór, krzyczeliśmy, gorączkowaliśmy i omawialiśmy głównie tylko takie kwestje, co do których obadwaj nie mieliśmy żadnego pojęcia. Lecz czyliż nie oszukiwaliśmy się trochę, Yann? Czy nie mieliśmy wspólnej natrętnej myśli, gdyśmy tak bez troski rozmawiali: co będzie gdy naraz łańcuchy zerwą się?

Poczem zaczęliśmy obaj łgać rozpaczliwie. Yann i tu był bez konkurencji, to też natychmiast wyprzedził mnie. A wkrótce wdarł się na stopień, na którym począł używać bardziej wyszukanych, wykwintnych, bardziej subtelnych zwrotów: to fakt, to najzupełniej zależy od okoliczności, to niema wielkiego znaczenia, primo, secundo... Opowiedział straszliwą historję o „Spokojnym", o trzymasztowcu bez steru, bez masztów, żagli i wiatru. I bez żywności! Załoga rzucała losy, najprzód zjadła sternika, później kuchcika, później...

Yann miał łzy w oczach, ja zaś konałem

http://rcin.org.pl

ze śmiechu. Ponieważ nie przyszła mi natychmiast do głowy gigantyczna myśl, którą mógłbym go zadziwić, tedy Yann dodał jeszcze historję o piratach chińskich którym poodcinano głowy koło wysp Molukki. Chwycą takiego za warkocz—hup! Do morza go! Chwycą za warkocz — hup! Yann siedział i ścinał głowy. Cha — cha — cha! O, Yann, jakeś ty nizko upadł, niedawno jeszcze głowy ścinał twój wujek, kapitan korwety, a teraz ty już własnoręcznie ścinasz!

Nawet statek śmiał się, podskakiwał do góry i na dół z zadowolenia, a wiatr krzyczał— cha, cha, cha!

— Ha, — rzekłem — à propos, ty o chińczykach opowiadasz... Jechałem raz po morzu Japońskiem, a mieliśmy dwóch lokai chińskich, Hannesa i Lehmana, — to ci były zuchy! Natrafiliśmy na tajfun, a te zuchy dosłownie po suficie chodzili podczas roznoszenia potraw. I ani kropli nie rozleli. Po suficie!...

— Łgarzu! — krzyknął Yann.

Parsknąłem śmiechem. To właśnie była prawda.

— He, he, he, — śmiał się wściekle Yann. Został pokonany; opowiedziałem mu coś nieprawdopodobnego.

— Cha, cha, cha! — śmiałem się, pełen niezwykłej wesołości.

http://rcin.org.pl

Naraz Yann wdarł się jeszcze o stopień wyżej. Na tym stopniu ogarniały go zazwyczaj smętne wspomnienia.

I znowu opowiedział mi historję o „*Charrlocie*“, gwoli której musiał był odsiedzieć czteromiesięczne więzienie. „Cała niesprawiedliwość świata tego połączyła się przeciwko niemu, by go zgubić.“

„*Charlotte*“ — był to parostatek, który osiadł na mieliźnie koło Creacha. Yann wyjechał był na „Robotniku“, by popatrzeć na ten statek, opuszczony przez załogę. Kiedy marynarze ujrzeli taki elegancki statek, to wprost poszaleli. Zdruzgotali go w kawałki i obdarli od góry do dołu. Nawet mosiężne obicia poodkręcali. Yann daremnie protestował, wymyślał. Miał on dobre serce, nazbyt dobre serce. Nie zrobił żadnego doniesienia. Kiedy zaś w sześć miesięcy później Yann zwolnił jednego z marynarzy, to ten łajdak zadenuncjował go, jakoby on, Yann skradł wszystkie narzędzia z parostatku, oraz srebrny imbryk, pozłacany. Psy marynarze złożyli tyle fałszywych przysięg, ile potrzeba było, aby skręcić szyję Yannowi. Dymisja i cztery miesiące kraty! Ach! Yann uśmiechnął się zjadliwie.

— Co ja? Złodziej? Ja!? — Zatargał się za włosy i rozpłakał. — Złodziej? Ja złodziej?

http://rcin.org.pl

Moja biedna matka... (Matka jego naraz zmartwychwstała).

Tu wysunąłem głowę ze swej muszli — od pewnego czasu wydawało mi się, że mknę w czarownej ostrokanciastej muszli — i rzekłem:

— Yann, ty jesteś najzupełniej pijany!

Yann, z jasnemi niebieskiemi oczami, Yann o czystem sercu — złodziej! O, jakie to śmieszne, jakież niedorzeczne.

Opadłem gwałtownie na dół, ale Yann był wciąż głęboko wzburzony.

— To twierdzenie jest — niegodne gentlemana, jest wstrętną plotką! — oświadczył z wilgotnemi, świecącemi się oczami w najczystszym francuskim języku, jaki usłyszeć można tylko w Sorbonnie.

Yann potrafił jeść nawet żywe krewetki i pająki, ale cztery miesiące więzienia nie uśmiechały mu się. Biegał tedy od Annasza do Kaifasza i nawet minister raczył mu udzielić audjencji. Spojrzał w promienne, dziecięco-naiwne oczy Yanna — i zamienił wyrok na karę pieniężną. Nie, Yann nie był złodziejem!

Cieszył się z uniewinnienia, sławił sprawiedliwość ministra i poprzysiągł że się odemści. O, Boże miłosierny, jak on chciał się odemścić. Zaledwie słyszałem, co mówił, ponieważ

http://rcin.org.pl

mknąłem w swej czarodziejskiej muszli przez lądy i morza — Ach, nademną właśnie było Tokio, obchodzono tam święto rzeki; mnóstwo latarek ulicznych, miauczenie gejsz... dalej...

Naraz usłyszałem, że Yann mówi o Rosseherze. Siedział i marzył... Ach, jaka ona jest miła, kiedy rozwiewają wstęgi od jej białego czepka, kiedy śmieje się a białe jej zęby lśnią! Jest to malutki dziki kotek! „Pracowałem i cierpiałem nędzę, ręce mi stały się jak drewno, palce powykrzywiały. A teraz chcę spokoju, chcę mieć dom, dzieci... O, taki ładniutki domek. Biada temu, kto dotknie się mej Rosseherry! — czy słyszysz?"

Tak, słyszałem to. *C'est la guerre*,—pomyślałem. — Yann, dzisiaj porywam twoją ukochaną, jutro ty porywasz moją. Kobiety wciąż jeszcze chcą, by je porywano i żadne umowy nie są skuteczne, czy słyszysz, Yann?

— Podarowałeś Rosseherze pierścionki i chusteczkę. Pocoś to zrobił? Eh, powiedz mi prawdę, czy była ona u ciebie?

— Cha, cha, cha! Yann, Yann! Jakiś ty nudny! — rzekłem, kłaniając się, bowiem właśnie przemknąłem na Oceanie Spokojnym, koło parostatku — jednego z tych białych wązkich parostatków o siedmiu tysiącach tonn, należących do Towarzystwa *Toyo Kisen Kaisha* z wachlarzem na fladze — Chińczycy

http://rcin.org.pl

podawali herbatę na pokładzie a damy powiewały mi chusteczkami.

Yann wstał. „Tyś mój przyjaciel — oświadczył, za ciebie życie oddam, ale jeśli dowiem się, że...—czy słyszysz mnie?“ Zgrzytał zębami.

— Cha, cha, cha — Yann, wstydź się, tak upić się... O, jak ty wyglądasz — głowę masz jak balkon — taka wielka — o, Yann, cha, cha, cha!

W tejże chwili „Robotnik“ stanął dęba, aż łańcuchy zagrzmiały. Parostatek trząsł się, jak ryba na wędce, poczem szybko opisał wielkie półkole. Yann mocno chwycił się za stół. „My tu o kobietę kłócimy się — a podczas tego!...“ — wyszeptał wylękniony i wsłuchał się.

„Łańcuchy zerwały się! Statek poniosło! — krzyknął i rzucił się w górę po drabince.

Ale ja właśnie w tym czasie mknąłem nad Honolulu, nad samym kraterem *Halewauwau*, siedzibą wiecznego ognia, — murzyni pływali na deskach, po rozszalałych falach i krzyczeli, i — i — i — i!

Nie, statku nie poniosło; bujał, zerwał się tylko jeden łańcuch.

Znowu udałem się do swej muszli i zasnąłem. Z Yanem niezupełnie dobrze roze-

http://rcin.org.pl

szliśmy się. Jean Louis opowiedział mu tę historję z żaglem, to też Yann teraz po pijanemu nie mógł nie wykorzystać przeciwko mnie tego atutu...

— Jean Louis—to stary idjota! — oświadczyłem na to—Bóg wie co może się przyśnić jego starczej głowie...

Mimo to nie rozstaliśmy się jak przyjaciele. Yann nawet wyraził się półgębkiem o mnie, że należy mnie wyrzucić za burtę. Yann, *mon cher ami*, dziecięca dusza! Był śmiertelnie pijany, pod oczami potworzyły mu się sińce, miał nieco zeza. Wobec tego wolałem był odejść dobrowolnie...

Yann stał na pokładzie i pędził w górę całemi żaglami, przyczem bezustanku powtarzał z drwiącym uśmiechem: *Au revoir et merci, merci!*

Jeszcze wiele tygodni później śmiałem się, gdy wspominałem, jak mknął to w górę to w dół i powtarzał ironicznie: *Au revoir, et merci, merci!* —

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XX

Kiedy zeszedłem na brzeg, powietrze pełne było maleńkich białych djablików, z rozczapierzonemi jak u nietoperzy skrzydłami, a również i ziemia była niemi pokryta. Ale na ziemi były one szare. Całe ich roje unosiły się przed mojemi oczami.

— Hoho! — rzekłem — Poupoul, a to mamy szczęście! Czy wiesz, co to jest? Jest to delirium tremens, mój synu!

Chwała Bogu, willa „Burza" tkwiła jeszcze w miejscu. Szalejący goryl wciąż jeszcze siedział na urwiskach i bębnił pięściami po brzuchu. Byłem strasznie znużony, przeto zasnąłem momentalnie. Obudziłem się po wielu godzinach. Coś stało się. Skrzydlate djabliki zniknęły. Nasłuchiwałem. Wiatr szlochał w kominku, a goryl nie bębnił więcej. Burza uciszała się. Wyszedłem za drzwi. Morze pieniło się i szalało, a zmierzch dnia bez słońca spływał na ziemię niby gęsty szary

http://rcin.org.pl

popiół na ponury chaos. Bezbarwny wielki parostatek, kompanji „P. O.“, ledwo dostrzegalny mknął po wzburzonem morzu. Zmierzch napełniał serce uczuciem przeraźliwej samotności; tutaj nie miałem sił ani do myślenia ani do czucia. Zasnąłem. Zbudziło mię znane mi pukanie do drzwi:

Noc była ciemna. Snopy światła z Creacha chwiały się w mglistem powietrzu drżącemi pasmami, niby najdelikatniejsze włosy kobiece. Na północy stał purpurowo-czerwony odblask pożaru; była to latarnia w Stiffie. Nad huczącym morzem przewalał się dym.

Rosseherra weszła do mnie nie ze szczebiotaniem, nie z wesołemi okrzykami śpiewnemi, nie była zalękniona i smutna, a mówiła cichym ochrypłym głosem.

— Widziałam, jak schodziłeś dziś na brzeg, — rzekła i wsunęła mi paczuszkę do ręki. — Jak tu ciemno u ciebie!

— Dobry wieczór, Rosseherro! Co porabia Jean Louis?

— Jean Louis śpi.

Rozpaliłem ogień, teraz mogłem przynajmniej widzieć biały czepiec Rosseherry oraz jej jasne włosy. Siedziała na łóżku, skulona.

— Co tam masz w papierku, Rosseherro?

— Rozwiń.

 Był to kawałek miodu.

http://rcin.org.pl

— Statki rozłupują się na dnie morza — rzekła Rosseherre. — Jean Louis znalazł wielką blaszankę. I skrzynkę z figami, tylko że już zgniłemi.

Słowa Rosseherry utonęły w cichym płaczu. I naraz wybuchnęła głośnem, rozdzierającem serce szlochaniem, podobnym do płaczu zrozpaczonych dziewcząt wiejskich.

— Rosseherro?

Rosseherre potrząsnęła głową i łzy płynęły jej po rękach, i po przez palce.

— Nie wiem czemu — rzekła — ale boję się. Serce mi pęka, gdy jest burza. Myślę wtedy o ojcu i o tym dniu, kiedy Diaul nadbiegł zziajany. Diaul — był to ojcowski pies, dog, duży jak cielę i dziki. Nikt oprócz ojca, nie śmiał się go dotknąć. Ojciec przywoził pocztę z lądu. Miał dobrą łódkę, bo był pilotem. W ciągu trzech miesięcy zginęły dwie łodzie pocztowe, i wtedy poczta przeszła do rąk ojca. Ale oto razu pewnego morze było niespokojne, dął wiatr, chociaż burzy nie było. Naraz Diaul przybiegł zziajany... Spójrzcie, — rzekłam — ojciec powrócił. Diaul już tu przyszedł. Spływała z niego woda, lecz że ojciec często wrzucał go do wody, więc to nas nie zdziwiło. Diaul, bądź cicho, proszę cię! — mówię. Ale on, jakby zwarjował, skakał na mnie i szczekał. Nie był

http://rcin.org.pl

też wcale zły, uderzyłam go nawet po pysku, lecz on nic na to. Naraz poczęłam krzyczeć, nie przestając wszakże śmiać się. Zrozumiałam Diaula! Zrozumiałam także nagle, dlaczego przed kwadransem moje serce zatrzymało się naraz. Zatrzymało się, przestało bić. Pobiegłam za Diaulem, wszyscy pobiegliśmy za nim, jeden za drugim; biegliśmy przez całą wyspę. Biegłam przed wszystkimi. W skałach leżały odłamki ojcowskiej prześlicznej łodzi i trupy. Ośmiu ludzi zginęło w wirze i ojciec wraz z nimi. Nie odnaleziono go. Ocalał tylko Diaul.

Płakała, z przymkniętemi oczami i ściśniętemi wargami. Przywarłem policzkiem do jej twarzy i lekko, niby dziecię, kołysałem ją. Jej łzy zmoczyły mi twarz.

— Diaul, biedny mój Diaul, — kwiliła Rosseherre. — Myśmy go tak lubili! Począł tułać się, zdziczał, a po nocach szczekał koło skał, gdzie łódź rozbiła się. Razu pewnego Noël wyszedł z fuzją, poczem usłyszałam wystrzał, a potem Noël przyszedł i powiedział: „No, Diaul zabity".

Rosseherre cicho płakała i ciągnęła dalej: „Miałam też brata. Miał długie wąsy. Był to dziki człowiek i pił jak wszyscy. Ale kochał mnie. Często mi mówił: „Rosseherro!" — i klepał mnie po twarzy. Pojechali na połów

http://rcin.org.pl

ryb i brat już nie powrócił. A ja przez cały ten dzień miałam taki wielki strach w duszy! Widziałam, tak widziałam, jak wypadł z łodzi, a jego rude wąsy pływały po wodzie. Udałam się na dół, do przystani, i czekałam. Wiedziałam dobrze, że Emil już nie powróci mimo to wciąż czekałam i modliłam się. Wreszcie podjechała łódź. Właściciel rzekł: Rosseherro?... Nic więcej. Później powiedzia mi: prąd go poniósł, wąsy jego pływały nał wodzie, lecz nie mogliśmy go dopędzić. Siedziałam i modliłam się za jego duszę, a kiedy ściemniło się, przyszedł Jean Louis i rzekł: „Rosseherro, już noc“.

Kołysałem Rosseherrę i głaskałem, jak tylko mogłem: „Wypłacz się, mała Rosseherro, lżej ci będzie“.

Wiatr cicho jęczał we drzwiach. Płakał, jakgdyby przypomniał sobie coś smutnego, co raz tylko widział i o czem nie mógł zapomnieć. Morze huczało niby głuche strzały armatnie, huczało bezustanku, co każde dwie sekundy, a przy każdym grzmocie po ciele Rosseherry przebiegał lekki dreszcz.

Podniosła głowę. „Czy słyszysz morze?— spytała. — Muszę już iść. Nikt nie wie, co może stać się. Mgłę mamy.

— Cóż może stać się?

— Wszystko stać się może.

http://rcin.org.pl

— Wszystko?

— Tak, ponieważ widziałam ojca. Dziś wśród białego dnia.

— Ojca?

— Tak. Wszedł we drzwi i rzekł: „Dziś ci tam na morzu powinni być ostrożni“.

— Ci, na morzu?

— Tak!

Poupoul kichnął, a Rosseherra aż krzyknęła z przestrachu.

— Ależ Rosseherro! — rzekłem z uśmiechem. — Co ci dziś jest?

Spojrzała na mnie. Oczy jej w świetle ognia błyszczały, jak oczy zwierzęcia zdjętego strachem.

— Nie wiem, — rzekła i spuściła oczy. Ale boję się. Przez te wszystkie dni ogarnia mię straszny lęk. Tyle mi myśli przychodzi do głowy i tak straszą mię one! Myślę o tem, że Yann zginie na morzu i ja też, i ja też.

— Nie, Rosseherro.

— Ojciec mi to powiedział, — odparła Rosseherre z nikłym, zadumanym uśmiechem. Już dawno. O, ja to wiem, ja wiem! I nie jest to jeszcze najgorsze. Dlatego, że wówczas, być może, będę tam z ojcem i bratem, tam, gdzie ty ich już raz widziałeś...

— Rosseherro, był to przecież tylko głupi sen! Zbyt wiele piłem na weselu Kedrila.

http://rcin.org.pl

— Tak, tak... Rosseherre niedowierzająco uśmiechnęła się i spojrzała przed siebie. Poczem cicho roześmiała się.—Nie, już to jedno jest dobre — że Jeanowi Louis nic nie jest w stanie wyrządzić krzywdy. Jest on bezpieczny. Radośnie potrząsnęła głową. Policzki jej płonęły, oczy błyszczały. Dziwna jakaś była w tym dniu.

Teraz i ja począłem wąchać mgłę. Niby jaki zapach jodu. Daleko a głucho zaryczał Creach, widziałem go przed sobą, osłoniętego nieprzejrzaną mgłą.

Rosseherre zadrżała. Uniosła brwi ku górze i z wytężeniem wsłuchiwała się w ryk syreny sygnałowej, przewalający się nad morzem i zamierający w oddali, niby głuche dudnienie.

— Trzeba mimo wszystko iść, — rzekła, ogarnięta lękiem.

Ale ja namówiłem ją, by została. „Rozpalimy wielki ogień, Rosseherro, ugotujemy grogu, a ja opowiem ci małą historyjkę, poczekaj tylko! Ty drżysz, dlatego że tu zimno. Precz, Poupoul! Zobaczysz, jak będzie tu przyjemnie!"

Spaliłem swą cenną angielską gazetę, poczem porąbałem na kawałki szufladę od stolika i cisnąłem w ogień. Wkrótce przyjdzie kolej i na stolik, niema rady. Podczas, gdy grog

http://rcin.org.pl

gotował się, opowiadałem Rosseherze krótką a wesołą historyjkę, a kiedy ukradkiem zerknąłem na nią, to ujrzałem, że uśmiecha się. Poupoul, który znał się na ludziach, siedział przed nią i bił ogonem. On również starał się naprowadzić Rosseherrę na inne myśli.

— No co, nieprawdaż—lepiej już tutaj teraz, Rosseherro?

— O, tak!—Rosseherre skinęła głową, patrząc gdzieś w przestrzeń. Pociągała gorący grog przez kawałek cukru, który trzymała między zębami. Twarz jej, jeszcze mokra od łez, błyszczała w świetle ognia; żółte włosy skrzyły się, niby opromienione słońcem. „Teraz już się tak nie boję — rzekła i westchnęła głęboko, ale niekiedy to wprost chciałabym umrzeć ze strachu. Morze mnie wzywa. Majaczą mi się jakieś twarze na morzu. Raz ujrzałam brata, siedzącego na rafie. Fala go tam wyniosła. I oto siedział tam i patrzył się na mnie, krzyknęłam ze strachu, a on dał nura w dół wraz z falą. Raz podczas burzy przechodziłam wieczorem koło skał. Kamień leżał na drodze. I naraz kamień podniósł się i stanął przedemną starzec o długich, siwych włosach. Stał, nieruchomo patrząc na mnie, a z oczu mu strzelały skry;—uciekłam, i cały tydzień później bałam się. Ale ostatnimi dniami to już nie mogłam wytrzymać. Najle-

http://rcin.org.pl

piej, powiedziałam sobie, do wody skoczyć. Najświętsza Panienka daruje mi. Udałam się do Stiffu, gdzie zbocza są urwiste. Tam płakałam, modliłam się i błagałam Najświętszą Panienkę, by zdjęła ze mnie ten wielki grzech. Ale kiedy już chciałam to zrobić — co widzę? Ojciec siedzi na skałach, z fajką w ustach, kropla w kroplę, jak widywałam go zawsze przed sobą. Nie patrzał na mnie, tylko siedział. Zagrodził mi drogę. Mówiąc to, Rosseherre uśmiechnęła się jakoś dziwnie.

Ja zaś myślałem: — Dziwne rzeczy dzieją się w twej głowie, Rosseherro! Dziwne rzeczy.

Dla Rosseherry zdawało się dużą jest ulgą mówić o ojcu i bracie. Nie przeszkadzałem jej w tem. A ona wszystko opowiedziała mi o swem młodem życiu, i o tem co Jean Louis opowiedział jej o rodzicach i dziadkach. Większa ich część utonęła. I rzecz dziwna: morze nikogo nie zwróciło, ani jednej osoby. Dziwną śmiercią zmarł jej dziadek. Udał się na Molen. Morze było gładkie, jak oliwa. Nie wrócił więcej, z jego łodzi nawet drzazgi nie znaleziono, nic...

— Nie znaleziono nic, Rosseherro?

— Nic! — Rosseherre dziwnie uśmiechnęła się i dodała tajemniczo: — Ściągnęli go na dół!

Wpadła w zadumę.

http://rcin.org.pl

Creach głupio zaryczał; Rosseherre zatrzęsła się całem ciałem.

Począłem jej opowiadać o dalekich krajach, jakie widziałem i jak przedziwnie żyli tam ludzie. Hodowali oni żółwie, które miały po paręset lat, były przystrojone drogiemi kamieniami, oraz różnemi ozdobami — i do nich modlili się. — Mieli też bogów wielkości palca i wielkości latarni morskiej w Creachu.

Rosseherre zaledwie słuchała mnie, tu jednak uśmiechnęła się: — A to poganie, jak Bozię kocham!

Poczem musiałem opowiadać jej o Paryżu. O Paryżu nie mogła się wprost nasłuchać do syta. Chciała wiedzieć, co kosztuje obiad w Paryżu, i ile żądano w hotelu za pokój. O, do djaska, jacy bezwstydnicy! Rosseherre śmiała się i oburzała jednocześnie.

— Kto wie, może, kiedyś pojedziemy razem do Paryża, Rosseherro?

Ta zdumiona spojrzała na mnie.

— Do Paryża?

— Owszem, dlaczegóżby nie? Pierwszego lepszego dnia możemy tam jechać.

Rosseherre uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. „Paryż?" O, jest on tak daleko, nie, ja nigdy Paryża nie ujrzę...

Siedziała długo milcząca i obojętna. Mogłem sobie mówić, com chciał.

http://rcin.org.pl

A ona nasłuchiwała bezustanku. Naraz odezwała się: Creacha już nie tak słychać, mgła coraz gęstsza...

Poczem machinalnie pogłaskała mą rękę. Nie mówiąc ani słowa, uklękła przede mną na kolana, położyła głowę na mych nogach i objęła je ramionami. I leżała tak, nie ruszając się wcale. Często to robiła, ja zaś nie wzbraniałem jej tego. Wyrażała w ten sposób całą swą czułość i całkowite swe oddanie.

Była tylko dzieckiem, bez ojca i matki.

Długo tak leżała. Nareszcie usłyszałem, że śpi.

Poczekałem trochę, poczem położyłem ją na łóżku. Otworzyła oczy, spojrzała na mnie i, nie poznając mnie, znowu zasnęła. Niekiedy gadała przez sen, ale ja jej nie rozumiałem: mówiła po bretońsku.

O czem śniła Rosseherre?

Siedziałem, paliłem fajkę, i patrzałem, jak ona oddycha. Być może śniło się jej, że siedzi koło skał, a tamci wszyscy wyszli z morza, łagodnie mówią do niej, i nikt tego nie widzi?

We drzwiach dymiło się. Domego maleńkiego okna zajrzała smętna twarz. Mgła. Dorzuciłem drew do ognia, by nie było jej zimno. Minęła godzina, dwie godziny. Co każde trzy minuty Creach wstrząsał powietrze

http://rcin.org.pl

rykiem, aż w mych ścianach osypywał się piasek. Creach ryczał dwa razy raz po raz. Najprzód jako dzikie zwierzę, które zrywa się rozdrażnione i rzuca się wściekle, poczem—jakby cofające się, zranione i chrapiące w męce. Podczas czekania nawet trzy minuty — są wiecznością. Creach już dziesięć razy zaryczał, pół godziny minęło.

Rosseherre niespokojnie i tęskliwie mówiła coś. Może śniło się jej, że tamci wszyscy płynęli obok i dawali jej znaki, lecz ona nie może pójść do nich, ponieważ między nimi było morze?

Naraz usiadła na łóżku i przyjrzała mi się badawczo.

— Mgła, Rosseherro, śpij!

Natychmiast znowu zasnęła.

Odnalazłem swój cieniutki, srebrny łańcuszek i położyłem go jej na pierś. Gdy obudzi się, znajdzie go.

Mgła gęstniała z każdą minutą. Creach nie ryczał już więcej. Wył groźnie, niby zwierz śmiertelnie zraniony, niby zwierz tęgo ugodzony, który liżąc swe rany w zasadzce, warczy i chrapie. Morze jeszcze silniej huczało w skałach, a fala w zatoce huczała, rzekłbyś — co każde dwie sekundy zawalał się szereg domów. Przypływ wracał. Ale tu, koło naszego gasnącego ognia, panowała głęboka cisza.

http://rcin.org.pl

Niekiedy z nosa Rosseherry wylatywały ciche, zabawne szmery. Malutki, rozbudzony ciepłem, motylek fruwał pod pułapem; czarny pająk bezszelestnie pełzł do góry po ścianie. Rosseherre oddychała głęboko, miarowo. Przywarłem uchem do jej piersi. Szumiało w niej, oddychało, niby to morze przy nastawaniu odpływu...

A powiedzcie, czemże jest oddech ludzki, jeśli nie oddechem morza, z którego pochodzimy?

Oddech Rosseherry nawiewał spokój i ciszę — jakąś świętość...

Opanował mię jakiś dziwny lęk wobec tej odrobiny życia, którą posiadałem. Lęk wobec twej młodości, Rosseherro, wobec twych pięknych włosów i białych zębów, wobec cierpienia twego małego serca. Nie znam cię.

Poruszałem się bez hałasu, ledwo tchnąc. Poczem usiadłem koło ognia i myślałem o wielu, wielu rzeczach, już dawno minionych. Chwała Ci, Panie! — Błogosławione niech będzie prawo nicości, odnawiające dno życia!

Błogosławioną niech będzie i wasza zmienność, przyjaciele i kobiety — tak wstrętnie kłamiący mi i oszukujący mnie; — są cztery ściany i są cztery strony świata — co ci jest milsze?

Nie wiem, jak długo tak siedziałem, ale

http://rcin.org.pl

wiele różnych wszelakich myśli przemknęło mi po głowie... Ocknąłem się od cichego hałasu. Łańcuch ześlizgnął się na podłogę.

Rosseherre siedziała na łóżku i wsłuchiwała się. Wstała bez szmeru. Oczy miała nieruchome. Słuchała wszystkiemi tkankami ciała, tysiącami uszu. Policzki miała czerwone od snu, lecz naraz zbladła jak śnieg.

— Rosseherro?

Rosseherre drżała. Prędko wyszeptała kilka słów, lecz ja ich nie zrozumiałem.

— Mów po francusku, Rosseherro.

Ale o dziwo, nie starczyło mi śmiałości, by powstać i zbliżyć się ku niej.

— Słuchaj! — rzekła.

Wsłuchałem się. Morze. Creach chrapał w oddali, Poupoul siedział u drzwi i pytająco patrzył na mnie. On również nic nie słyszał.

Rosseherre wszakże drżała na całem ciele zda się z zimna, i była strasznie blada. Wstałem, lecz ona dała mi znak ręką. Uśmiechnęła się jak chora.

— Zabłąkali się..., — rzekła szeptem.

Co rzekła?

— Zbudź się, Rosseherro!

Spojrzała na mnie — a oczy jej zapłonęły dziwnym lękiem; źrenice miała rozszerzone nienaturalnie.

http://rcin.org.pl

Co to było? To było...

— Wyjdź, — wyszeptała, drżąc jak w febrze.

— Uspokój się,—rzekłem.—Ja pójdę sobie...

Mgła wdarła się momentalnie, niby widmo, czające się poza drzwiami. Morze huczało ciężko, a Creach warczał wśród nieprzejrzanej mgły nocy. Słuchałem. W piersi mej stukał głuchy młot. Strach, wiejący od Rosseherry ogarnął i mnie. Uczyniłem kilka kroków, aby zapanować nad sobą, potrząsnąłem głową i wróciłem ku drzwiom. Chciałem je był pociągnąć, gdy naraz zatrzymałem się. Coż to takiego? Nogi mi przylgnęły ku ziemi i zaciążyły jak ołów, końce palcy zastygły; zlodowaciałem cały, skóra na twarzy zdrętwiała mi, a włosy stanęły dęba...

Tam, na morzu—trąbiono...

O, tak, tak, ja wyraźnie słyszałem poprzez szum przypływu głuche, stłumione brzmienie trąby. Ucichło. Już chciałem westchnąć, gdy znowu zatrąbiono. W głowie mi zawirowało. Wysunąłem się naprzód, nastroszyłem cały, a moje ucho, niby tuba tytaniczna, wpijało w siebie te dźwięki. W dali przeraźliwie krzyknął gwizdek — jak jaki ogromny dziki zwierz który wraz ze swym dziecięciem woła o pomoc.

Poupoul zaszczekał. Nie było żadnej

http://rcin.org.pl

wątpliwości. Jak ogłuszony, chwiejąc się, zrobiłem kilka kroków we mgle. Rosseherre prześlizgnęła się koło mnie. Biegła, stukając sabotami i krzyczała: *Naufrage, naufrage!* Nie słyszałem więcej, co krzyczała, ale jej wysoki głos rozcinał mgłę.

Nie! Nie! Nie! Wczepiłem się rękami we włosy i bujałem głową. Nie! Wszystko to jest okropnym koszmarem, dziwną zjawą— nikt nie może widzieć poprzez mgłę, nikt w świecie!

Fale huczały, piana kłębiąc się, wznosiła się ku górze.

Cyt! Tak, słyszałem, mimo że zęby mi stukały rozpaczliwie; trąbiono, gwizdano, oba głosy wciąż jeszcze krzyczały we mgle. Poczem trąba umilkła nagle i gwizdek z żałosnem skomleniem urwał się.

Zebrałem siły i krzyknąłem we mgłę: „Hallo! Hallo!“

Bicz z piany trzasnął mnie w twarz. Bowiem śmiesznością było krzyczeć.

Naraz usłyszałem syk wypuszczanej pary i huk daleki — było to jakby nitowanie żelaza. Poczem zdało mi się, że słyszę daleki krzyk mnóstwa ludzi. I naraz wszystko ucichło. Morze tłukło się, fala huczała, Creach warczał w oddali...

http://rcin.org.pl

Pobiegłem na wieś. „Statek rozbił się!— krzyczałem. — Statek rozbił się!“ Byłem nieprzytomny z podniecenia, a wilgoć zalewała mi oczy , że ślepłem.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXI.

Dzwony zaszczekały we mgle, ni to szczenięta, zbudzone ze snu.

Wieś jeszcze spała. Ale tu i tam już wstawano. Stukały drewniane saboty, w oknach świeciło się światło, a ze mgły dolatywały różne głosy.

Mer otworzył w przystani budę, w której mieściła się łódź ratunkowa. Mgła była tak gęstą, że dopiero natknąwszy się na człowieka, można go było widzieć; twarze rozpływały się, niby plamy mgliste.

Okrzyki, przekleństwa, bieganina. Lina wlokła się po ziemi, a niewidzialne ręce ciągnęły ją z całej mocy. Wsunąłem rękę pomiędzy dwie pięści i pociągnąłem. Zaskrzypiały koła, ukazała się łódź ratunkowa na wózku, długim i wysokim jak widmo. Cienie padały między szprychy; łańcuch cieni mocno trzymał z tyłu wózek za linę, by ta nie stoczyła się zbyt szybko ze ścieżki. Zda się bezkształ-

http://rcin.org.pl

tne stunogie przedpotopowe zwierzę, posuwała się łódź w dół ku morzu a fale obrzucały bryzgami jej brzuch.

— Naprzód! — krzyczałem. — Oni czekają tam...

— Trzeba zaczekać, aż rozświta. Ciemno choć oko wykol!...

— Gdzie Kedril? Hej, Kedrilu, pilocie, twój dzień nastał. Oto praca dla ciebie! Pokażę ci, gdzie jest statek.

— Druhu mój, — odparł Kedril — nawet za tysiąc franków nie spuszczę łodzi! Przy takiem morzu! Trzeba poczekać na odpływ...

— No, skoro i ty, Kedrilu...

Upadłem na duchu i odszedłem.

We wsi napotkałem Noëla, owiniętego od stóp do głów w naoliwioną skórę, z lornetką w ręce.

— No,—krzyknął mi—alboż nie mówiłem panu, gdy pan wynajmował willę „Burza", że wszystkie rozbicia się statków odbędą się w oczach pańskich — cha, cha?...

Nie odpowiedziałem nic. Pobiegłem z powrotem do willi „Burza". Była tylko mgła, szturm fali, i co każde trzy minuty Creach warczał złowrogo w dali, niby zwierz ugodzony śmiertelnie.

Coś zaszurało między skałami. Był to Jean Louis.

http://rcin.org.pl

— Statek rozbił się o rafy — hi, hi! — rzekł i roześmiał się idjotycznie. Rosseherre znowu pierwsza...

— Co można poradzić?—spytałem.

— Co można poradzić? A nic! Hi, hi! Rafy tam ostre, jak noże. Wszyscy na to samo miejsce najeżdżają. Prąd znosi ich, a Creacha tylko wtedy słyszą, gdy już są nadziani na rafy.

Dreptał tam i sam i coś wypatrywał na na ziemi. Zebrał się tłum rybaków, dzieci, i kobiet; i wszyscy, z wyciągniętemi głowami, chciwemi oczami patrzyli na nadbiegającą falę. Wszyscy oni byli potomkami piratów morskich i morze zokrutniło ich serca. Cóż znaczy dla nich rozbicie się statku? Bywały noce, kiedy po trzy statki rozbijały się, i po trzy noce z rzędu dzwoniono na alarm.

Coś ciemnego wypłynęło na brzeg i wszyscy jednocześnie rzucili się naprzód. Był to kadłub małej czarnej łódki. Podobny do rozbitej klatki piersiowej. Nagle wszyscy cofnęli się w tył: wśrodku fali stał człowiek z wyciągniętemi przed sobą rękami. Spływała zeń woda. Padł na twarz a fala wyniosła go na brzeg i położyła w milczeniu. Następna fala przemknęła przezeń, i człowiek ten poruszył się, jakgdyby chciał usiąść. Wówczas

http://rcin.org.pl

Jean Louis i ja wyciągnęliśmy go jaknajdalej na brzeg.

Leżał z otwartemi oczami, jakgdyby był mocno przestraszony i uśmiechał się otwartemi ustami, tak że widać było zęby z pod małych cienkich wąsów; na prawej skroni miał czarną szramę. Nie żył.

Otoczyli go rybacy Jean Louis zdjął czapkę i przeżegnał się. Wszyscy poszli za jego przykładem. Creach warczał w oddali, podczas gdy oni szeptali modlitwę.

— Ot ci kres życia ludzkiego!

— Prędko z nim morze załatwiło się! Cisnęło go na skałę.

— Tatusiu, on śmieje się! — cicho rzekła mała dziewczynka i zaśmiała się ze strachu.

— Uspokój się, wszyscy nieboszczycy śmieją się.

— Toż młody człowiek!

— Dwadzieścia dwa lata.

Mała dziewczynka znowu odezwała się ze śmiechem: — Tatusiu, on patrzy na mnie!

— Wszyscy nieboszczycy patrzą na ciebie, uspokój się.

Poczem przeszukano mu kieszenie. Ale nieboszczyk nie miał nic. Gwizdek, nóż, czerwona chustka do nosa. W bocznej kieszeni jego krótkiej kurtki znaleziono list.

http://rcin.org.pl

— List!

Zapaliłem zapałkę.

— Nazywa się — poczekajcież — nazywa się Joe Gordon, statek zaś nazywa się „Indiana“ i podąża z Kapstadtu.

— Joe Gordon... Indiana...

— Potrzymaj mi zapałki...

List rozmokł, że z trudem można go było odczytać. Głosił mniej więcej co następuje: „Drogi Joe, gdy przyjedziesz do Liverpoolu, odwiedź mnie. Nie odjeżdżaj natychmiast, jak tamtym razem. Jestem chora, noga mnie boli. Nie wychodzę i czekam cię. Życie jest bardzo ciężkiem dla tego, o kim dzieci zupełnie zapominają... Twoja stara matka“.

— Urząd marynarki prześle jej depeszę.

— Joe nie przyjedzie. A ona stara jest i chora, hm!..

Naraz ukazała się Rosseherre. Rozepchnęła ludzi i z krzykiem i szlochaniem rzuciła się na trupa. Mówiła do niego, nazywała go *„mon-coeur“* *„mon-petit“* i rozdzierająco szlochała.

Nie mogłem dłużej znieść tego. Odszedłem.

— — — — — — — — — — —

http://rcin.org.pl

— Naprzód! — krzyknąłem. — Czegóż jeszcze oczekujecie?

Świt nastał. Łódź ratunkowa stała w bladej mgle, niby widmo nienaturalnie wysoka i długa, a fale lizały jej biały brzuch.

W kłębach dymu ukazywały się twarze.

— Niemożliwe jest jechać!

— Psy z was, jeśli nie pojedziecie!

— Lecz przecież morze okropne, nie wyjedziemy z zatoki. Drżałem ze wzruszenia. Rzuciłem na szalę całą swą wymowę. Oni jednak pozostali zimni i niewzruszeni.

— Lecz przecież tam są ludzie!

— A tu są nasze żony i dzieci!...

Chikiel otworzył restaurację o godzinie piątej rano i zapalił lampę. A może w ten sposób się uda? Przepychałem się wśród rybaków i częstowałem ich. Byli to ludzie pozbawieni fantazji. Nie widzieli oni, jak ci ludzie siedzą na kadłubie statku, trzymając się ze wszystkich sił i spodziewając się pomocy. Do djabła!

— Ale wy musicie jechać! — mówiłem.— Przecież to kpiny ta fala! Jacyżeście to ludzie! A przecież tak dawno was znam.

Rybacy wzruszyli ramionami.

— Nie da się!

 — Do djabła z wami wszystkimi!

http://rcin.org.pl

Odszedłem. Drżałem z gniewu. Mgła. Gęsta, wstrętno-żółta, jak ropa. Creach, co każde trzy sekundy warczał, morze tłukło się.

Koło skał stali rybacy i czyhali na wszystko, co przyniosą fale. Poszarpane ciała morze wyrzucało na brzeg. Ku południowi było ich siedm, pod wieczór trzynaście. Mgła trwała niby mur.

Creach ryczał całą noc. Nazajutrz rano mgła zrzedła; w dali we mgle ukazał się nagle parostatek. Leżał na boku, górny jego pokład wystawał nad wodę, a przy każdej fali wzbijała się wzdłuż statku wieża piany. W ścianach z lin wisiały jakieś szare strzępy: to byli ludzie. Mgła przepłynęła i więcej już nie widzieliśmy ich.

O godzinie drugiej, podczas odpływu, na morze wyjechał Yann.

— Vivat Yann! Po trzykroć vivat Yann.

Nagle na „Robotniku", podskakującym we mgle wśród fal, wszczął się rozruch. Zaszczękała winda kotwicy. Spojrzeliśmy po sobie. Co? Zasyczało i z komina podniósł się gęsty obłok dymu, który osłonił „Robotnika" szarą mgłą. „Mały kapitan rusza". Ależ naturalnie, rusza! Był to Yann, który płakał jak dziewczynka, gdy był pijany. Ale teraz Yann pokazał, co w nim jest! Czekał już dość długo teraz zaś postanowił iść na całego, i nic już

http://rcin.org.pl

nie mogło go powstrzymać. Albo — albo! Z pewnością, że nawet zęby potrafił wyszczerzyć, gdy jego załoga wahała się. Przez całą godzinę brzęczała winda kotwicy, ciężko, z przerwami: kotwica utkwiła głęboko. Ale naraz usłyszeliśmy jakiś straszny ryk — pomimo dalekiej przestrzeni. To ryczał Yann. W tymże momencie statek ruszył. Cofnął się w tył! „O-la-la!“ — rzucił Noël. Poczem statek wspiął się dęba, rzucił się głową w dół, zatrzeszczał i ruszył naprzód. Nie wyrzekliśmy ani słowa. Dopiero gdyśmy się napatrzyli, z jakim wysiłkiem Yann posuwał się naprzód cal za calem, jeden z nas rzekł „Jeśli maszyna wytrzyma!...“ Długie godziny czekaliśmy na tem samem miejscu, wpatrując się we mgłę.

Każdym razem, gdy Yann trąbił, obrzucaliśmy się wzrokiem i przestępowaliśmy z nogi na nogę.

Yann powrócił z ośmiu rozbitkami. Udało mu się rzucić linę, po której wdrapali się na statek. Nazajutrz rano wyjechała łódź ratunkowa i przywiozła dziesięciu pozostałych. Teraz wszyscy zostali ocaleni, prócz jednego murzyna, długiego dryblasa, który nie odważył się chwycić za linę.

Przez cały dzień było widać, jak sterczał on na maszcie niby mała czarna bryła. Mgła

http://rcin.org.pl

osłoniła go, zakryła, poczem mgła zrzedła — a murzyn wciąż jeszcze tam siedział. Maszt nachylił się, i ledwo na ćwierć długości wystawał nad wodą. Pod wieczór łódź ratunkowa znowu wypłynęła na morze i podpłynęła tak blisko do masztu, jak tylko to było możliwem. Upiornie, niby Hollender latający, pląsała łódź we mgle. Ale murzyn nie ruszał się z miejsca.

Nazajutrz rano maszt opuścił się do poziomu morza. Bryzgi piany mknęły nad murzynem. Łódź ratunkowa znowu wyjechała, ale murzyn nie ruszał się z miejsca. Sterczał na maszcie i wył. Zwarjował. Wieczorem, kiedy mgła nieco zrzedła, na szczycie masztu nie było już murzyna.

Na pustkowiu wykopano szereg mogił. Wszyscy rybacy stali z czapkami w rękach. Ja również. Ksiądz przemawiał, a grabarz raz po raz cykał przez zęby sok tytuniowy do grobu.

Nareszcie przez ławicę mgły ukazał się kawałek błękitnego nieba.

Na urwiskach samotnie siedziała Rosseherre i nieruchoma patrzała na morze. Miniaturowy szczyt masztu znikł. Po „Indianie" nie został ani ślad.

http://rcin.org.pl

Przeszedłem blisko koło Rosseherry. Śpiewała cicho wysokim, płaczącym głosem, jak wiatr i kołysała przytem głową.

Obrzuciłem wyspę wzrokiem: wydała mi się straszliwą,..

http://rcin.org.pl

XXII.

Siedziałem wśród pustkowia na głazie Słońce świeciło. Paliłem. Wrzosowisko było ciemne, żółte, tylko w pewnem miejscu ciągnęła się świeża blizna — tam leżeli oni. Każdym razem, gdy wzrok mój zatrzymywał się na świeżej bliźnie myślałem: tam leżą oni, tam leży Joe Gordon z rozdartą skronią i małemi wąsami.

Przez kiika dni z rzędu prześladowała mnie stale ta myśl. W powietrzu rzekłbyś unosiła się słodkawa woń trupia. Poczem już innemi oczami począłem patrzeć na świeżą bliznę na wrzosowisku: tak, oni tam leżeli i byli szczęśliwi. Zginęli wspaniałą dziką śmiercią. Wy, bogowie w niebiosach, zeszlijcie mi taką śmierć, jak im! Ciśnijcie na mnie głazy lub gromy, zetrzyjcie mnie w zderzeniu pociągów lub na morzu wzburzonem—jest mi to obojętne — tylko nie dajcie mi umrzeć na łóżku jak starej babie—o to was proszę!

http://rcin.org.pl

Nie patrzałem więcej na świeżą bliznę na wrzosowisku; przygnębienie, które stępiło moje wszystkie wrażenia — minęło; mój flet mały dźwięcznie teraz rozlegał się nad wrzosami: była to śmierć, nic więcej. Dziś—ty, jutro—ja. Dziś nasze jest życie!

Tegoż dnia znalazłem koło skał pół masztu. Był to, być może, ten szczyt masztu, za który uchwycił się murzyn? Przywiozłem siekierę i zabrałem się do pracy. Ponadcinałem maszt w kilku miejscach.

Wydawał on jakiś dziwny dźwięk. Był częścią trupa statku, drzazgi leciały. Błyszczały w słońcu, zapalały się. Stałem wśród wielkiego, oślepiającego ognia...

Zbliżyło się kilku rybaków z siekierami i piłami. Zatrzymali się i patrzyli na mnie.

— Wspaniałe drzewo znalazłeś!

— O, tak, suche!

— Niezła będzie tego kupa!

— Ha, zima długa...

Nie wyglądałem na człowieka, któryby, mając siekierę w łapie, mógł obojętnie przejść koło masztu — to też poszli dalej.

Siekiera moja lśniła się, a pot ściekał mi z twarzy.

Ostre atmosferyczne różnice ułożyły się i powietrze zrobiło się czyste i przejrzyste, jak soczewka. Widać było najdalsze rafy,

http://rcin.org.pl

koło których igrało morze... Każda szczelina w nich — wszystko było blizkie i wyraźne. Dźwięcznie rozlegały się ciosy mojej siekiery, a kiedy gwizdałem, to brzmiało to prawie jak flet. Oślepiało niebo, a morze było jako płynne srebro. Tu i tam, niby ostrze, ukazywała się smuga. Parostatki spokojnie przesuwały się obok, i na wiele mil, jak ulica, ciągnęła się smuga wodna.

Brzeg był pokryty jaskrawo czerwonemi i jaskrawo-zielonemi roślinami, długiem sitowiem i wielkiemi rurami. Niby płuca i wnętrzności wyplute przez morze, całe wały mocno pachnących wodorostów obramowywały brzeg, usiany miljonami owadów i tnących much. Z blizka trzeszczały one i chrzęszczały — zdawało się, że to wały palą się. Gdzie bowiem błoto i ciepło, tam jest życie.

Każdym razem, gdy patrzałem na wyspę, nie mogłem powstrzymać się od wzgardliwego uśmiechu. O, jakiż słoneczny i spokojny miała wygląd! Zapomniała ona już o „Indjanie", leżącej w morzu z werzniętemi w jej kadłub miedzianemi sztabami. Zapomniała o wszystkich parostatkach, które najeżdżały czubami na jej rafy, odskakiwały i tonęły; o wszystkich statkach, które przypływały i wpadały jej w zęby. Zapomniała i o parostatku „Union castle Line" — wówczas zgi-

http://rcin.org.pl

nęło dwustu dwudziestu ludzi! Zapomniała już i o pojedyńczych ciałach, które morze przypędzało na brzeg i nikt nie wiedział, skąd i kim są one.

Dość. Zapomniała i o tych dwudziestu czterech rozbitkach, którzy pojechali razu pewnego w małej łodzi i których zamordowała na progu pewnego już ocalenia. Dość, dość!

Leżała i uśmiechała się, osłonięta słoneczną roz oczą i niekiedy tylko zerkała na morze. Była ona jak jedna z tych kobiet, których policzki są delikatne, by płatki róży, a która zrujnowała dwudziestu pięciu mężczyzn, ty jednak przechodząc żegnasz się i mówisz: O, święta niewinności, tyś jest Madonną, lub przynajmiej jedną z bliższych jej krewnych.

Śmiałem się: Boże wszechmogący, sprowadź ją na moją drogę...

Czwartego dnia maszt został przeniesiony do willi „Burza". Złożyłem jeszcze większy stos polan przed drzwiami. I oto leżał tu on, ten maszt, który przewędrował tyle mil morskich, a z masztu tego wciąż jeszcze sączyło się słońce dalekich mórz i aromat brzegów nieznanych. Każdym razem, kiedy spalałem polano, widziałem przedziwne rzeczy: papugi, małpy bujające się na ogonach;

http://rcin.org.pl

czarne jak smoła murzynki i parostatek, sunący po pustem morzu podczas czarownych nocy księżycowych — bezszelestnie i dumnie. —

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXIII

Przez wszystkie te dni nie widziałem Rosseherry. I prawdę mówiąc, nie tęskniłem do niej. Ku najwyższemu memu zdumieniu, zrobiłem odkrycie, że dokonała się we mnie przemiana. Serce me biło innem tempem, a myśli przybrały nowy kierunek. Patrzyłem na cały świat pod innym kątem widzenia, bardziej—że tak powiem—z ubocza. Przyczyną tego były wielkie burze. Zmyły one i zwiały z mej duszy wszystko. Gdy oglądałem się poza siebie, to ze zdumieniem potrząsałem głową: ileż to miesięcy minęło od czasu wielkich burz i rozbicia się „Indiany"? Wszystko pozostało w tyle blade, dalekie... Burza dała mi rozpęd, to też z zadowoleniem przekonałem się, że dusza moja mknie na wszystkich żaglach, prześcigając wszystko wokół siebie. Dzielnie patrzyłem przed siebie; cokolwiek stanie się — wszystko powitam śmiało...

Jean Louis mówił mi podczas połowu

http://rcin.org.pl

ryb, że Rosseherre śmieje i krzyczy, że przechodzi teraz jeden z najostrzejszych ataków rozstroju psychicznego. Było mi jej żal, lecz nic więcej. Poczem dowiedziałem się, że jest jej znacznie lepiej — i to mnie ucieszyło...

Myślałem niekiedy o jej upojeniu miłosnem, o bezgranicznej namiętności, zamieszkałej w jej małem smagłem ciele, ale gdyby tak przyszła do mnie Rosseherre, to rzekłbym „dzień dobry, jak się masz“ — i nic więcej. Ba, gdyby tu przyszła nawet królowa Honolulu, o której mówią, że jest najczarowniejszą z kobiet, powiedziałbym: „dobry wieczór szanownej pani“, i wydmuchiwałbym dalej swą fajkę: pfff...

Wszystkiego tego dokonało tylko morze, tylko ono. Znałem marynarzy, którzy w ciągu jednego dnia posiedli zupełnie nową duszę i z niepojętą naiwnością pozostawiali za sobą wszystko: długi, przyrzeczenia, wyrzuty sumienia — tak, teraz rozumiem ich.

Z przeszłości mej nie pozostało ani śladu, siedziałem na pograniczu miedzy przeszłością a przyszłością, i byłem rad.

Nie byłem tak głupim, by natychmiast nanowo stworzyć sobie przeszłość. Nie, rozkoszowałem się tym przedziwnym stanem, że żyję z nanowo zrodzonem sercem. Mieszkałem samotnie, a Pan zsyłał mi objawienia.

http://rcin.org.pl

Łowiłem na wędę ryby koło raf, ponieważ i ja i Poupoul byliśmy straszliwie głodni. Na skałach stały wielkie kałuże, pokryte grubem żółtem szkliwem. Była to sól, która osiadła po burzach. W tych miejscach było niewiele ryb, i nieraz godzinami czekałem, aż jaka rybka pocznie „brać"... Siedziałem, morze pluskało, a myśli wałęsały się w mej głowie. Bum! W głowie mej zahuczał strzał: ach! toż ja byłem na polowaniu w północnej Grenlandji i strzelałem do białych niedźwiedzi! Oddech morza zamierał, słyszałem to nawet, gdy nie myślałem o niem. Rafy rosły w oddali, wysuwając się zwolna z morza, niby paszcza nosorożca, który stopniowo wynurza się z wody, a błoto i ił spływają mu z pyska; podobnie wznosił się ku górze brzeg. Szemrało jak w lasach na wiosnę. Ze wszech stron mknęły do morza spienione kaskady. Huk zamilkł, woda spływała kroplami, zrobiło się całkiem cicho. Fale pełzły, jak maleńkie kociaki; igrały ze skałami.

Odpływ.

Mewy świerkały, krzyczały. Z otwartego łona morza płynęły strugi słodkawej woni. Zeszedłem na dół. Pragnąłem stanąć wśród macierzystej woni morza. Parą dyszące urwiska pokryte były twardemi, pobrudzonemi muszlami i purpurowemi, galaretowatemi gu-

http://rcin.org.pl

zami, drżącemi przy dotknięciu. Liczne skały całkowicie znikły pod obślizgłemi pioropuszami: pod nogami memi piszczały łokciowe mięsiste palmowe liście i puste szyszki. Pomiędzy kamieniami stały małe zielone kałuże. Rzekłbyś, bajeczne ogrody liliputów. Pośrodku rosła wysmukła palma, a pod nią leżała miniaturowa rybka — właścicielka ogrodu. Naraz coś drgnęło w wodzie: ryba zniknęła z pod palmy, uciekła do ciemnawego laurowego lasku na skraju. Na żółtej piaszczystej dróżce ogrodu leżał rzucony czerwony kapelusik z zieloną wstęgą. Naraz czerwony kapelusz wzniósł się w górę, a frendzle poczęły poruszać się. Mała muszelka płynęła od jednej groty do drugiej. Nie, mała rybka nie była jedyną mieszkanką tego czerwonego ogrodu: tętniał on życiem.

Rzuć tylko garstkę tego błota na jakąś pustą planetę, Poupoul, a znowu wyjdziemy z tego — my dwaj, zupełnie jak to tutaj stoimy a język będzie ci tak samo wisieć z pyska jak teraz...

Mewy podniecone mknęły z rybkami w dzióbach, gwiazdy morskie zwężały się w słońcu, traciły barwy, pokrywały się ognistemi plamami; tkanina mchów na wielkich porowatych kamiennych gąbkach schła, dymiła

http://rcin.org.pl

się i bielała jak popiół. Woń morza stała się tak odurzająco słodką, że sprawiała mdłości.

Lekko nadbiegała fala, igrała wśród kamieni, poczem kornie jak pies kładła się u mych nóg. Ale oto następna już fala dobiega do mych butów i syczy gniewnie. Musiałem usunąć się dalej. Skały znowu powoli pogrążały się w morzu. Znowu zaszemrały kaskady. Z wody wysunęło się białe drzewo koralowe, obróciło się i runęło. Nadbiegła fala, gniewnie przemknęła wśród płyt kamiennych, zagulgotała, zasyczała i liznęła wszystkie suche miejsca. Morze powracało. Huczało, rzucało się w górę na skały — a wiatr unosił bryzgi na brzeg.

Przypływ.

Słońce zachodziło w tych dniach ogniściekrwawo. Zapadało do morza wciąż w tem samem miejscu.

Tak było przez wiele dni.

Yann złożył mi wizytę w willi „Burza“ — świętowaliśmy pojednanie, gwoli czemu bowiem pokłóciliśmy się? — rzekliśmy sobie ze wzruszeniem, patrząc na siebie. Poczem udaliśmy się na polowanie, ponieważ Yann przyniósł z sobą swą fuzję, połamaną skałkówkę. pozwiązywaną drutem. (Należała ona jeszcze do jego pradziada, generała za Napoleona pierwszego). W jaki sposób mógł był strze-

http://rcin.org.pl

lać z niej — stanowiło to dla mnie zagadkę — dość, że strzelał. Płonął gorączką myśliwską, to też strzelał do mew, do jaskółek morskich, do baranów — do wszystkiego co żyje. Nad wrzosowiskiem rozpościerały się dymy, czuć było proch, jak po bitwie; barany rzucały się i biegały dokoła, jak oszalałe. A jednakowoż Yann był najmniej niebezpiecznym myśliwym na świecie! Nigdy w nic nie trafiał: Bóg tylko wie kędy trafiały jego kule... Następnie zachciało mu się szukać szampinjonów. Oho, wiedział on, gdzie ich szukać! I istotnie, w tych miejscach były szampinjony. Smażyliśmy je w garnku tak długo, aż się skurczyły, że można je było zmieścić wszystkie w naparstku; jedliśmy, mlaskaliśmy językiem, poczem przez dwa dni wiliśmy się w strasznych kurczach. Yann nie mógł tego zrozumieć. „*Tiens!*“ mówił, przecież w zeszłym roku były tu szampinjony“?

Zarzuciliśmy sieci w zatoce i czekając siedzieliśmy napół nago na gorącym pokładzie „Robotnika“; rozmawialiśmy o statkach powietrznych, a Yann pilnie robił drutem pończochę.

— Hę, — rzekł Yann. — A może urządzilibyśmy dziś wieczorem małą wyprawę?... Teraz, podczas miesięcy letnich, dziewuszki są wszystkie jak oszalałe.

 Merci. Nie miałem najmniejszej chęci.

http://rcin.org.pl

XXIV.

Aliści wkrótce, zupełnie niespodziewanie— tak już jest stworzony człowiek — dokuczyło mi życie z niezapisanem sercem, postanowiłem tedy znowu stworzyć sobie przeszłość. Udałem się na wieś i dokonałem przeglądu cór kraju.

Szczęście uśmiechnęło mi się. Spojrzenie me zatrzymało się na Yvonnie, córce Amoryka

Porobiłem zakupy u Noëla. Restauracyjka i sklepik Noëla ze zwisającemi z pułapu sznurami i łojowemi świecami przypominały mi grotę stalaktytową. A jednak było to duchowe i towarzyskie centrum wyspy; życie wrzało tu.

Gruby listonosz, a jednocześnie pan pocztmistrz, siedział przy stoliku i zbierał siły do najbliższego dnia pocztowego. W pobliżu worków z mąką stał dziadek, ongiś kapitan statku, który dosłużył się na pomostku krzy-

http://rcin.org.pl

wych nóg, i nieruchomo patrzył w przestrzeń, niby muł pogrążony w reflekcjach. Przez cały rok stał tak i nigdy nie odezwał się ani słowem. Razu pewnego zdecydowałem się zagadnąć go. *C'a marche, capitain?* Ten obrócił się zwolna, spojrzał ze zdumieniem na mnie, poruszył szczękami i rzekł: „Merci". Poczem zrobił obrót i znowu stał, jak dawniej.

Czerwony Noël krzątał się za bufetem, potniejąc od gorliwości i zadowolenia. Od czasu do czasu komenderował głośnym, tubalnym głosem: „*Antoinette, Josephine, Maria!*" — i wnet dziewuchy w białych czepkach, które kręciły się po ciemnych kątach, odpowiadały śpiewnie: zaraz! — i tłumiły przekleństwo.

Noël poczęstował mię baterją wódek. Tak czynił zawsze. Trzymał wina wszystkich najlepszych marek światowych, to też zniewolony byłem spróbować ich swem europejskiem podniebieniem.

Wziąłem pierwszy kieliszek, wychyliłem go, wziąłem drugi, trzeci — „hm!" Noël zrobił oczy pełne zachwytu — „dobrze, dobrze!" Śmiał się, że aż mu ślina ciekła z ust — „o, to dopiero likierek!" Noël obrócił się na obcasie i trzepnął się po łydce.

— Ot, to dopiero likierek, mówię ci — hę? I w Paryżu nie znajdzie pan lepszego!

http://rcin.org.pl

Antoinette, Josephine, Maria! — lampę trzeba zapalić!

— Zaraz! (do djabła!)

Podczas gdy dziewczęta zapalały lampę, wszyscy zachowywali milczenie. W czasie tej procedury mówienie uważano za rzecz nieprzyzwoitą i niedelikatną.

Antoinette wlazła na krzesło, a Noël z pieczołowitością ojcowską i niepokojem stał koło niej, gotów do pochwycenia jej. „Ostrożnie — brener patentowany! — obracaj powoli!“

— Dobry wieczór! — rzekła Antoinette.

— Czy nie cudownie pali się ten patentowany brener? — spytał Noël — Tak, cha, cha, piętnaście franków kosztowała mnie ta lampa!

— Nadzwyczajna!

Tu wszakże z sieni doleciał hałas sabotów, i wszyscy już wiedzieli, kto to był. Był to Gaston Grouzen, zwarjowany Gaston. Spędził on ośm lat w Kalifornii i zebrał sobie tysiąc dolarów. Teraz od rana do nocy był zajęty tem tylko, że biegał od jednej restauracji do drugiej, po to, by jaknajprędzej pozbyć się owych dolarów.

— Zwarjowany Gaston idzie! — zaśmiał się Noël i przygotował kieliszek.

Gaston Grouzen wyjął na moment z ust

http://rcin.org.pl

swą wygryzioną aż po główkę gipsową fajkę i wychylił kieliszek. No, teraz dostrzegł mnie!

Objął mnie, potarł swą szczotkowatą twarz o me policzki. Poczem wskazał, jak zwykle, na szramę pod lewem okiem. „Na wojnie przeciwko *prussiens! — Me California. You have match? Welcome!*"

I odszedł. Nie wolno mu było tracić czasu... Weszła chrząkając, chmara rybaków. Spluwali. Ale to chrząkanie i spluwanie było rozmową — trzeba tylko było umieć słuchać. Przyszedł i Yann, wobec czego zaczęliśmy się częstować nawzajem najrozmaitszemi wódkami.

Przedziwnem stworzeniem jest człowiek! Kiedy Yann, po swej desperackiej podróży zeszedł po raz pierwszy na ląd, tośmy mu omal palców nie połamali w uściskach. „Niech żyje Yann, filut!" A Yann wzruszał ramionami: — „Cóż to nadzwyczajnego?" Ale teraz, gdy nikt o tem więcej nie mówił, Yann przez cały dzień mówił o swym bohaterskim czynie i wyciągał z kieszeni gazety — a myśmy mu to brali za złe.

— Lecz przecież „Robotnik" to wspaniały statek! — odezwał się gruby pan listonosz. Był to zazdrosny pies.

Yann dziko krzyknął nań: „Świnio! Co ten markoliz rozumie o nawigacji? Nie mó-

http://rcin.org.pl

wię, że był to czyn bohaterski, ale tyle czasu utrzymać łódź na prądzie — to nie jest rzecz łatwa. Zamknij lepiej twój drewniany pysk. Dziesięciu kapitanów pokaż, a tego zrobić nie potrafią!"

Yann i pocztmistrz byli to zaciekli wrogowie. Wyrażali się o sobie nawzajem ze wstrętem. Yann dręczył grubego szefa poczty ile tylko mógł. Kiedy miał dużo wolnego czasu i bywał dobrze nastrojony, wówczas wyprawiał coś niesłychanego: stukał do okna biura pocztowego. Zdarzało się to rzadko ale było to największem złem, jakie można było wyrządzić panu pocztmistrzowi.

— „Hallo!..."

Pan pocztmistrz chrapał wewnątrz budynku, więc Yann stukał głośniej. — Pan pocztmistrz zrywał się: „*Malheureux!*"

— Markę za sou!

Poczem Yann oddalał się do restauracji, lecz i w pół godziny później znowu stukał.

— „Hallo!"

— *Malheureux!* — rozpaczliwie darł się z wnętrza pocztmistrz.

— Jeszcze markę za sou! Zapomniałem.

Yann śmiał się do rozpuku lecz za pół godziny znowu powracał.

— Hallo!

Pocztmistrz wściekał się. „*Malheureux!*"

http://rcin.org.pl

— Markę za sou. Oh, la, la, dziś mam wiele listów do napisania,,.

Pan pocztmistrz aż zsiniał ze złości: „*Malheureux!* To są szykany poprostu"!

Ale Yann stukał swem sou. — „*Voyons!* Ja płacę! Spełniaj swój obowiązek i milcz!"

W pół godziny znowu powracał — cha, cha, cha!

Tu do restauracji wszedł żebrak wioskowy w swych wspaniałych spodniach. Wyciągnął do mnie rękę... „Szczyptę tytuniu — panie! Papierek mam już!" I rzeczywiście, trzymał w brudnych palcach zmięty papierek od papierosa. Ale zanim zdołałem mu podać tytuń, Yann cisnął mu łopatę między nogi, i żebrak umknął.

Yann igrał z tym żebrakiem, jak z kotem.

— Cha, cha, cha!

Skamieniały dziadek obrócił się i kichnął.

Życie ani na moment nie zamierało w oberży Noëla.

Wszedł blady jak śmierć rybak, podszedł do Noëla, szepcząc mu coś do ucha.

— Cha, cha! — zaśmiał się głośno Noël.

— Zapłać dziesięć sou, któreś mi winien, a znowu będziesz mieć kredyt!

— Dzieciom nie mam co dać... — mruknął rybak.

http://rcin.org.pl

— Ba! To pracuj!

— Jestem chory.

— Chory? Cha, cha! Ty znasz moje zasady, przyjacielu! Blady rybak potrząsnął głową i wyszedł.

— Oni by mnie tu żywcem zżarli, — zawołał Noël.

Och, la, la — taki już był. Wyciągał rybakom ostatnie grosze z kieszeni, sprzedawał im zapleśniały chleb i nędzne fusy, tył od smacznych potraw i wybornych win i miał dom z haremem małych tłuściutkich dziewcząt, które kolejno zachodziły od niego w ciążę, gdy jednak chodziło o kredyt, to król wyspy nie znał żartów. A rybacy uważali, że tak być powinno...

Wszyscy już zapomnieli o biednym rybaku, gdy naraz Noël głośno zawołał: „Antoinette — Maria, trzeba zanieść bochenek chleba do Bretona, zaraz, ale to zaraz! Powiedz, że to od Noëla. I garnek mleka trzeba też zanieść!" Poczem zwracając się ku gościom, dodał:

— Nie można przecież dać im zemrzeć z głodu. Tu westchnął. Taki był Noel. Miał dobre serce, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość.

W tejże chwili oczy moje zatrzymały się na Yvonnie, córce Amoryka, dozorcy z Creacha. Przyszła kupić chleb.

http://rcin.org.pl

Yvonna była ładną. Pamiętasz? Raz, na wiosnę, koło willi „Burza“, przeszła dziewczyna w drewnianych sabotach, która szukała swych baranów, a ja całowałem jej smagły kark. Yvonno, jak mogłem był tak długo nie myśleć o tobie!

Ivonna miała smagłą twarz i wysokie błyszczące czoło. Gdy uśmiechała się, na licach jej ukazywały się dołeczki i wówczas jej policzki błyszczały. Oczy miała czarne jak smoła. Ale najpiękniejsze to były jej włosy. Były one starannie przedzielone nad czołem, były czarne i błyszczące jak skrzydła kruka, a miękkie jak jedwab.

Noel wyraźnie okazywał jej swą życzliwość.

Odłożył na bok chleb, który wybrała i wybrał dla niej inny. „Ten weź, Yvonno, ten najlepszy“. Takiem wyróżnieniem cieszyli się tylko najbardziej szanowni jego klijenci.

— Dla Amoryka... — rzekła Ivonna.

— Dobrze, dobrze, kłaniaj się Amorykowi!

Amoryk korzystał z kredytu, jak i wszyscy mieszkańcy, mający zapewniony dochód.

— *Kenavo!*— rzekła Yvonna i wyszła.

 — To ci piękna, dziewczyna!

http://rcin.org.pl

— Tak, i porządna.

Nic nie powiedziałem. Skinąłem tylko głową. Poczem skończyłem swe zakupy, nie zdradzając pośpiechu. Na wyspie trzeba było być spryciarzem.

— Hej, Antoinette, Josephine! — krzyknął Noel. — Przypomnijcie mi, że trzeba odwieźć towar do willi „Burza". O siódmej należy zaprządz konia.

Noel miał powóz, mimo że najdalsza podróż, jaką można było odbyć na wyspie, trwała nie dłużej, jak godzinę. Koń był gruby, tłusty, z długiem owłosieniem na nogach, wyglądający niby w spodniach futrzanych.— Zaprzęganie była to cała komedja. Noel, w buach z ostrogami usadowił się na kożle i odjeżdżał z hałasem. Prrr! Już przybył. Trzeba wytrzeć Zefira, trzeba napoić Zefira, prr, prr! Zefir, ciszej!

Wreszcie wyszedłem. „Dobry wieczór!" Dopędziłem Yvonnę w polu. Zawołałem na nią; zatrzymała się.

— Idziemy tą samą drogą, Yvonno!

— Owszem, — uśmiechnęła się. Widziałem, że ma dobre, proste serce.

— Byliśmy przecież znajomymi, pamię-

http://rcin.org.pl

tasz?... Yvonna roześmiała się. O, tak, ona tego nie zapomniała.

— A jak to się stało, że nie spotykałem cię więcej? Tak często bywam na Creachu. Gdzie byłaś przez całe lato?

— Ja? Na wyspie. Często cię widziałam, o tak! Ale poczekaj, ja nie cały czas byłam na wyspie, przecież dwa tygodnie spędziłam w Brest.

— No, widzisz!

I Yvonna czemprędzej opowiedziała mi o swych przygodach w światowem mieście Brest. Ona nawet w teatrze tam była, i widziała sztukę pod tytułem „Sałata z policzków" Treść: bogaty chłop przybywa do Paryża i wynajmuje mieszkanie u wesołego kawalera i—to się wie!—ze wszech stron sypią się na niego za to policzki...

— Przez cały czas dostawał w gębę — opowiadała Yvonna—przychodzili wierzyciele kawalera — klap, klap, — przychodzili zazdrośnicy — klap, klap, — cha, cha — całuski czas klapało! Cha, cha, cha!

Szliśmy nachyleni pod wiatr, śmiejąc się i przystając, patrzyliśmy sobie nawzajem w oczy. Yvonna mówiła nizkim gardlanym głosem, a serdeczny jej śmiech brzmiał niby skądś zdaleka.

http://rcin.org.pl

— Ile masz lat Yvonno?
— Poczekaj — Mam...
— Dziewiętnaście...
Spojrzałem na nią. Była wysoka i silna.
— I naturalnie masz już kochanka?
— Cha, cha... co on sobie myśli? Nie, nie!
Yvonna śmiała się.
Podobała mi się.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXV

W najbliższą niedzielę po nabożeństwie znowu ujrzałem ją u Noëla. Kupowała wełnę na pończochy dla Amoryka i miała kłopot z wyborem koloru wśród różnobarwnych motków. Wreszcie zatrzymała się na kolorze malinowym. Poczem poczęła grzebać w gałganach i wyciągnęła jakąś wązką koronkę.

— O, jakaż ładna! Wprost na czepek!

— Pół metra. Dziesięć sou.

— O! Yvonna cisnęła koronkę na bufet.

— Co ty? Toż ja nie taka bogata!

— Daj mi koronkę, — rzekłem i wyłożyłem dziesięć sou. Ale tu poczułem, że ktoś patrzy na mnie i odwróciłem się: Rosseherre stała za nami. Pomimo swej młodości, Rosseherre ze swemi żółtymi włosami, chudymi policzkami i gęstymi piegami — wydawała się zwiędłą.

http://rcin.org.pl

— Dzień dobry, Rosseherro! — Ale już jej nie było.

— No, Yvonno, czy chcesz tę koronkę?

— Nie, ach nie! — ale, gdy ją poprosiłem ślicznie, przyjęła ten mały prezencik.

Udałem się do Creacha. Wieczór zapadał. Wyraźnie a chłodno wznosiła się latarnia morska nad małymi domkami wśród pustkowia. Ktoś chodził u góry na galerji i gwizdał, a to gwizdanie wyraźnem echem rozlegało się w przejrzystem powietrzu.

— Dobry wieczór, Yvonno! — Yvonna stała koło okna a na jej smagłych policzkach świeciły jasne odblaski. „Prawda jaki piękny wieczór? Jaki ciepły wiaterek! Może wejdziesz do mnie na chwilkę?“ Yvonna odeszła w tył, a twarz jej pociemniała. Białe zęby lśniły blado. Jej czarne, jak smoła, włosy trzaskały prawdopodobnie przy dotknięciu. Yvonna uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

W tejże chwili odwołano mnie.

„Ojciec cię woła!“

Amoryk przechylił się z góry, przez galerję i dał mi znak. Wszedłem krętymi schodami na górę, do wnętrza huczącego komina! Jednooki Amoryk zdjął zasłony z szyb i zachodzące słońce zaigrało na wypukłościach i segmentach lśniącej kryształowej zabawki, tysiącem różnokolorowych ogni. Błyszczące

http://rcin.org.pl

niebieskie i żółte sztylety spojrzały na mnie; ostre czerwone i zielone sierpy rżnęły mnie w oczy. Wyspa nad nami była już ciemną, a skały czarne. Po tamtej stronie, na dalekim brzegu, drgał ogień — zda się wyciągając się i jakoby żelazne widmo stało u kotłowiska wód i obracało okiem. Świeca zaskwierczała, łuk światła przeskoczył na drugą stronę. Amoryk nastawił aparat, i lśniąca zabawka poczęła się bez szelestu obracać i rzucać cztery snopy promieni ponad naszemi głowami daleko na morze. Patrzeć na nią było niemożliwością — oślepiała oczy. Na dalekim brzegu migotał teraz i iskrzył się tuzin białych, czerwonych i zielonych ogni — to klejnoty wielkiej kokoty Francji płonęły w mroku.

Amoryk siedział na małej ławeczce, a jego lewe oko patrzyło bacznie. Gdzieżeś stracił oko, siwy Amoryku? Hę, może to wiatr nadleciał, wionął i rzekł: ja, wiatr, wywiałem ci oczy z orbity? Nie, to podczas jednej burzy trafił go w oko kamień żaglowy...

Amoryk siedział ze subtelnym uśmiechem, a na jego twarzy rozlaną była dobroć, właściwa ludziom, którzy samotnie czuwają podczas cichych nocy w milczeniu. A gdzież można było być bardziej samotnym, jak nie pod olśniewającym wiatrakiem latarni morskiej?

http://rcin.org.pl

Wdrapałem się na galerję. Wiatr nocny ściślej obciągnął na mnie odzienie, szarpał mi powieki. Na szybach migotały wielkie motyle, a miljony kleszczy lubieżnie tłoczyło się do światła. Snopy promieni biegły w mrok, na trzydzieści mil morskich dokoła i dalej, jak obracające się do białego rozpalone fontanny. Wyspa była najzupełniej czarną, matowo-czarną, za to morze było lśniąco czarne i burzyło się.

Zielony ognik płynął ku północy. Wiedzieli tam, że był Creach, za cztery godziny będziemy na La Manche, a za dwadzieścia, pięćdziesiąt godzin już w domu. Jeszcze przez pięć godzin będą nas widzieć.

Czuwaliśmy i tylko od czasu do czasu zamienialiśmy z sobą krótkie słowa. Amoryk dawno już oduczył się mówić.

W razie, gdyby mgła nadeszła, podniesiemy mały dźwig, a ściśnięte powietrze będzie ryczeć przez tubę. Ale mgła nie nadeszła, noc była usiana gwiazdami.

— No, dobranoc, Amoryku.

— Już idziesz?

— Tak, jestem znużony.

— A ty nie śpisz jeszcze? Yvonno, tak późno w noc?

Yvonna stała w ciemnem oknie i uśmie-

http://rcin.org.pl

chała się. Wiedziała już wszystko, chociaż była jeszcze tak młodą dziewczyną.

— Wyjdź, Yvonno! Nie? Yvonno, daj mi przynajmniej rękę. *Kenavo*, Yvonno!

— *Kenavo!* — szepnęła.

— Yvonno, otwórz raz jeszcze!

— Doprawdy?

Wyjąłem z kieszeni mały srebrny łańcuszek i cisnąłem go jej przez okno. Słyszałem jak upadł. Nie powiedziałem nic i odszedłem.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXVI.

W kilka dni później siedziałem przed domem na kamieniu. Położyłem na nim rękę, ciągle jeszcze była białą, — to sól, która osiadła od bryzgów wodnych podczas wielkich burz. Siedziałem i grzałem się w słońcu, a myśli me były beznamiętne. Naraz na pustkowiu ukazała się dziewczyna. Zdawało się, że szuka czegoś. Zatrzymała się, poczem skierowała się wprost ku mnie. Czyżby ona?... Nie, miała przecież jasne włosy.

— To ty Rosseherro! — zawołałem i podniosłem się. Serce moje było chłodne, a spojrzenie me również było chłodne. Przebiegła burza i poniosła mię w kraj daleki. Rosseherro — nie mieszkam już więcej tutaj! Ale Poupoul począł podskakiwać jak szalony z radości i lizać językiem twarz Rosseherry.

Rosseherre nie rzekła nic. Usunęła na bok Poupoula i spojrzała na mnie.

http://rcin.org.pl

— Dlaczego cię tak długo nie było, Rosseherro? — spytałem, uśmiechając się.

Rosseherre patrzyła na mnie.

— Czas nie powinien ci się dłużyć... — wyjąkała. Krew uderzyła jej do twarzy, a oczy pociemniały i stały się surowe. Poczem uśmiechnęła się ironicznie, a oczy jej buchnęły gniewem. Wyjęła z poza stanika i rzuciła mi oba moje pierścionki pod nogi.

— Nie trzeba mi twoich pierścionków! — wypaliła i zbladła.—Daj je Yvonnie! Ja i pieniądze twoje odniosę ci...

Roześmiałem się bezwiednie. Rosseherre była zazdrosna, pomyślcie tylko! Rosseherro, Rosseherro, opamiętaj się! Czyliż naprawdę myślałaś, że ja wiecznie będę stać na kotwicy przed twojem sercem... Alboż nie wiesz, że jestem na szlaku na rozległych przestworach życia, dziś — tu, jutro — tam, a zawsze śpię w lekkim szałasie pod gwiazdami? O, Rosseherro, ja zbuduję sobie trwały dom dopiero wtedy, kiedy już nie będę mógł utrzymać się więcej na nogach od reumatycznych bólów i nuda skłoni mię do dyktowania swych pamiętników.

Spojrzałem na Rosseherrę, i uśmiechając się, potrząsnąłem głową.

— Nie bądź nierozsądna Rosseherro, — rzekłem. Pierścionki do ciebie należą, ja ich

http://rcin.org.pl

nie podniosę. I o tych kilku frankach, które ci dałem, również nie gadaj. Jednakowoż, jakaś ty dziwna!

Ale Rosseherre trzęsła się z gniewu. Krzyczała głośno, niesamowicie, lecz ja ani słowa nie rozumiałem, gdyż mówiła po bretońsku. Wreszcie szarpnęła mię za kurtkę, tak dalece zapomniała się, Poupoul szczekał i warczał i gotów był bronić mnie.

— Przestań, wreszcie, czego tak drzesz się, Rosseherro! — odezwałem się szorstko, a gdy przemówiłem tak, jak mówi się na wyspie—Rosseherre wnet opamiętała się.

— Już nic więcej nie powiem, — ciągnęła po francusku - możesz sobie podarowywać jej łańcuszki i co tylko ci się żywnie podoba.., Ho, ho, ho. Takiej, co to... ze wszystkimi marynarzami zadawała się,.

— Yvonna?

— Tak, Yvonna!

Parsknąłem śmiechem.—Yvonna! Cha-cha! O, nie, ona nie włóczyła się ze wszystkimi marynarzami.

Oczy Rosseherry wrzały. Wargi jej aż zbielały.

— Czy chcesz może przez to powiedzieć, że ja zadawałam się ze wszystkimi marynarzami?

— Alboż ja co mówię?

http://rcin.org.pl

— Bo i gdybyś mówił, to ja mogę przed Matką Najświętszą przysiądz, żem nigdy do nikogo, oprócz Yanna nie należała. I Yann ożeni się ze mną. Ale Yvonna nie, możesz sobie latać za nią. Każdy człowiek na wyspie powie ci, że ona w szesnastym roku życia miała nieżywe dziecko — gnój jest ona, ot co!

Na miłość Boską! Roześmiałem się. — Rosseherro co ty wygadujesz! Yvonna... Cha, cha, cha!

— Jest tak, jak powiedziałam; no, wkrótce się o tem dowiesz... Psy wy jesteście, mężczyźni, o psy! Poczekaj, poczekaj, ona cię ubierze! A jakżeś to gadał pięknie do mnie— łgarzu ty, łgarzu!

— Posłuchaj, Rosseherro — rzekłem i dotknąłem jej ręki, by ją uspokoić. Przecież ty masz Yanna, nieprawdaż, i to jest najlepiej!

Rosseherre cofnęła się.

— Owszem, mam Yanna — odparła — to jest prawda, i niech tam sobie będzie prostym majtkiem, to jednak jest on mi tysiąc razy milszy od ciebie!

— Bardzo chętnie wierzę w to.

— O tysiąc razy! — powtórzyła Rosseherre i spojrzała na mnie z bezgraniczną nienawiścią. W świetle słońca oczy jej stały się żółte, jak u kota.

http://rcin.org.pl

— Możesz sobie łazić do Yvonny, ty jesteś taki sam jak ona — ho, ho—ty może myślisz, że jestem zazdrosną o ciebie — o, nie...

Zakryła twarz dłońmi i odeszła.

— Rosseherro! — krzyknąłem za nią.

Ale ona pobiegła. Poczem naraz zatrzymała się i głośno zaśmiała. Jesteś głupiec — cha, cha, cha! — głupiec! I znowu pobiegła.

Patrzałem na oddalającą się. Jak szybko biegła, jak mknęła! Tak prędko, że sylweta jej rozpłynęła się i widziałem tylko biały czepiec, migający nad pustkowiem.

Tak, bywało że i ja tak biegałem, teraz na nią kolej, czasy zmieniają się.

Jak ona szalała! Ileż nienawiści wzięło się w tem żółtem ognisku! Boże, bądź mi miłosierny, zbyt surowo osądziła mię, suchej nitki nie zostawiła na mnie! Poszedłem przez pole do Creacha. „Poupoul, gadaj że! — rzekłem do Poupoula, który już znów wszystko zapomniał. — Mów prawdę, Poupoul, tobie zwierzęciu, łatwiej być sprawiedliwym, niż nam ludziom! Alboż nie widzieliśmy nieraz, jak biały czepiec podpływał w nocy w łodzi do „Robotnika“? I czy powiedzieliśmy kiedykolwiek choć jedno słowo? A ona... Ech, Poupoul, powiedz prawdę! — I znów mimowoli roześmiałem się: tak szybko uciekła, nikt za nią nie gonił!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXVII

Tak jest, Rosseherre gniewała się na mnie. Powiedział mi to Yann, gdy wszedł do mnie nazajutrz. *Tiens, tiens,* jaka ona jest wściekła na ciebie.

Rano byłem na morzu, złowiłem ciężką, grubą rybę. Wślepiała się we mnie oszalałemi ze wściekłości oczyma, gdy ją wyciągałem z wody. Teraz leżała na ziemi, a łuska spadała z niej. Ryba ta była obżartej tuszy z głupiemi, złotemi, wyłupiastemi oczyma i wściekle blademi wywiniętemi wargami, między któremi świeciły się białe, jak porcelana, zębiska. W głębi w przełyku miała drugi rząd płaskich zębów, niby tartka. Jej tłusty brzuch pokryty był obślizłą grubą siecią koloru żółwia, dzięki czemu mogła była najspokojniej w świecie wylegiwać się w lasach wodorośli, będąc niedostrzeżoną. Czy widziałem w życiu coś bardziej chciwego, żarłocznego a gnuśnego? Naturalnie, ludzi! Nieraz zdarzało mi się wi-

http://rcin.org.pl

dzieć odrazu cały tuzin portretowo podobnych egzemplarzy... Gdybym ich miał pod memi obnażonemi, okrwawionemi rękoma, z jakąż przyjemnością bym...

Wtem wkroczył Yann. Przywlókł z sobą wielki gliniany garnek, a oznaczało to, że będzie gotować jedną ze swych sławnych zup bretońskich.

Byłem w wybornym humorze, ale natychmiast zauważyłem, że zaszło coś niezwykłego. Rzuciwszy mi komplement z racji mej ryby, ujął się za boczną kieszeń.

—Chciałbyś ujrzeć coś niecoś, hę?

— Co takiego?

— No, chcesz, mówię, ujrzeć coś niecoś? — powtórzył Yann, błyskając na mnie jasno-niebieskiemi oczyma.

— Pokaż!—odparłem z ciekawością.

Yann pokazał brzeg wielkiego listu. Potrząsnął nim i z koperty wysunęły się końce banknotów. Raz, dwa, trzy — pięćset franków! Wytrzeszczyłem oczy i ze zdumieniem patrzyłem na Yanna.

Wówczas wyjął list i wyciągnął go w moją stronę ze wspaniałym gestem.

Był to list od towarzystwa angielskiego, do którego należała „Indiana".

— Każdy z moich marynarzy otrzymał po sto franków!—rzekł Yann. A jak oni uprzej-

http://rcin.org.pl

mie piszą, ho, ho. Spojrzyj tylko na kopertę, na płócienną podkładkę, czy widziałeś kiedy taką kopertę?

Obejrzałem kopertę z wewnątrz i zewnątrz. „*Nom de pipe*“—rzekłem.

Yann dumnie wyprostował się i rzucił wyzywające spojrzenie morzu. „Jest to, prawie dar nieba. Więcej niż sześćdziesiąt franków na osobę. Tak, co ja teraz mogę zrobić?“ I Yann patrzył mi prosto w oczy. „Teraz mogę zrobić co mi się podoba, rozumiesz?“

Zbogacił się przez jedną noc.

— „Gdybyś potrzebował pieniędzy — dodał — to powiedz mi tylko jedno słówko...“— mówiąc to wyciągnął do mnie dwieście, trzysta, czterysta franków — „tyś mój przyjaciel, możesz więc otrzymać ile chcesz“...

Wspaniały był chłop, ten Yann!

Poczem zabrał się do roboty. Zrzucił kurtkę, zsunał czapkę na kark i zawinął zczerniałe rękawy koszuli. W garnku były kartofle, warzywa, kapusta i marchew, duży kawałek jakiegoś szarego tłuszczu, *grease bretonne*, butelka koniaku i okrągłe zawiniątko. Mył, skrobał, krajał, poczem rozniecił ogień. W glinianem garnku, jak się pokazało, było pęknięcie, prędko więc naznosił ziemi, ugniótł ją i zamazał pęknięcie, raz, dwa...

Poczem starannie rozwinął obwiązany szpagatem okrągły pakiecik. „A tu jest coś na pamiątkę, mój przyjacielu!“ — oświadczył.

Był to imbryk z białej porcelany z tanią pozłotą.

Yann stał, szeroko rozstawiwszy nogi, patrzył na mnie wymownie. „No?“

— Piękny imbryk — rzekłem.

Yann zjadliwie roześmiał się, poczem drwiąco spojrzał na ten imbryk — „Jest to ten sam — rzekł — jest to ów głośny imbryk z „Charlotty!“ A te psy, krzywoprzysiężcy, przysięgły wtedy, że to ja skradłem ten srebrny imbryk. Cha, cha, cha, cóż ty na to?

Spojrzałem na Yanna i roześmiałem się.

— No, a może chcesz go, ten... srebrny imbryk? — spytał.

Potrząsnąłem głową. „Nie, Yann, *merci*, nie mogę mieć u siebie przedmiotów, których nie mogę wsunąć do kieszeni, rozumiesz?

Bien! — Yann wziął imbryk i rozmachnąwszy się szeroko, cisnął go o skały, — aż się rozprysnął w kawałki. *Au revoir*!

Poczem wyciągnął zegarek z kieszeni spodni.

— Trzecia godzina, — oświadczył od niechcenia — o ósmej zupa będzie gotowa.

 Ale zaledwie spojrzałem na zegarek, jak

http://rcin.org.pl

podsunął go mi pod sam nos. „Tak, właśnie że trzecia!“

Tu zwróciłem uwagę na zegarek. Był złoty, ze sprężynową kopertą, coś podobnego! Ten zegarek, („dar jakiegoś paryskiego znajomego“), wart był ze trzysta franków.

Zdumiałem się, skinąłem głową. Yann pokazał mi mechanizm, gdzie wszystko cykało i drżało.

Poczem pokazał mi, jak wyłożył watą kieszeń, w tym celu by zegarek nie popsuł się.

Czemu jednak twój paryski przyjaciel nie podarował ci lepszych narzędzi okrętowych, Yann? — spytałam podstępnie, otrząsnąwszy się ze zdumienia.

Yann ściągnął powiekę na oko palcem wskazującym.

— Ech! zawołał — dlaczego? Cóż za głupie pytanie! Powiedzianoby jeszcze, że ukradłem narzędzia okrętowe z „Charlotty!“

Zegarek był dobry. Yann dokonał niezłej zamiany!

Roześmiałem się mimowoli: Yann, Yann, kto ciebie zrozumie! Ile razy opowiadałeś mi tę historję o „Charloccie“, jak oni bezczelnie obmówili cię, a ja litowałem się nad tobą! Jak często twoje szczere dziecięce oczy wezbrane były od łez, a tyś się uśmiechał szyderczo: Co ja złodziej? Ja?!

http://rcin.org.pl

Cha, cha, cha! Dusza Yanna była tak przesyconą uczciwością, że z oburzeniem odrzucała wszelkie podejrzenia o kradzież. Nigdy, nigdy Yann nie uwierzyłby, że skradł coś — nawet wobec imbryka przed oczyma i złotego zegarka w kieszeni — nigdy: on był zbyt uczciwym na to..

Zupa miała się gotować przez pięć godzin na wolnym ogniu, mieliśmy tedy czas na gawędę. Siedzieliśmy przed domem na ziemi, a Yann pociągał z butelki, którą on — (bogaty dziś człowiek) — przyniósł z sobą.

Naraz roześmiał się głośno.

— Coś ty jednak, u Boga Ojca, zrobił tej Rosseherze? — zawołał. — *Tiens, tiens,* że aż taka wściekła na ciebie!

— Nic jej nie zrobiłem.

— No, dobrze się o tobie ona nie wyraża, mój przyjacielu! — ciągnął Yann. — Wpadła ci w oko Yvonna Amoryk, hę?

— Była to przecież najlepsza przyjaciółka Rosseherry, lecz mimo to, kto je tam zrozumie, te kobiety!

— Więc tyś podarował Yvonnie łańcuszek? Cha, cha! Tak? A jak myślisz, o co Rosseherre spytała mnie? Cha, cha, jak myślisz?

— Pytała, czy mógłbym cię zabić?

 — Co takiego?

http://rcin.org.pl

— Tak! kiedy kobiety wpadną w zazdrość, to tracą zupełnie głowę.

— A ty, Yann, coś jej na to odrzekł?

— Powiedziałem—dlaczegóżby nie? Chciałem, żeby była w dobrym humorze.

Zagwizdałem przez zęby i śmiałem się. Yann również śmiał się. Śmiał się ze spokojną pewnością siebie, kochanka, którego rywal stał się ostatecznie nie niebezpiecznym.

— Przyrzekłem jej nawet zabić cię — rzekł mi — poczem zrobiła się pokorną i łagodną jak piesek.

Yann zamilkł i ze zdumieniem podniósł pierścionki z trawy. „Hę, a to co?“

— Ot i drugi pod kamieniem, — odparłem — Rosseherre przyniosła mi je z powrotem.

Yann wsunął pierścienie do kieszeni i gniewnie potrząsnął głową. „Ot zwarjowała kobieta, nie prawda? Oddam jej te pierścionki, gdy oprzytomnieje“.

— A zatem obiecałeś jej?...

— Tak! — rzekł Yann, śmiejąc się. — O, ona była zupełnie jak zwarjowana i nie chciała mi się dać... Postawiła to za warunek... Cha, cha, cha! Ale terminu mi nie dała... O tem zapomniała! Daję ci tedy jeszcze wiele lat, mój przyjacielu, Nic pilnego!

Poczem zaczęliśmy rozmawiać o czemś

http://rcin.org.pl

innem, a imienia Rosseherry nie wspominaliśmy już więcej.

Zupa ugotowała się. Yann mlasnął językiem. To ci zupa! Z zachwytem wysysał oba oczy mojej tłustej ryby. Siedzieliśmy i ugotowaliśmy, we trójkę! Yann, Poupoul i ja. Drzwi były otwarte, morze huczało zzewnątrz.

Przez całą godzinę jedliśmy łyżkami z garnka, dopóki nie przestaliśmy się poruszać. Ale garnek nie prędko stawał się pustym, zawsze karmiliśmy się zeń przez dwa-trzy dni! Następnie usiedliśmy pod drzwiami, w polu i zapaliliśmy.

— Zagraj jaką piosnkę — rzekł Yann. — Właśnie teraz, gdy zmierzcha się.

Zagrałem. Podczas grania na flecie, rzuciłem na Yanna spojrzenie. Siedział ze swymi pięciuset frankami w rękach, patrzył na morze i marzył.

Ściemniało się, wróciliśmy tedy z powrotem do domu „na kieliszek".

Yann rozłożył swe franki i co chwila otwierał sprężynową kopertę zegarka. Promieniał ze szczęścia. Nieco później położył zegarek pod drewniany trzewik i nadepnął go nieco, aby przekonać się co do jego wytrzymałości! Trach, szkiełko pękło. Ale zegarek od tego nie popsuł się — cha, cha, cha! Yann

http://rcin.org.pl

pozbierał swe banknoty, zwinął je w kulę i cisnął przed siebie, by je Poupoul podniósł z powrotem. Ach, te pieniądze — psu by je cisnąć do pyska, w ogień by je wrzucić!

Yann pokazał mi kilka swych sztuczek. Wyjął monetę z talerza napełnionego wodą i nie zamoczył przy tem żadnego palca. Spryciarz robił to za pomocą gorącego powietrza w kieliszku od wina.

Lejąc sobie koniak do gardła, opowiadał o wężu morskim, którego widział na Oceanie Spokojnym. Obnażył przytem rękę, zaostrzył dłoń i poruszył nią w przygubie. Tak samo wąż morski wysuwał się z fal i mówił: „Dzień dobry, pan Yann z Roskoff"! A koło wysp Molukki morze było ciężkie, jak ołów! Kiedy przepływał statek, to ślad po nim pozostawał przez cały tydzień!

Cha, cha!... O, Yann.

Noc już była późna, gdyśmy się rozstali. Yann wyprostował banknoty i dwukrotnie je przeliczył, poczem długo wodził oczyma po ziemi — czy aby czego nie zapomniał? Była to prosta dusza, przeto nie mógł się był rozstać ze mną, zanim ze dwanaście razy nie zapewnił mię o swej wiecznej przyjaźni.

— Nie możemy przecież stać się wrogami dla jakiejś zwarjowanej kobiety! — rzekł, patrząc na mnie ze łzami w oczach.

http://rcin.org.pl

— Tego by jeszcze brakowało, Yann!

Yann usunął mi rękę.

— Ale, ale, Yann, jeszcze coś! Czy to prawda, że Yvonna zadaje się ze wszystkimi marynarzami i że w szesnastym roku już miała dzieciaka?

Tiens! — zaśmiał się Yann. — Też komuś przyszło do głowy wymyśleć taką bajdę!

http://rcin.org.pl

XXVIII

Morze nęciło mię. Patrzyłem na nie, a ono dawało mi znaki tysiącami swych rąk. Serce mi ściskało się z bólu, gdy widziałem parostatki daleko, na otwartem morzu — a mnie na nich nie było. W dal!

Pracowałem na morzu dzień w dzień! Złowiliśmy w tym czasie rybę, metrowej długości, kształtu węgorza congre, który przebywa w wielkich głębinach. Liny były grube, jak powrozy, i takie długie, że zapchały całą łódź. Ale ryba ta była jakby opanowana przez djabły. I toteż trzeba ją było zabić natychmiast. Słońce smażyło mię. Twarz moja, kark i pierś, ręce moje i dłonie stały sie czerwonemi jak miedź, a tu i owdzie czarne, jak kopeć a skóra odpadała od nich wielkimi płatami. Włosy mi skołtuniły się i wypadały, oczy zaś dostały zapalenia od soli, głos zgrubiał, zachrypł, jak u rybaków. Mówiłem tym samym wyjącym bretońsko-francuskiem narze-

http://rcin.org.pl

czem, które nawet francuzi z trudem rozumieją! I, do stu kroć, nauczyłem się tęgo kląć i wygrażać pięściami.

Gdy była marna pogoda to wtedy umawiałem się z Jeanem Louis. Za flaszkę wódki „Król Morza“ pojedzie z tobą, gdzie chcesz!

Wyjeżdżaliśmy sami w naszej maleńkiej łodzi, podczas gdy wielkie łodzie targały się na łańcuchach. Wiodło się nam zawsze.

Morze śpiewało i radowało się. Po nocach, nęcące częstokroć, huczało przed mym domem i wtedy budziłem się. Deszcz chlustał do okna, a wiatr krzyczał:

— Hej! Pilocie! Kedrilu! Hej!

— Co się stało?

— Chciałbym wyjechać, pilocie!

— Wyjechać? Dokąd? Teraz?

Śmiałem się. Tak, na morze! Mała wycieczka pod prysznic. Przecież nie za darmo.

Kedril wysuwał głowę przez okno.

— Słyszysz, morze? Toż my i stu metrów nie przejedziemy.

— Daję ci dwadzieścia franków. Dwie morskie mile za zatoką.

Kedril wychodził na pół ubrany i opuszczał się na dół, ku morzu. Niezdarnym ruchem podnosił ręce.

— Pięćdziesiąt franków za godzinę.

http://rcin.org.pl

Kedril patrzył na mnie, poczem odszedł do swego domu.

— Hej! Pilocie!

Ale Kedril nie odpowiadał więcej. Ja zaś gorącemi, suchemi oczyma patrzałem na morze.

W tych dniach ujrzałem raz Rosseherrę. Raz wieczór powracałem do domu z Jeanem Louisem, a kiedy przybiliśmy do lądu, to na na brzegu stała Rosseherre. Trzymała w ręce mały okrągły koszyk, pokazując go Jeanowi Louis.

— Krewetki! — śmiała się. — Na mnie nie patrzyła, ale naraz sponsowiała, ponieważ poczuła mój wzrok.

— Hi, hi hi! zaśmiał się Jean Louis i wyszedł z łodzi.

Naraz Rosseherre spojrzała na mnie i uśmiechając się z pewną lękliwością spytała:

—Czy nie życzy pan sobie krewetek, *monsieur*?

— Dziękuję! — odparłem ozięble.

Oczy Rosseherry buchnęły ogniem, cisnęła koszyk z krewetkami w wodę i uciekła.

— Hi, hi, co się jej stało? — głupkowato śmiał się Jean Louis.

Następnych dni zaszły wypadki, którym na razie nie przypisywałem większego znaczenia, a zrozumiałem je dopiero później.

http://rcin.org.pl

Raz przyszedłszy do domu ku swemu zdumieniu, ujrzałem, że ktoś stoi pod drzwiami. Był to sklepikarz Noël. Podchodzę bliżej i widzę we drzwiach obok Noëla — stoi mer. obaj byli zażenowani.

— Co się stało?—spytałem.

Noël spojrzał na mera, a mer na Noëla.

— Włamaliśmy się do pana,—rzekł Noël, z uśmiechem.

Wyprostowałem się.

— Jestem zdumiony mój panie—rzekłem.

Ci godni obywatele znowu zamienili z sobą spojrzenia.

— Trzeba rzec prawdę—zaczął mer.—Do merostwa wpłynęło doniesienie. Twierdzono w nim, że pan jesteś szpiegiem, który robi wywiady na wyspie.

Począłem głośno śmiać się.

— Zapłacę natychmiast tysiąc franków—rzekłem—jeśli panowie znajdą u mnie choćby jeden szkic, albo jeden zanotowany wiersz!

— No tak myśmy spełnili swój obowiązek.

Z temi słowy wyszli jak oblane pudle.

W dwa dni później zauważyłem, że w beczce nie było wody. Po nocach padały silne deszcze, ale w beczce nie było ani kropli wody. Obejrzałem beczkę: przeciekała. W dolnej części uszkodzona była klepka. Poupoul

http://rcin.org.pl

obwąchał kamień, leżący koło beczki. Ale ja dopiero później zwróciłem na to uwagę.

Nie myślałem o niczem.

Nastały niewesołe świętne dni. Przypominały one twarze ludzi zrozpaczonych, którzy włóczą się bez celu i zatrzymują się od czasu do czasu, by wspomnieć coś, o czem dawno zapomniała ich chora głowa.

Morze rzucało się i jęczało. Błąkające się fale — były niby ludzie, tysiące i tysiące ludzi, którzy idą tu i tam i giną, niewiadomo kiedy, niewiadomo gdzie... O, nie! Niechaj przyjdzie burza, potężna, albowiem wspaniałą rzeczą jest śmierć szalona!

Rybacy nie wyjeżdżali na morze... Nawet Jean Louis. Daremnie brzęczałem twardemi talarami w kieszeni—„Król Morza" pozostawał głuchym.

Boję się! — wył.

— No, jeśli ty się boisz, ty „Królu Morza"...

Zachmurzony włóczyłem się po wyspie wsłuchując się w szał wód. I zdawało mi się, że stoję wśród wodospadu. Niebo było mgliste, brudne, a ciemne strzępy chmur pionowo zwisały zeń, włócząc się nad wyspą i morzem. Zmarszczka na mem czole pogłębiła się jeszsze bardziej. Nie poszedłem do Creacha. Nie,

http://rcin.org.pl

Yvonna? — nie, nie miałem próżnych myśli. Poszedłem do Stiffa, na stację Marconiego.

Pracowałem tu po całych dniach z taką gorliwością, jakgdybym miał wkrótce zdać decydujący egzamin. Jako rozmawiające z sobą duchy, mówiliśmy zielonym ogniem i ozonem z istotami niewidzialnemi. I jakiż był zapach! Jak w lasach mego rodzinnego kraju po rzęsistej ulewie.

Pan Boucher trzymał rączkę, i zielone błyskawice skakały między lśniącemi przewodnikami, trzeszczały i gęgały. Niekiedy parostatek, z którym rozmawialiśmy, był całkiem blisko tak, że mogliśmy widzieć na horyzoncie jego sztandar z dymu. Częściej jednakże był daleko od nas. „Podajcie nam prosimy, wasz punkt". Trr — trr — tak — tak — trr — oto był jego punkt. Na miłość Boską, gdzież on jest?

Statek był jeszcze na zachód od wysp Azorskich. Pracowaliśmy cierpliwie, spokojnie. Niekiedy zdarzało się dwanaście razy powtarzać to samo pytanie, zanim nas zrozumiano... Przez całe dwa dni próbowaliśmy porozumieć się z parostatkiem, na którym znajdował się Mr. William Finch. „Pański kufer podąża najbliższym parostatkiem". Trr — trr. — „Pański kufer podąża..." Każdym razem, gdy pan Boucher miał kwadrans wol-

http://rcin.org.pl

nego czasu — słał w powietrze tę depeszę. Niekiedy połączenie, Bóg wie dlaczego, przerywało się i dopiero w kilka godzin później słyszano nas znowu. Ileż to różnych słów, mknęło w powietrzu! Wysyłaliśmy codziennie całe worki „słodkich całusów“ przez morze. To myśmy wprawili w radosny zachwyt pana Schmidta, Edgara Schmidta, przebywającego od nas w odległości tysiąca mil morskich, komunikując mu, że żona pani Anna i dzieci oczekują go w Cherbourgu w Hotel de Commerce. Siedzi on sobie w palarni, wciąż z tym oczytanym numerem „Fliegende Blätter“ w rękach i ze znużonym wyrazem twarzy patrzy przez małe okienko, jak cicho podnosi się i opada pomost; jak zwęża się i rozszerza obszar morza przez całe tygodnie, już zwęża się i rozrasta ten obszar. „Panie Schmidt! Panie Schmidt! Spójrzcie tylko, jak go to poruszyło. Do licha, gdzie mój kapelusz? Trr— tak—trr—tak. — Jak on się spieszy! „Zdrów i dobrej myśli!“ W pośpiechu pan Schmidt nic innego nie mógł wymyśleć.

Pan Boucher nałożył na łysinę stalową obręcz ze słuchawką, wsłuchiwał się w tykanie i notował słowa. Mogliśmy słyszeć wszystko, co Lizard telegrafuje wielkim okrętom amerykańskim, drukującym codziennie własny dziennik. Wiedzieliśmy w ten sposób wszystko,

http://rcin.org.pl

co interesowało cały świat; nowiny dochodziły do nas ba, nawet wcześniej, niż do czytelników! Gdzieś tam daleko króle w swych pordzewiałych zbrojach chrząkali, a myśmy słyszeli to. Słyszeliśmy trzask ogromnego płomienia, szalejącego w lasach południowej Rosji. Słyszeliśmy zgiełk giełd, papiery spadały — o, tfu, do djabła!

Boucher pisał, ja zaś tłómaczyłem — wykonywałem bowiem urząd tłómacza. Prawda, pan Boucher swobodnie czytał klasyków wielkich narodów w oryginale, ale w mowie potocznej nie rozumiał ani słowa.

Głęboka cisza zapadła u nas. Druty naszych masztów do przyjmowania depesz drżały i dzwoniły. a wiatr przewiewał nad pustkowiem. Trzy z naszych małych szczurów, które mieszkały na stacji — (było ich siedemnaście) — bawiły się przed drzwiami.

Morze szorowało. Zaledwie ściemniało, wnet obszar stepowy dwukrotnie bladł, niby w świetle księżyca, poczem raz buchał światłem czerwonem, jak płonący mech. Było to światło Stiffa, kiedy pan Boucher wychodził nazewnątrz, by zaczerpnąć powietrza, to dwa razy wydał się białym jak kreda upiorem, poczem przeistaczał się w czerwonego demona.

 Trr — trr — tak — tak... Boucher sie-

http://rcin.org.pl

dział i zapisywał słowa. Do nas dolatywało ledwo słabe echo ogromnego bębna Europy.

Koniec. Lizard nie miał nic więcej do powiedzenia. Wróciłem do domu późno w nocy i telefonowałem jeszcze we śnie: *Children all well. Much lowe. Grace.*

Iskry tryskały, aparat wystukiwał; dnia 21. 36° 12' 44° 8' 10". Ujrzano dwie góry lodowe Pensylwania". Naraz Poupoul zaszczekał. „Milcz!" — krzyknąłem. Poupoul liznął mi rękę i zaskomlał. Poczem usłyszałem, jak pies obwąchał drzwi. Znowu zasnąłem. Poupoul wkrótce znowu obudził mnie. Szczekał głośno i gniewnie.

Wsłuchałem się.

Zzewnątrz coś trzeszczało, szemrało. Wydało mi się, że czuję dym. W tejże chwili zagrzmiało i lunął rzęsisty deszcz.

— To deszcz pada Poupoul —rzekłem, — Śpij, stary!

Ale nazajutrz rano ujrzałem, że stos drzew, leżących przed mojemi drzwiami częściowo spłonął. Ściana domu sczerniała od dymu. Gdyby na czas nie spadła była ulewa z willi „Burza" nicby nie pozostało.

Potrząsnąłem głową. Cóż tu za ludzie, którzy pozazdrościli ci stosu drzew — rzekłem i splunąłem.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXIX

Raz w nocy obudziłem się i począłem rozmyślać.

Czemuż, o Panie, oczy me musiały się zatrzymać właśnie na Yvonnie, która opancerzyła się swą dziewiczością, niby sześciocalowemi płytami pancernika? Dlaczego ona właśnie różniła się od innych dziewcząt na wyspie, które tak niewiele robiły ceremonji?

Ot co, pójdę do ciebie Yvonno, i powiem ci otwarcie, jakie mam myśli, i czego chcę — a ty mi dasz odpowiedź!

Wstałem. O nie, nie miałem najmniejszej chęci oczekiwać jałmużny od losu. Było jeszcze ciemno, na wschodzie zionął jasny otwór. Była godzina czwarta rano.

Wybierałem się właśnie pójść na Creach, gdy wszedł Kedril, wywijając depeszą. *Trois bâtiments russes!* Hę, statki wojenne podążające do Brest. Można było nieźle zarobić, to też dwudziestu pilotów z brzegu i wysp udało

http://rcin.org.pl

się na żer. Pieniążki, rzecz prosta, zgarniemy my: — Kedril i ja.

Przed wyjazdem piliśmy u Chikela; cała wieś upiła się do nieprzytomności z podniecenia: toż ogromne pieniądze, na miłość Boską! Kres całej biedy naszej...

Nie było najmniejszej wątpliwości, że rosjanie do nas należą. Co, pilocie? Naprzód! Yvonno, przecież ty tu zostajesz!

Było bardziej niż jasne, że pancerniki będą trzymać kierunek na światło Creacha i na tem przypuszczeniu oparliśmy nasz plan operacyjny. Jednakże od okrętów rosyjskich trudno wymagać punktualności, to też kazały czekać one na siebie. Morze huczało, kotłowało się, wielki żagiel warczał, maszt jęczał i piszczał, Kedril leżąc napierał całem ciałem na ster i ze wszystkich sił syczał rozkazy. A my: majtek i ja, powtarzaliśmy je rykiem, na znak żeśmy zrozumieli, i tak oto przy nieopisanym wyciu mknęliśmy wśród nocnych wodnych odmętów, wdzieraliśmy się na dygoczące, zdyszane łańcuchy wód. Nasz fok-maszt pochylał się aż o czub, wbijając się w ciemno lśniące góry szklanne, bezustannie toczące się nawprost nas i podrzucał do góry całe bloki wód. Wyglądał jak poszarpany sztandar. Syczały spienione fale; wiatr igrał na linach.

 Gdzieś tam na południu ukazała się niejasna,

http://rcin.org.pl

niepewna iskierka, a myśmy pogalopowali wściekle dobrych pięć mil. O, nędzny, przeklęty, handlowy statku, djabeł by cię porwał!

Z tych pieniędzy były nici, gdyż owe trzy okręty rosyjskie zwiały nam. Upiliśmy się z wściekłości — Trzęśliśmy się ze znużenia — toż czterdzieści osiem godzin rzucaliśmy się wśród rozwścieczonego morza bez kawałka chleba w gębie. I nic! Do djabła! Ech! A jak to się udało temu djabłu Mathieu! Czy on aż pod równik popłynął nawprost nich? — Hej, pilocie numer pierwszy? Zczepiliśmy się nieco rękami, w żarcie.,. Co za młoty te pięści Kedrila! Byliśmy usposobieni do walki no — chodź tylko!

Ale oto znowu ona.

— Wyjdź, Yvonno. Choć rękę mi podaj!

Usta Yvonny były chłodne tylko policzki jej płonęły. Włosy miała wonne ciepłem, jak lato, a zapach pól sączył się z jej szat. Na smagłych licach Yvonny i wypukłem jej czole lśniły promienie. Była smagła, jak sam jednooki Amoryk.

— Czy nie wyjdziesz Marjo?

Uśmiechnęła się. Wiedziała dobrze, co zajdzie, gdy wyjdzie.

— Innym razem wyjdę—szepnęła.

— Nie, Yvonno, dziś!

— Innym razem.

http://rcin.org.pl

— Dobrze.

Odszedłem i usiadłem na kamieniu wśród wrzosowiska. Yvonna dość lękliwie zapatrywała się na fakt, że jest panną. Drżała i obawiała się swej godziny. Będę tedy czekać Yvonno, klnę się, ja będę cierpliwy!

Cyt! Przypływ. Huczy zwał wody. Cyt! Odpływ. Mewy lecą. Deszcz bił po moim dachu, a w górze z wyciem miotał się wiatr. Śpiewałem! Wyszedłem w burzę i śpiewałem gromkim głosem, gdyż czułem, że żyję. Mgła... sączy się przez drzwi i ściany; tytoń mi z wilgotniał. A Creach ryczał przez cały czas. Kroczyłem tam sam i serce mi biło każdym razem, gdy Creach podnosił głos. Z morza odpowiadał mu parostatek. Ciszej! Jechał dość blisko. Wyszedłem z domu i słuchałem, tłumiąc oddech. Oto ryczał już dalej. Niebezpieczeństwa więcej nie było.

Pewnej mglistej nocy słyszałem, jak trąbił parostatek, który wziął nieprawidłowy kurs. Płynął wzdłuż niebezpiecznego miejsca de *Fromveur,* znanego wszystkim marynarzom. Płynął pełen beztroski, trąbił i — zginął, nie podejrzewając nawet jak blizko był jego czub od raf. W tem miejscu morza rafy były ostre, jak kosy, i czekały tylko na to, by go rozciąć wzdłuż.

 Kiedy wschodziło słońce, ślizgając się po

http://rcin.org.pl

wszystkich źdźbłach traw, wyspa zdawało się, dopiero wtedy poczynała żyć z północy, z Irlandji i Anglji, mknęły stada ptaków, biegły one trójkątami nad wyspą i z szybkością błyskawicy ginęły za horyzontem. Za niemi zawsze pędziły nieznacznemi grupami te, co zostały w tyle; czy podążały, czy nie — to nie wchodzi w rachubę... Dość, że podczas ciemnych nocy stada z rozpędu wpadały na ognie latarni morskiej, ogniem buchające przed niemi i zanim ćwierkający trójkąt zdołał skręcić w bok — setki ptaków druzgotały sobie główki, Wówczas cała wyspa długo żywiła się ptakami. I ja również. Trzeba było tylko pójść na Creacha i pozbierać ptactwo. Ptaki leżały na brzegu, między skałami: wszędzie. Dzioby ich były nieco otwarte, jakgdyby ptaki, padając, krzyczały; szare woreczki okalały ich małe oczy, świecące się wilgotnym blaskiem. A kosteczki ptaków pod puszystem opierzeniem były takie drobniuchne!

Mój Poupoul miał wtedy rajski żywot!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXX

Jak się masz, Mathieu jak się masz *L'honneur, Petitjean!* Witajcie wszyscy razem — przybyliśmy tu na połów ryb, a przeto zaszliśmy dowiedzieć się, jak ci się powodzi.

— Nie zapomnieli o mnie! Tak jest zawędrowali aż do samej willi „Burza".

— No, kieliszków wam nie potrzeba, nie tacy znów jesteście arystokraci — och, do stu djasków, Petitjean toż ty całą butlę wyżłopisz! Jeśteśmy gotowi? Opowiedźcie mi, co nowego? Wy psy! teraz przypomniałem sobie; tych trzech rosjan to wyście nam wyrwali z przed pyska draby. Kedril i ja omal że nie zginęliśmy wtedy na morzu!

Poranek był jasny, świeży. Powietrze leżało nad morzem niby niepokalana i czysta tafla kryształu. Morze przelewało się stalowym błękitem i wydzielało ze siebie jaskrawy blask, jasność iskrząca się, drżąca od intensywnych

http://rcin.org.pl

wibracji, które czyniły serce lekkiem i pogodnem. Na horyzoncie ciągnęło się pasmo, ciemno-niebieskie. Nie podobna było bez zachwytu patrzeć na nie. Rafy morza lśniły w słońcu. W dole, w porcie, stali rybacy hałaśliwi, weseli; w oczekiwaniu na wiaterek. Ich świeżo wymyte twarze purpurowiały w świetle słonecznem. Dzień dobry! Dzień dobry — ze wszech stron!

Przeprawiliśmy się do „Wieży Kościelnej". W zatoce stał mały błyszczący żagiel — był to Jean Louis. „Król Morza" zawsze był pierwszy. Na morzu jakgdyby było trochę wiatru, to też rozwinęliśmy wielki żagiel, „*L'honneur*, Petitjean i ja. Hu — huupp. Ciężkie płótno powoli podniosło się ku górze, a my leżeliśmy teraz plecami na pokładzie. Poczem Petitjean oraz „*L'honneur*" zaprzęgli się do łodzi przed „Wieżą Kościelną", ja zaś oparłem się plecami o maszt i wziąłem do rąk długie pięciometrowe wiosło. Wiosło wyprężało się, drżało, ręce mi stwardniały, jak żelazo, a masywna „Wieża Kościelna" pełzła powoli przed siebie. Wielki żagiel zwisał bezsilnie, niby wisielec, tylko niekiedy rzucał się. To było wszystko. Wiatru nie było.

Zatoka była gładka jak oliwa. Tam gdzie zazwyczaj pienił się odmęt, morze wichrzyło

 się nieco i wzdymało. Skały kwitły w słońcu,

http://rcin.org.pl

niby drzewa wiśniowe, a błyszczały z daleka, jak macica perłowa. Powoli, jedna za drugą, sunęły nad wyspą mleczne, przetkane słońcem mgliste smugi. Mały ciężarowy parostatek skomlał w oddali, a od czasu do czasu również Creach wznawiał swój ryk na parę minut.

Zatoka pozostała za nami. Byliśmy na morzu. Marynarze wyszli na pokład i praca zaczęła się. Poczęliśmy szykować więcierze. Były to wierzbowe koszyki kształtu wielkich muchołapek z jednym otworem u góry. W środku kosza umocowywało się napół zgniłą rybę, z oczami już zszarzałemi, a do dna przywiązywano kamienie. Kosze te były ciężkie; krew jak młot biła mi w skroniach, gdy wespół z *L'honneurem* przerzucałem je poza burtę. Błyszcząca spieniona korona wypływała tam, gdzie spadały więcierze, pogrążając się na dno morza. Ponawieszane były na długich sznurach z pękami i korkami na końcach w tym celu, by je można było znowu wyciągnąć.

Robota była zrobiona, a teraz mieliśmy przed sobą dobre sześć godzin czasu.

Mousse tymczasem przyrządził kawę i rozsiedliśmy się wkoło na pokładzie pijąc ją z blaszanego garnka całemi latami niemytego, na którego polewie pozostały gęste koła brudu, wina, kawy i koniaku. Wyciągnąłem się

http://rcin.org.pl

w słońcu i wystawiłem mu ręce, twarz i bose nogi. Czułem, że rosnę, jak chleb na piecu. Morze było gładkie i przejrzyste jak lód, z białawo-zielonemi rysami w głębinie tu i tam. Niekiedy, niby skóra, zbierało się w drobne zmarszczki, a w oddali jakgdyby przeciągała błyszcząca ulica — rzekłbyś miljony, miljony małych szybkich rybek.

Mewy krążyły; a jaskółki małemi chmarami przelatywały.

Triii — triii.

Doji — doji — gullu — gullu — doji...

Wynurzyła się trójkątna pletwa, i coś naraz zasapało, zupełnie jak powietrzny hamulec w elektrycznym tramwaju, i szybko przemknęło obok na przestrzeni czterech metrów. Był to „Souffleu". Płynął prędko, sapnął jeszcze ze dwa, czy trzy razy i — znikł.

Wyspa leżała w oddali, jak pokryty łuską szary zwierz, z napół ukrytemi pod wodą, czujnymi i groźnymi zębami i z kolcem na nosie. Zdawała się być niezamieszkaną, bo i komuż przyszłoby do głowy zamieszkać na tym niegościnnym stosie kamieni?

Smuga mgły zbliżyła się do Creacha, osłoniła go, a Creach zaryczał, podczas gdy tu na morzu, świeciło jasne słońce. Smuga mgły podpełzła bliżej i osłoniła „Wieżę Kościelną"...

http://rcin.org.pl

Kłęby mgły przesuwały się tuż obok, osiadały na ubraniu, na włosach. Wszyscy wyglądaliśmy, jak ogarnięci dymem. Zatrąbił jakiś statek silnie, spokojnie, jak trąbi tylko wielki statek pocztowy, co nie zna lęku i prosi jedynie o wolny przejazd. Zbliżał się, chwyciliśmy tedy za wiosła, gdyż nigdy nie podobna było wiedzieć, z której strony się zbliża. Naraz wyłonił się z mgły, jak olbrzymie widmo, ze wszystkimi swymi masztami, rejami, kominami i pokładami. Był to statek kompanji „P. & O".

W tejże chwili mgła opadła i statek świecąc i błyszcząc przepłynął blizko nas.

Na pokładzie stały grupki dziewczątek z powiewającemi woalami.

L'honneur natychmiast począł grać na harmonijce. Dziewczęta krzyczały i powiewały białemi chusteczkami.

Hi — i — i — i! A może chcecie rybek?

L'honneur podniósł rybę w powietrze i cisnął ją w stronę statku.

Hi — i — i! — krzyczały dziewczęta.

Wówczas *L'honneur*, mistrz co się zowie, zagrał nam „*God, Save the queen*".

Hi — i — i! — darły się wszystkie.

„Wieża Kościelna" zaczęła się kołysać.

— *L'honneur*! — rzekł *L'honneur*. Ach, żeby je tak mieć tutaj! Co? Na każdego po

http://rcin.org.pl

jednej, a mnie dwie młode wdówki. I mówiąc, to spoglądał na odpływający parostatek jasnemi, dzikiemi oczyma. Poczem wykonał instynktownie niemożliwie komiczny ruch, a myśmy umierali ze śmiechu.

Zbliżał się *Oiltank*. Parostatek ten miał przezabawny wygląd z tego powodu, że jego komin był umieszczony całkiem w tyle. Ludzie jakoś niezbyt życzliwie patrzyli na nas z tego statku. Czarni byli jak murzyni i tylko troszkę szczerzyli do nas zęby. *L'honneur* zaofiarował się zbić im ich drewniane gęby.

Przez chwilę mieliśmy spokój. Tu i tam stały parostatki; znikały one w pasmach mgły, trąbiły i znowu ukazywały się. Poczem ukazał się przedziwny żaglowiec. Wielki Boże! Był mały, a pochodził z pewnością z ubiegłego tysiąclecia. Miał dwa maszty — jeden prawdziwy, a poniżej odłamek. Rejling statku był wysoki tylko na dwie dłonie, a dziwni jego ludzie poruszali długiemi wiosłami. Była to łódź, na której można było ledwo jezioro przejechać, — a cóż dopiero morze!

— Hej, a ile też węzłów robicie na godzinę?

Nikt nie odpowiedział.

 L'honneur wsunął palce w usta i zagwizdał

http://rcin.org.pl

wyzywająco. A może tak pójść do was i nawalić was po gębach?

— Skąd jedziecie?

— Z Hiszpanji.

Petitjean nagle ożywił się. Pociągnął swym zadartym nosem, a jego małe oczy sypnęły skrami.

— Dokąd jedziecie? — spytał. Byli teraz blizko.

— Do Hawru.

— A zatem do Anglji? — spytał Petitjean i zaśmiał się.

— Jaki macie ładunek?

— Wino.

Petitjean znał się na tych sprawach. Sam przecież pracował w tej branży.

— Są to kontrabandziści!—rzekł do mnie. Spojrzyjno tylko na statek! Jadą, rzecz prosta, nie do Hawru. Cha—cha—cha! Dajcie nam trochę wina, a my damy wam trochę ryb.

Ale ludzie na tym dziwnym statku naraz przestali rozumieć po francusku i poczęli wymyślać po hiszpańsku.

L'honneur zaofiarował się rozbić im czaszki. Ale Petitjean wodził za odpływającymi błyszczącemi tęsknemi oczyma.

http://rcin.org.pl

— Są w kłopocie — rzekł — bo muszą wiosłować. Zaniósł ich prąd i nie mają teraz wiatru.

Ze współczuciem spoglądał jak wyjeżdżali i mlaskał językiem.

Petitjean miał wygląd głupowatego szczerego młodzieniaszka, jaki miewają nieraz ludzie niespodzianie skazani na karę śmierci. Coś tam zbroili, dalibóg, ale pojęcia nie mają, co i całkiem zbaranieli. Służył on przez pięć lat u kapitana, którego specjalnością było: gubić okręty. Powierz mu tylko jaki wybrakowany statek, który już niechętnie asekurują kompanje asekuracyjne — a on już wie o co chodzi. Kompanje nie tęgo płacą, czy coś w tym rodzaju — a to wystarcza. Okręt taki nigdy nie wróci. Rozbija się, idzie na dno, jedno jest tylko niewątpliwe — nie wraca. Ginąc — powiedzmy, nieszczęśliwie werżnie się w dno, i chociażby nawet torpedowce chciały go ciągnąć — nie poddaje się, — ginie. Petitjean przeżył za swego życia takich katastrof więcej, niż kto inny. Wynagrodzenie za to było wspaniałe. Ale właśnie wtedy, gdy Petitjean musiał iść do wojska. patron jego zatonął z całą załogą. Tym razem zrobimy małą omyłkę. Wpadł na rafy podwodne prędzej niż chciał.

http://rcin.org.pl

Petitjean mógł opowiadać całymi dniami. Trzy słowa, trzy ruchy, i wszystko było jasne. Zbyt był głupi, by kłamać.

L'honneur, przeciwnie, był to dowcipny młodzieniec o jasnych oczach i wyraźnych rysach twarzy. Kłamał. Wszystkie jego ruchy były prędkie. Zawsze był zajęty jakąś pracą. Wbijał gwoździe w pokład, skręcał linę, reperował żagiel — zawsze znajdywał jakąś pracę. Bosonogi, w krótkich spodniach i zabawnie krótkiej koszuli — ale jaka to była koszula! Dochodziła tylko pod pachę, brunatne plecy, ręce i piersi miał obnażone, a jednak była to koszula, i w dodatku jeszcze z San Francisco. Na prawej ręce wytatuowanie wyobrażało statek żaglowy i Napoleona, owiniętego grubym wężem, na piersi zaś potężne wyobrażenie republiki, a kiedy spodenki zsuwały się na dół, wówczas na sempiternie ukazywała się okrągła złowrogo patrząca ryba z gniewnymi kolcami. *L'honneur*, był smagły, na pół nagi, i widać było, że jest on bezsprzecznie osobnikiem płci męskiej.

L'honneur układał linę na pokładzie w kształcie ósemki i tańczył sobie, grając równocześnie. Robotę swoją wykonywał zwinnie, nigdy nie dotykając liny nogami. Ja, naturalnie również potrafiłem to. „*L'honneur*, zagraj!" — Ale, ba, nie było to tak łatwo, jak się zdawało.

http://rcin.org.pl

Wyciągnęliśmy wędki i uciszyliśmy się. Godziny mijały. Łowiliśmy lieu, białego jak stal, z ostrym pyskiem szczupaka, srebrzystego pirronneau ze smoczem skrzydłem na grzbiecie, okrutnego sarthéa z ostrymi zębami w paszczy, z szerokiem chciwem gardłem, wyłupiastemi kociemi oczyma, pręgowatem ciałem, czerwono-ceglastym łbem i czerwonawożółtemi pletwami; miłego coquettéa, czerwieniejącego w powietrzu, jak ogień, vielle, podobną do salamandry, grubą, a niezgrabną, o lubieżnych murzyńskich wargach; rouget, merland, congre. Leżały one w rogu, ciężko tchnęły i zdychały. Jutro my wpadniemy do morza i będziemy chwytać powietrze. Sarthe podpłynie ku nam niby łódź podwodna i wyszarpie nam oczy, a gruba vielle obeżre nam nos lubieżnemi murzyńskiemi wargami...

Słońce wzniosło się ku zenitowi; leżałem na gorącym pokładzie, rozciągnięty i zerkałem nań. Płonęło, migotało i parskało mi w twarz długiemi płomiennemi wachlarzami. Przymknąłem oczy, zasnąłem. Ale naraz sznur drgnął na mem palcu, jakaś ryba chciała mówić ze mną w nagłej sprawie.

W dali na wyspie, dźwięczały dzwony; posługacz przyniósł obiad. Był to wielki garnek z zupą, kartoflami, kapustą, kawałkami ryby — bajeczne rzeczy! Siedzieliśmy dokoła

http://rcin.org.pl

garnka i zapuszczaliśmy weń łyżki. *L'honneur* pracował w tak szalonem tempie, że nikt za nim nie mógł podążyć. Posługaczowi pozwolono tylko wylizać garnek.

Nadszedł czas wyciągania więcierzy w górę. Liny wyżłobiły już rynny w ścianach łodzi, a łódź warczała i brzęczała, jak kontrabas. Trzeba było omotywać ręce płótnem, ponieważ mokre, obciążone liny zdzierały skórę. Łódź ociekała wodą, a więcierze poobwieszane wodorośłami i trawami — przynosiły nam z morza nocny, żyzny zapach.

Pierwsze kosze były puste; para muszli i meduz i tylko jeden duży krab. *L'honneur* przyjął go niezbyt uprzejmie Ponieważ krab nie chciał dobrowolnie wyleść z kosza, tedy *L'honneur* wyrwał mu przedewszystkiem kilka nóg, wówczas krab polazł. Kosz podnosił się za koszem, wszyscy z natężeniem patrzyliśmy w wodę, gdzie miał się ukazać ostatni kosz. Gdy przeświecał blady trup rybi — nadziei było nie wiele. Sprawa stała nieźle, naogół nie byliśmy niezadowoleni.

— Eche, wyłaźcie!

L'honneur zręcznie brał ryby wpół, ściskał między kolanami, i przecinał im kleszcze. Langusty warczały: „burr!", „burr!" i odskakiwały w tył na ogonach: bały się noża *L'honneura*!

http://rcin.org.pl

Wyłupiały nań długie, podobne do grzybów ślepia. Ale nic im to nie pomogło, dziwna rzecz, siedziały one przeważnie parami w koszach. Byli to, pewno, młodożeńcy, którzy w swej podróży poślubnej spotkali na dnie morza tę cudowną, pełną ryb, willę i zamieszkali w niej familijnie. „Zamieszkamy tu, najdroższa". Ale willa naraz poczęła się posuwać. Miały na sobie miedziane pancerze, a na karku tarcze łuskowate. Dostała się tu i para homarów w błyszczącej stalowej zbroi. Wściekle uderzały kleszczami.

L'honneur otrzymał cios w rękę. Trysnęła krew. „*Sacre nom de bleu cochon*"*!* Ostrożnie, *L'honneur!* Homar potrafi bez ceremonji palce przerżnąć!

Znowu doprowadziliśmy kosze do porządku i spuściliśmy je, gdy naraz ujrzeliśmy zbliżającą się do nas maleńką łódź.

Wpatrzyliśmy się badawczo — któżto był — do stu djasków? Był to Yann!

Przejechał w łodzi cztery mile, by nam tu złożyć wizytę.

— Ach, mały kapitanie! Pan dziś nie pracuje?

Nie, maszyna zepsuła się.

Yann mówił głośno i obojętnie, chciał był tylko widzieć, co my porabiamy — ale ja na-

http://rcin.org.pl

tychmiast poczułem, że wizyta Yanna miała cel określony. Chodziło tu o mnie.

Yann miał oczy krwią nabiegłe, o ja wiedziałem, co to oznacza. Miał on też swoje okresy. Podczas nich pił rozpaczliwie, pił całemi dniami, a marynarze na „Robotniku" nie śmieli wtedy mówić. Yann rzucał się wprzód i w tył z odętym ze wściekłości karkiem i szukał rdzawych plam na pokładzie. Tarł, skrobał, oglądał każdy gwóźdź, potrząsał łańcuchami kotwicy, mruczał i — ani słowa nie mówił. Wyrywał pędzel z rąk marynarza, który był zajęty malowaniem, i sam brał się do malowania. Ale marynarz nie śmiał nawet ust otworzyć, ponieważ wtedy wulkan miotał płomienie i głazy spadały, jak grad. I Yann pił coraz to rozpaczliwiej, bezsilny z wściekłości, ponieważ nie wiedział dlaczego.

W takim stanie Yann przybył na „Wieżę Kościelną".

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXXI

Ale Yann nic nie mówił.

Nadszedł wieczór, lecz i ten również nie przyniósł nam wiatru. Płynęliśmy z prądem koło wyspy, na północ. Przez pewien czas musieli się majtkowie zaprządz do łodzi, a Yann i ja pracowaliśmy długiem wiosłem. Przepłynęliśmy koło samych raf, przy których wraz z mgłą kłębiła się piana.

No, Yann, jak się masz?

Yann tylko spojrzał się na mnie nieśmiało.

— Dobrze? Jak zawsze?

Słońce zapadało. Morze błyszczało niby tysiące szyb okiennych. Płynęło purpurą na liljowem niebie, poczem pożółkło, zbladło, a niebo pod niem stało się szarem jak popiół. Owa lśniąca ulica, ciągnąca się odeń aż do naszej łodzi, zwęziła się, skracając się coraz bardziej, coraz bardziej — aż wreszcie znikła. Słońce zgasło. Na Oceanie Spokojnym zaszarzała zorza poranna. Z poza ciemnej wyspy

http://rcin.org.pl

wypadały snopy światła — był to Creach. Stiff żarzył się, wprost przed nami, raz białem raz czerwonem światłem — coraz dalej, dalej. Zmierzch był miękki a łagodny, jak niebieski dym.

Posługacz rozniecił ogień w małym piecyku, a kiedy węgle rozpaliły się, położył na wierzchu naszego dużego kraba. Początkowo sprawiało to krabowi przyjemność: przygrzewało go, jakgdyby słońce lipcowe, to też krab rozkosznie wyciągał się. Ale wkrótce zrobiło mu się gorąco. Rozpaczliwie poruszył kleszczami i począł ruszać pyszczkiem. W skorupie kraba utworzył się otwór, w węglach poczęło syczeć, ale on wciąż jeszcze ruszał się. Wreszcie ucichł, to zaś było oznaką, że jest już ugotowany.

Mieliśmy chleb, garnuszek zjełczałego masła, a jako przysmak — naszego kraba. Ja dostałem kleszcze. Ach! Jakież to było smaczne! I masło w gruncie rzeczy nie było zgorżkniałe, lecz wyborne w smaku. Wygłodziliśmy się, to też zjedlibyśmy nawet puszki od konserw i wióry. Poczem Yann odkorkował flaszkę i puścił ją w koło.

Muszę wyznać: doprawdy czuliśmy się dobrze. Byliśmy znużeni, syci i piliśmy. Wszyscy siedzieli wokoło opaleni i dzicy,
 z jasnemi oczyma, dobroduszni niby dzieci,

http://rcin.org.pl

które wychowało morze, o mocnym dobrym uśmiechu. *L'honneur* opowiedział nam o jednem swojem przeżyciu. Jak raz zlodowaciał mu statek na północ od Newfundland. Naprzód zamarzł pokład i rejling, poczem zamarzły maszty, i długie lodowe sople zwisały z rej i ścian, następnie zamarzł ster, aż wreszcie cały statek przemienił się w ciężką bryłę lodu. Nadpłynęły kry lodowe, osaczyły go i ścisnęły tak, że statek trzeszczał. Tak oto sunął powoli przez długie dni. *L'honneur* starannie przechowywał w kajucie odnośny wycinek z gazety. Przyniół go, i zmuszony byłem przeczytać go.

Po nim Petitjean począł opowiadać nam o swoim patronie. Opowiadał w ten sposób: „Właściciel statku, moi państwo, był to człek mały i szeroki. Kwadratowy. Był tak silny, że ręką wyrywał kotwicę z dna. Wpadnie bywało w gniew, i kark mu wypręży się wyżej niż głowa. Tak! Naładowaliśmy węgiel. W Anglji. Węgiel? Gówno! Właściciel chodzi po pokładzie, milczy. Strzeżcie się! — mówimy — Właściciel patrzy do góry. Morze. Brzeg w oddali. Właściciel nasz znał każdy kamień w morzu. Cały świat objedzie on z zamkniętemi oczami. Słowo honoru! Wchodzi tedy na pokład, chwiejąc się, z butelką w ręce. Chłopcy, wypijemy po kieliszku! Rozumiecie?

http://rcin.org.pl

Był to znak. Poczynamy układać nasze manatki. Jutro już statku na wodzie nie będzie."

„Właściciel nasz, był to marynarz! Ho, ho! Marynarz! W najpodlejszą pogodę mógłby pomiędzy dwoma domami przejechać z chusteczką do nosa na maszcie! Słowo honoru! O, tak, był to mistrz, professeur!" — dodał Petitjean i zrobił strasznie wielkie oczy.

Śmieliśmy się, gdy tak okropnie wytrzeszczał oczy.

Poczem kolej przyszła na mnie.

— Eh, zagrałbyś nam cokolwiek! — rzekł Mathieu.

Wyjąłem flet z kieszeni, wydmuchnąłem zeń tytuń i zwilżyłem wargi.

— Co wam zagrać?

— Co chcesz!

Wydąłem wargi, dmuchnąłem w maleńki flet i przebiegłem palcami po podwójnym rzędzie dziureczek. Przedziwnie dźwięcznie rozległ się teraz na morzu mój flet:

„Ostatnia różo, o jak samotnie tu kwitniesz,
Twe siostry dawno, o jakże dawno okwitły;
Jeden kwiat już..."

Siedzieli wokoło, słuchając.

— Dalej.

Poruszałem palcami po flecie i dmuchałem:

„Rozkoszujcie się życiem, póki ogień w du-
[szy tli,

http://rcin.org.pl

A zrywajcie różę, różę, póki jeszcze kwit-
[nie wam.!.“

Zakończyłem przedziwnym trelem, i na tem mój repertuar wyczerpał się.

— Jak on wspaniale gra!

— Co już skończył? Graj jeszcze!

— Chcecie jeszcze? Zgoda!

Wystukałem flet i znowu podniosłem go do ust.

I znów mój flecik zanucił:

„Ostatnia różo, o jak samotnie tu kwitniesz...

A następnie:

„Rozkoszujcie się życiem, póki ogień w du-
[szy tli...“

Znowu zakończyłem przedziwnym trelem, dając mu przebrzmieć cicho, i na tem zamknąłem koncert.

Siedzieli wokoło, kiwając głowami.

— Ładnie dziś grałeś!...

Tylko Yann nic nie rzekł.

Niebo stało się ciemno-niebieskiem: noc zapadła. Wszyscy pochowali się po kątach, tylko Mathieu stał jak cień nieruchomy u steru. Leżałem na pokładzie, przesyconym ciepłem, skrzyżowawszy ręce pod głową, i wsłuchiwałem się w ciche szmery i postukiwania o ścianę łodzi. Na południu błyszczał Stiff, a Creach ciskał na nas swe połyskujące sztylety.

http://rcin.org.pl

Tam spała Yvonna. Na północy pełzła zielona iskra; był to statek, który wszedł do Lamanche'u. Nad moją głową wyraźnie odbijały od nieba liny. Gwiazdy błyszczały, migotały. Niby ten deszcz — pomyślałem...

Naraz ukazał się księżyc. Stał na horyzoncie ogniście czerwony i ogromy, a wszystkie małe fale drżały przed nim. Wznosił się majestatycznie, z godnością, nie budząc ani lęku, ani strachu. Stał się pomarańczowo-żółty, a kiedy wzbił się wyżej — wówczas stawał się srebrzyście-białym, błyszczącym. Liny rzucały na pokład ostre cienie niekiedy cicho kołyszące się i zlewające się z sobą. Wraz z księżycem wypłynął nieduży, wązki obłoczek. Rozszerzył się na całe niebo i świecił białym blaskiem, jako świeżo spadły lekki śnieg. Ale rozpłynął się był tak samo prędko, jak taje śnieg, i po chwili niebo znów było czyste. Dalej na skraju nieba, pod księżycem, ukazał się tłum małych chmurek, rzekłbyś szpiegów wielkiej armji, którzy wyszli na wywiady. Zbijały się one z sobą, znowu ginęły, ale armja nie ukazywała się. Wszędzie, na małych falach dymiły się języczki małych obłoków, jakgdyby niebo zaczynało się palić. Gęstniały. Na morzu pływała wyspa z oparów, jakie się tworzą na łąkach w jesieni. I naraz wyspa z mgły podniosła się ku górze: morze zrodziło chmurę.

http://rcin.org.pl

— Będzie mgła, — rozległ się głos Mathieu, niby głos z morza.

Znowu leżałem i obserwowałem przedziwne rzeczy, dziejące się dokoła.

Morze stało się mgliste i szare, powiedziałbyś, nagle księżyc zaszedł. Latarnia Stiffa miała z dali wygląd czerwonego oka, chorego na zapalenie, otwierającego się jeno z trudem i bólem, i natychmiast zamykającego się znowu. A na horyzoncie przelatywały blado błyszczące smugi światła — był to Creach.

Z luki wypłynął cień, poczem usłyszałem kroki bosych nóg na pokładzie. Przymknąłem oczy.

— Hej!—szepnął Yann i z trzaskiem przykucnął obok mnie.

Nie poruszyłem się, wiedziałem bowiem, że ta jego wizyta była przeznaczoną dla mnie.

— Hej! — Yann szarpnął mną. Otworzyłem oczy. Yann przez chwilę patrzył na mnie, poczem rzekł: „Wyjeżdżaj!"

Rozwarłem usta ze zdumienia i nic nie odparłem.

— Wyjeżdzaj! — powtórzył Yann.

Uśmiechnąłem się. Oczy Yanna wyglądały jak błyszczące, ciemne pieczary. Nawet teraz, w półmroku, widziałem, że krwią nabiegły. Z gęby mu walił odór koniaku.

http://rcin.org.pl

— Yann, — rzekłem — zwarjowałeś! Idź spać, mój przyjacielu.

— Żebyś wiedział — ciągnął Yann — że więcej nie jesteśmy przyjaciółmi. Między nami wszystko skończone...

Mówił prawdę. Wyczułem to z jego głosu. Dźwignąłem się.

— Yann?

Yann warknął: „Rosseherre powiedziała mi wszystko. Wczoraj w nocy. Byłem u ciebie dziś rano, ale nie było cię w domu. Przeto wyjechałem na morze. Tak, ona przyznała mi się, że była u ciebie w chwili słabości; ja byłem w Brest, ona udała się do ciebie, zastukała i ty wyszedłeś. Uciekła, ale ty dogogoniłeś ją i na rękach zaniosłeś do domu".

Zdumienie moje rosło. Nogi osłabły mi. „Więc ona ci to powiedziała, Yann?"

— Tak, wszystko! Zbiłem ją, klnę się na Boga, że strasznie ją zbiłem. Nie panowałem nad sobą. Jeszcze chwila, a możebym ją nawet zabił. Ale że ona ani słowem nie odezwała się, więc dałem spokój.

Chwila milczenia.

Po niebie przebiegła spadająca gwiazda. Tam również nie wszystko było jak należy. Zamyśliłem się. Jak miałem był zrozumieć
 Rosseherrę? Ona oddała się na łaskę i nieła-

http://rcin.org.pl

skę Yanna li tylko dlatego, by go podburzyć przeciwko mnie. Nie z innego powodu.

— To wszystko, co chciałem ci powiedzieć, — znowu szepnął Yann. — Tyś mnie oszukał. Jeden z nas jest tu niepotrzebny na wyspie. Jazda! — powiadam ci.

— A jeśli ja nie wyjadę? — spytałem w chwilę później.

Yann milczał. Poczem cicho i ochryple zaśmiał się.

— Wyjeżdżaj! — wyszeptał. — Byłeś moim przyjacielem, przeto mówię ci: wyjeżdżaj! Jestem obłąkany, czy słyszysz? Wyjeżdzaj najbliższym statkiem.

To była nasza cała rozmowa. Leżałem i długo myślałem. Przez jedną noc wszystko zmieniło się. Straciłem Yanna, a przecież byliśmy tak dobrymi przyjaciółmi, co? Żegnaj mi, Yann! Lecz czy wyjadę, czy nie, to już moja sprawa. Naraz przebiegł po mnie jakiś ziąb. O tak, Yann był to człowiek, który mógł był na niejedno się odważyć. Roześmiałem się cicho. Niech sobie tam robi, z Panem Bogiem, co chce. Zobaczymy, jak on da sobie radę z tym atakiem zazdrości — dobranoc!

Spałem snem głębokim, spokojnym. Około północy obudziłem się od gwizdania, które rozlegało się nademną. W oddali huczały

http://rcin.org.pl

grzmoty, błyskawice błyszczały na horyzoncie, niby rozgałęzione ogniste żyłki i oświetlały brzegi ciężkich chmur nad naszemi głowami. Żagiel strzelał, jak salwy a my pędziliśmy szybko.

— Strzeż się, abyś poza burtę nie spadł! — krzyknął Mathieu, śmiejąc się. Ciągle jeszcze stał na straży.

Jak mogłem spaść poza pokład, skoro leżałem tak blizko od rejlingu? Spadł deszcz, okryłem się kawałkiem żagla. Woda spływała po mej twarzy, deszcz był ciepły. Błyskawice rzucały blask poprzez powieki i przecinały jasnością mój mózg. Znowu zasnąłem.

Kiedy obudziłem się od poczucia duszności, było rano. „Wieża Kościelna", kołysząc się, wbijała się w fale, wznosiła ku górze. Dwie małe łodzie holownicze spieszyły poza nią w dziwacznych podskokach niby dwoje małych szczeniąt za matką. Morze było szare i szary cienki deszcz ukośnie leciał nad niem.

Otoczył nas dokoła wał dymu, tak że ledwo mogliśmy widzieć cokolwiek na przestrzeni dwóch metrów.

Na pokładzie wrzała praca.

— Dokąd jedziemy?

— Do Anglji. Wstrętne będzie morze. *L'honneur*, idź na dół pić kawę.

Dobrze, jak do Anglji, to do Anglji! Zeszedłem do kajuty. Schodów tu nie było.

http://rcin.org.pl

Trzeba było gramolić się i zręcznie przesunąć nogi przez otwór, nadepnąłem na mięso. Był to Yann. Spał na podłodze, zwinięty w kłębek. Poupoul przytulił się do niego plecami i podniósł do góry łapy. Na wązkiej drewnianej ławie siedział sam tylko Petitjean, pijąc coś z blaszanego garnka.

— Całą noc oka nie zmrużył nasz mały kapitan! — szepnął na dzień dobry. — Co mu jest? Petitjean podsunął mi blaszany garnek. Piłem prędko, acz niezbyt mi się podobało tu w dole.

Kajuta była mała—jak skrzynka, w której nie można było nawet stać. W kącie widać było małą pstrą statuetkę Matki Boskiej, a na ścianie wypisane było okropnemi literami: *Dieu protége le Clocher du village et son équipage.* Pod tym *L'honneur* napisał: Boże, pijaków chroń!

Napiłem się kawy, poczem znowu wygramoliłem się na pokład. We mgle płynął trójmasztowiec, przyciśnięty swymi pięćdziesięcioma ciężkimi żaglami. Miał pomyślny wiatr.

Tak jest, morze było złe. Prędkie wodne wydmy pokrywały się znanemi mi białemi sznurami, a korony z piany nie rozpraszały się już teraz, lecz wzlatywały zębami ku górze. Wiatr szarpał je jak sztandary. Grał w naszych linach na najwyższych nutach. Zdechłe

http://rcin.org.pl

ryby wślizgiwały się na pokład i posługacz, blady i chory, zbierał je do koszyka. Parostatki trąbiły, wyły i piszczały w oddali; niekiedy chmurny cień parostatku ukazywał się wewnątrz naszego wału z dymu i natychmiast znikał.

Naraz stało się coś niezwykłego. *L'honneur* stojący koło steru, odwrócił się, dostał mdłości!

— *L'honneur*! — krzyknęliśmy wszyscy i roześmieliśmy się na cały głos.

L'honneur zwrócił ku nam swoją zieloną twarz.

— Cha! O, do djabła, to mi się już od sześciu lat nie przydarzyło. *L'honneur!*

Ale chłopak leżał na pokładzie na plecach, rozrzuciwszy ręce. Przy każdem poruszeniu „Wieży Kościelnej" głowę mu rzucało to w jedną, to w drugą stronę. Wyglądał jak nieżywy.

I mnie też przydarzyło się nieszczęście. Akurat do lewej kieszeni moich spodni chlusnął cały dzban wody i zmoczył mi mój tytuń. Musiałem był pójść do kajuty, rozniecić ogień, i wysuszyć tytuń. Yann dopiero co obudził się. Siedział na ławce z blaszanym garnkiem w rękach i patrzał na mnie pustemi oczyma.

— Dzień dobry, Yann!

Yann milczał.

 Naraz zatrąbił wielki parostatek. Ryczał

http://rcin.org.pl

poza naszym wałem dymu, który wędrował z nami, mimo żeśmy szybko pędzili. Rozszerzał się, to zwężał. Wsłuchiwaliśmy się przegięci przez bok łodzi, nie mówiąc ani słowa. Huczący ryk trąby zbliżał się, ale określić jego kierunek było niemożliwością. Naraz Mathieu rzucił się ku sterowi i zaryczał: *Changez les voiles!* Odpowiedzieliśmy wyciem, poczem zabraliśmy się do pracy. Mathieu najpierw zauważył czub statku, ale nie odważył się przeciąć mu drogi. Parostatek przepłynął obok. Miał cztery brunatne kominy, cztery maszty i trzy piętra długich pokładów. Był to parostatek Lloyd'a. Fale tłukły się o jego bok, ale on płynął całkiem spokojnie. Zasłona żaglowa na pokładzie została pokryta, nie widziało się na pokładzie ani duszy. Wydawał się być martwym, tylko kominy dymiły. Ale — cyt! Cyt! Muzyka Obrzuciliśmy się spojrzeniem i roześmieliśmy się. Te kanalje siedziały za stołem, a orkiestra grała! Parostatek przeciął wał dymu i znikł. Wciągaliśmy powietrze — to by jego dym! *L'honneur!*

Około godziny piątej kierunek wiatru zmienił się; wiatr szalał teraz jak huragan. Lecz byliśmy weseli i zadowoleni.

Petitjean i Yann leżeli koło steru, nisko ansunąwszy na mokre, zdziczałe twarze kap-

http://rcin.org.pl

tury i śpiewali pieśń bretońską. Ryczeli tak, że aż im oczy wyłaziły z orbit.

Morze zapowiadało niewiele dobrego. Osaczało nas ono ze wszech stron. Gubiliśmy się w falach, niby wesz w szeleście liści.

Usiadłem w kącie, podgiąłem kolana i z całej siły począłem dąć w mój flet. Wiatr rwał mi włosy, wyginał mi nos.

„Rozkoszujcie się życiem...“

Palce mi osłabły. „Eche, flet nie działa więcej...“

I znowu ryczeli sternicy:

„Ty ukochana dziewczyno na dalekim [lądzie...“

Słyszałem ich jakby zdaleka. Krew szumiała mi w głowie. Czułem, że coraz bardziej blednę, jednakże ścisnąłem zęby: nie, nie poddam się! Zimny pot uderzył mi na czoło, morze zlało się w jeden szary wir wznoszący się coraz wyżej, wyżej...

Twarze wynurzały się z kłębiącego się odmętu, morze kotłowało się pode mną swemi odrażającemi głębiami i falami. Ręce wyciągały się ku mnie. Nagle poczułem cios w okolicy żołądka. W oczach mi pociemniało. Żelazne palce ścisnęły mi czoło. Poczem — podczas gdy tuzin rąk chwycił mię za włosy, oślizgły cienki palec, niby noga pająka prze-

http://rcin.org.pl

sunął się między zębami do ust, wreszcie w dół koło przełyku, do żołądka. O-ho-ho! Wstrząsnąłem się. Tu ręce szarpnęły mię za włosy, wyciągnęły je na metr długości; całe ciało mi odrętwiało i opadło z sił, a ręce rzuciły mię poza pokład. Ciągnęły mię one w głąb, wlokły za włosy po czarnem, jak noc morzu. Z szybkością błyskawicy całemi milami! Naraz puściły mię, i uderzyłem głową o dno. Tchu mi zabrakło. Tocząc się, podniosłem się wgórę. Czyliż doprawdy kresu temu nie będzie? — jeszcze sekunda a zabraknie mi reszty sił. Ale ja byłem już na górze i chciwie oddychałem powietrzem. Ciągle leżałem na pokładzie „Wieży Kościelnej" i dalej słyszałem ryk sterników.

— Hehe! — zawołał na mnie Mathieu. — Jak się pan czuje?

— Wyśmienicie! — krzyknąłem — patrząc mu w twarz szklannemi oczyma.

http://rcin.org.pl

XXXII

Pod wieczór trzeciego dnia znowu przybiliśmy do wyspy.

Yann wymownie spojrzał na mnie gdy schodziliśmy na brzeg.

— Słuchaj Yann — rzekłem, kładąc mu rękę na ramieniu — wybij sobie tę myśl z głowy. Ja nie wyjadę. Wyjadę tylko wtedy gdy — zechcę.

— Nie wyjedziesz jutro? Jutro odchodzi „Komisjoner".

— Nie.

Yann spuścił głowę. „Jesteś zgubiony — człowieku!" — rzekł po chwili. Rzekł to tak, że ledwo dosłyszałem.

— Ach, Yann, ty jakoś opamiętasz się. Ja przecież znam cię. Dobranoc!

Yann odszedł, nie spojrzawszy nawet na mnie, nie pożegnawszy się ze mną.

http://rcin.org.pl

XXXIII

„Komisjoner“ odjechał. Widziałem jak lawirował w zatoce. Śmiałem się. Nie, mój przyjacielu, mam jeszcze wiele do zrobienia na wyspie! Dziś środa i jednooki Amoryk ma służbę.

W głębokiej ciszy nocnej słychać było tylko głuche kroki. Morze pluskało, lecz ja już go nie słyszałem. Były to moje kroki.

Zastukałem do okienka.

— To ja, Yvonna. Otóż jestem! Przypędził nas tu wiatr.

Pocałowałem ciepłą szyję Yvonny. Przytuliła mi głowę, a usta moje zatonęły w jej szyi

Poczem szeptem opowiedziała mi, że niepokoiła się o mnie w te dni.

Nad nami obracał się rzęsiście oświetlony młyn wietrzny, a jego rozproszone odblaski kołowały migocąc na ciemnej ziemi. My jednak staliśmy w mroku. Coś spadło. Co? Tak

http://rcin.org.pl

miękko zadźwięczało coś. Posypał się cały deszcz lekkich szmerów i szelestów.

— To ptaki!

O, tak, były to ptaki, lecące od północy, a zmierzające ku światłu.

— Yvonna?

Nawet w zmroku widziałem dołeczki na jej policzkach. Uśmiechała się.

— Czy wiesz, co mi przyrzekłaś?

— Wiem.

— I wyjdziesz dziś?

Yvonna wzięła moją rękę w swe gorące dłonie i ścisnęła ją. Drżała.

Nie dzisiaj, — wyszeptała — nie dzisiaj. Jutro, pojutrze...

Coś miękkiego spadło na moje ramię. Ptak.

Drgnąłem i mocno prawie aż z bólem ust pocałowałem Yvonnę.

— Myślę o tobie, Yvonno,— szepnąłem. — Ja i na morzu myślę o tobie. Nie mogę o tobie zapomnieć. Pójdź, Yvonno!

Yvonna potrząsnęła głową. „Pojutrze"... Krew szumiała mi w głowie.

— A pojutrze? — rzekłem na głos.

— Na Boga, nie tak głośno!

Mocno uchwyciłem się za gzyms i wciągnąłem się w górę. Yvonna cofnęła się w tył. Stałem w ciemnym pokoju.

http://rcin.org.pl

— O Boże! — szepnęła Yvonna.

— Jeżeli nie wyjdziesz... — rzekłem i pociągnąłem ją ku sobie. Yvonna zatrzęsła się i pocałowała mnie w policzek...

Wyszedłem. Szedłem polem. Zdjąłem czapkę, aby ochłodzić sobie rozpaloną głowę.

— Yvonno, — rzekłem — czy długo jeszcze każesz mi czekać? Jak długo jeszcze, cha, cha!

Na pustym brzegu wyłaniały się grupy białych szałasów: były to blade ściany lepianek w świetle latarni Creacha. Wśród nich stał wysoki, spiczasty szałas — kościół.

Szedłem do domu, wzdłuż brzegu morskiego. Morze dymiło się; było cicho; fala stukała o skały. Tak — tak — tak. Pogwizdywałem. Snopy światła z Creacha pędziły przed sobą mgliste konusy. Kiedy zbliżyłem się do wąwozu Pupona, serce mi poczęło bić głośno. Przestałem gwizdać. Było tu bardzo cicho i fala jakoś osobliwie stukała. Zatrzymałem się. Snopy światła z Creacha przebiegały ponad morzem — nad wąwozem Pupona chwiało się ogromne widmo. Była to mgła wznosząca się z wąwozu. Poczekałem powrotu świecącego się konusa: gigantyczne widmo ciągle jeszcze stało w ciemności i machało na mnie białemi rękami.

http://rcin.org.pl

Poczułem zawrót głowy. Tam było głębokie urwisko — biała otchłań.

Kto mi wyjaśni, dlaczego zatrzymałem się właśnie w tym momencie, i właśnie w tem miejscu? I dlaczego dopiero teraz w głowie mej powstała ta myśl, że tam znajduje się przepaściste urwisko?

Poupoul wciągnął w siebie powietrze i zaszczekał krótko, jakgdyby ktoś tam stał na polu.

— Cicho, Poupoul!

Znowu wybuchnął ogień Creacha i oświetlił mi ścieżkę. Nikogo nie było. Tylko kupa wodorostów leżała przy drodze.

Ale tu Poupoul znowu wściekle zaszczekał. Patrzał na mnie zielono błyszczącemi ślepiami.

Zaśmiałem się cicho. A może to... Yann znajduje się tu w pobliżu?... „Yann! Yann!" — krzyknąłem — czy to ty jesteś? I roześmiałem się przy tem, by pokazać mu, że wcale go się nie boję, gdyby tu nawet był. Ale plecy moje były zimne jak lód — jakgdyby mi ktoś z tyłu rozciął marynarkę.

Podszedłem do kępy wodorostów przy drodze: tak, tam stał Yann! Doprawdy Yann...

— Dobry wieczór, Yann! — rzekłem. — Co tu robisz, tak późno w noc, mój synu?

http://rcin.org.pl

Yann nic nie odparł. Poupoul poznał go zaraz i wymachując ogonem, pełzał mu koło nóg. Ale Yann nie ruszał się. Stał i patrzał na mnie. Były to oczy Yanna, a jednocześnie jakieś obce.

Oczy te ponuro płonęły jakąś tępą wściekłością i brutalnym uporem. Nie ruszał się z miejsca—nic nie mówił; stał tylko, patrząc na mnie, a oczy powiększały mu się coraz bardziej.

Yann wydał mi się w tej chwili w najwyższym stopniu zabawnym. Skoro czyhał na mnie, to dlaczegóż teraz nie ruszał się z miejsca? Czyżby mi rzeczywiście sądzonem było zginąć bez śladu w wąwozie Pupona? Yann, Yann, chodź tu! Pokaż, kim jesteś! Napewno nie dam ci się tak tanio wziąć — ho, ho! Jakiż on jest śmieszny!

— Chciałeś może fajkę rozpalić, Yann?— rzekłem i parsknąłem mu w twarz śmiechem. Jego tępy upór, oraz głupie toporne spojrzenie — rozwścieczyły mnie. Cóż to za nowa maniera postępowania ze mną?

Ale Yann stał ciągle bez ruchu. Oczy miał teraz jak dwa wielkie, buchające ogniem, otwory.

— Skoroś zaniemiał, Yann — to dobranoc ci! — rzekłem drwiąco, by go rozdrażnić! — Co wieczór teraz będę przechodzić tą drogą

http://rcin.org.pl

Przysięgam ci. I co wieczór, w tem właśnie miejscu, będę cię czekać chwilkę. *Au revoir! Et merci, merci!*

Poszedłem. Zwolna skierowałem się w stronę Yanna plecami, poczekałem chwilę i odszedłem. Ale Yann nie ruszał się z miejsca. Zaśmiałem się, ciągle jeszcze zły i wzburzony.

Niech tam przy pomocy Boskiej, wybrnie jakoś sam z tego obłędu, w który wpędziły go: jedna mała dziewczynka i wódka. To nie jest moja rzecz. Jest to dureń, mój Poupoulu, i my mu panować nad sobą nie damy. Burze zimowe będą szaleć nad wyspą, a my będziemy je jeszcze oglądać. Będzie śnieg, grad — chcemy to czuć na swej skórze. Nawałęsamy się jeszcze z tobą po zamarzłem polu, — czy słyszysz, towarzyszu!

Będzie też trzaskać u nas wielki ogień, będzie oślepiać nas i oświetlać głębokie i mroczne otchłanie naszej duszy, których jeszcze nie znamy.

Czy widzisz, jak patrzymy w ogień żółtemi oczyma, a dokoła nas wiatr wyje swą wielką pieśń?

Yann, Yann!

Rano znalazłem list za drzwiami ze słowami: „Strzeż się!"

 Yann nawet charakteru pisma nie zmienił.

http://rcin.org.pl

Jak to nieostrożnie! A gdyby tak później znaleziono u mnie ten list? Porwałem go na drobne kawałki i cisnąłem na wiatr. Lecz później począłem medytować. Nie, Yann, dość tego! Ty będziesz miał znów spokój. Pójdę znowu do Rosseherry, pomówię z nią, i przyjdę do ciebie prosić o pojednanie.

Yann gotów na śmierć się zapić, a my przecież jesteśmy przyjaciółmi.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXXIV

Było to — kiedyż to było? Przed trzema dniami. Dziś wszakże już jest wszystko inaczej... Nie mówiłem, ani z Rosseherrą, ani z Yannem, choć, być może, powinienem był to uczynić...

Wczoraj już się to zaczęło, ale ja jeszcze nie rozumiałem. Bo i komuż mogło by to przyjść do głowy?

Wczoraj udałem się do Noëla, by pomówić z nim o łodzi, którą on proponował mi nabyć. Przechodziłem koło chaty Jeana Louis. Wejdę — pomyślałem. Po co? Mam jeszcze czas. I nie wszedłem.

— To pan z powodu *Belle femme* przyszedłeś? — rzekł czerwony Noël i zwyczajem swoim postawił przedemną całą symfonję wódek. — Hej, Françoise Antoinette, trzeba nakarmić Poupoula. Pański pies zjada śliwki z wózka, cha, cha, to nic, biedy niema. Ślicz-

http://rcin.org.pl

na łódka, ta *Belle femme*! Zatem zdecydował się pan?

— Tak, zdecydowałem się.

— Chce pan robić tak jak wszyscy?

— Czemuż by nie?

— Pan wie zapewne, że jestem handlarzem ryb. Zobowiązuję się nabywać u pana wszelkie ryby.

— Dobrze!

— Hej, Antoinetto, Marjo, trzeba otworzyć budę przy przystani!

Posiedziałem trochę u Noëla, nie miałem czego się śpieszyć. Przykuśtykał zwarjowany Gaston na swych krzywych nogach i zaprosił mnie na szklankę wina. Przekąsiliśmy serem, który zafundowałem. Poczem przybył włóczęga wiejski.

— Panie odezwał się — daj mi franka, powiem ci coś ważnego.

Wynoś się precz! — odparłem — Chcesz dostać kilka kijów, to możesz dostać.

Włóczęga wyszczerzył zęby i uciekł.

Obejrzeliśmy *Belle femme* w budzie. Budę na łodzie miał tylko jeden Noël. Pomiędzy leżącymi na dworze słupami wałęsali się chłopcy, przewracający kamienie. Chwytali oni uciekające kraby za kleszcze, a małym węgorzom, które złowili, natychmiast przerzynali gardła.

http://rcin.org.pl

Obstukałem *Belle femme*. Była szerokiej budowy.

— Jest to najszybsza łódź na wyspie! — rzekł Noël.

Yann i Kedril już przedtem mówili mi, że *Belle femme* jest to wyborna łódź. Podobała mi się. Tylko po prawej stronie trzeba było nowy klin przybić. Pozatem wszystko było w porządku.

Po krótkich pertraktacjach porozumieliśmy się co do ceny. Zniżyłem ofertę tak bezczelnie, że Noëla o mało apopleksja nie trafiła. — Nie, nie będę ci pchał do paszczy moich luidorów, ty Królu Morski!

W jednej uliczce znowu napotkałem włóczęgę wiejskiego. Czekał na mnie.

— Panie! szepnął tajemniczo. Dajże mi pan franka, a powiem coś bardzo ważnego.

Roześmiałem się. Był tak natrętny, tak obszarpany, tak brudny!

— Strzeż się, brudasie! — krzyknąłem i podniosłem rękę.

Włóczęga ścisnął czapkę w rękach i uciekł co tchu.

W domu zauważyłem nieobecność Poupoula. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że od czasu jak opuściliśmy bar Noëla — nie widziałem go więcej.

http://rcin.org.pl

Gwizdnąłem, i objąłem wzrokiem pustkowie. Ale mój chyży, czarny kłębek nie ukazał się nigdzie. Poupoul gdzieś się wałęsał... Nie przychodził cały dzień, aż dopiero późną nocą zaszczekał pode drzwiami. Acha! Stary włóczęgo! W bardzo nędznym stanie wrócił Poupoul ze swej wycieczki. Kulał i krwią broczył.

Nos miał rozcięty, a na prawej tylnej nodze wielką krwawą ranę. Na szyi psa wisiał kawałek przegryzionego postronka.

— Ho-ho-Poupoul, cóż ci to chciano zrobić? Przywiązano cię może, a ty wyskoczyłeś przez okno?

Poupoul skomlał i zawstydzony spoglądał na mnie. Takiej klęski, jeszcze nigdy dotąd nie przeżył.

Obmyłem mu rany, obwiązałem je, a Poupoul, leżąc na lewym boku, z wyciągniętemi łapami, drżał na całem ciele. Nazajutrz rano spróbował podnieść się, ale z żałosnem skomleniem znowu runął na ziemię. Wyniosłem go na słońce i postawiłem przed nim wodę.

— Jutro znowu będzie dobrze, Poupoul. Poleż sobie spokojnie. Bądź zdrów!

Poupoul postukał ogonem, spuścił głowę ku ziemi i cierpliwie szykował się do długiego czekania.

http://rcin.org.pl

Porozmawiałem na wsi z cieślą, poczem przeszedłem na przełaj przez wyspę i udałem się do Stiffu, gdzie przez cały dzień pracowałem u pana Bouchera. Gdy wracałem, słońce już zachodziło.

Zastałem Poupoula przed drzwiami w takiej samej pozycji w jakiej go zostawiłem.

— Hej, Poupoul!

Ale pies nie poruszył się. Leżał z wyciągniętemi obandażowanemi łapami, a wiatr igrał mu we włosach. Przykucnąłem koło niego. Parę much, brzęcząc, odleciało. Poruszyłem Poupoula — był zimny i sztywny. Poupoul nie żył.

— Umarłeś mój piesku, a mnie nie było przy tobie? — spytałem go cicho.

— Umarłeś, mój piesku — zawołałem.

Tak, Poupoul nie żył.

Wstałem, spojrzałem na morze.

Kto wie, może byłbym go uratował, gdybym tu był? Dziwne jednak to, że Poupoul zmarł z powodu tak nieznacznych ran!

Zrobiłem kilka kroków, aby zagłuszyć ból i wróciłem z powrotem. Siadłem na kamieniu przed drzwiami i patrzyłem na Poupoula. Wiatr dął i szlochał wysoko w górze. Morze kołysało się jak płomień. Pomiędzy olbrzymiemi biegnącemi skibami czarnej i rozpalonej lawiny wód — buchały ogniste języki. Mo-

http://rcin.org.pl

rze płonęło, aż do dna. Od widnokręgu ciągnęła się przez morze szeroka purpurowa łuna, niebo zaciągnięte dymem było czerwone od odblasku słońca i — odbijało widmowo pożar morza. Na tak gorejącem morzu płynął wielki wschodnio-azjatycki statek, tając się w wodach. Pokłady jego rozpływały się, maszty i reje tajały, a gruby komin był cały pożerany przez płomień. Gęsty, czarny jak smoła obłok dymu, wzbijał się nad nim...

Siedziałem, patrząc na Poupoula.

Oczy miałem suche zupełnie.

— Poupoul, towarzyszu mój! — rzekłem, osunąłem się na kolana, i pocałowałem go między oczy.

Teraz dopiero zauważyłem cienki postronek dokoła szyi mego psa, i ręce mi opadły. Był to postronek, jakiego używa się do łapania ryb, była to pętlica...

Poupoula zamordowano!

Wstałem trzęsąc się z bólu i wściekłości.

— To wy tacy jesteście! Tacy jesteście — krzyczałem — wygrażając pięściami w stronę wsi. I naraz zbladłem.

— Yann! Yann!

Czemu uczyniłeś mi to, Yann? Czy dlatego, że Poupoul zdradził cię wówczas, ty rozbójniku? Dlatego? Yann, czemuś wtedy nie
 narzucił na mnie tej pętlicy, mógłbym się był

http://rcin.org.pl

bronić, podczas gdy on... Kto wie, może Poupoul, lizał, nawet rękę, która mu zakładała pętlicę na szyję, szczekał i machał ogonem z radości, że ktoś przyszedł do niego, gdy on tu sam tak leżał.

Poszedłem na wieś. Gdziekolwiek spotkam cię Yann, porwę cię za ramiona obalę na ziemię, chwycę za gardło i rozmiażdżę ci twarz pięściami, aż para wyjdzie z ciebie! Strzeż się, już idę!

— Czy Yann na statku? spytałem, sztywny i blady.

— Nie, Yann jest na lądzie.

— A gdzie?

Roześmieli się. Skąd mogli byli wiedzieć, gdzie Yann się znajduje?

— Jak się masz, Jean Louis, czy Yann jest u ciebie?

— Yann, hi — hi! nie mój przyjacielu.

— Chikel, nie widziałeś Yanna?

— Nie.

— Yann, Yann, gdzie się ukrywasz? Wyłaź z kryjówki?

Zciemniało. Spokojnie leżała wieś ze swemi nikłemi, rzadkiemi światełkami. Nadbiegł konus świetlny z Creacha, i na tle jego zarysowały się ostre, czarne sylwety dachów, poczem wszystko zatonęło we mgle: domy, światła a smuga światła przemknęła nademną,

http://rcin.org.pl

oślepiła mnie. I znowu spokojnie leżała wieś z jej majaczącymi ogniami.

Znowu wróciłem do willi „Burza". Nad ciałem Poupoula brzęczały muchy. Wziąłem go na ręce i zaniosłem nad morze: „Ty całe życie przeżyłeś na morzu, Poupoul" — rzekłem. Poupoul był sztywny, jak drewno. „Żegnaj mi, towarzyszu!"

— Poupoula poniosły fale. Powoli wypłynął na morzu, poczem natrafił na wir i przepadł. Nadbiegła fala, a gdy piana opadła, Poupoul znowu leżał przede mną.

— No, żegnaj. Poupoul — i tak raz być musi.

I, o dziwo! Próbowałem tegoż w trzech, czy czterech miejscach — a Poupoul ciągle wracał do mnie.

Wtedy jeszcze raz wziąłem go na ręce, mokrego i poniosłem przez wyspę, był ciężki, zadyszałem się.

Na wschodzie morze i niebo były sinoczarne, a na zachodzie miedziano-czerwone. Ponad wyspą stał wązki, bronzowawy sierp księżyca, a wiatr dął.

Cisnąłem Poupoula do morza tam, gdzie skały prostopadle spadają. Widziałem jak spadł, widziałem to. Teraz już nigdy nie powróci. Spadał, wzdłuż urwisk, poczem prąd chwycił go, i Poupoul znikł.

http://rcin.org.pl

Odprowadziłem go wzrokiem, poczem udałem się na stację Marconi'ego. Wszedłem.

— Siądź pan, — uprzejmie rzekł pan Boucher. — Jak pan źle wygląda?

— Dziękuję, — rzekłem. — Postoję sobie. Pies mi zmarł.

— Co, pański pies zdechł?

— Tak.

Wyszedłem. Usiadłem na kamieniu i patrzałem na morze. Leżało pod czarno-fioletowem niebem północy czarne, jako smoła, straszliwie puste, pełne tęsknoty. Tam daleko płynął Poupoul, a fale igrały nim.

Było już późno, gdy wróciłem do domu. Kilka godzin czekałem na Yanna koło wąwozu Pupona. Nie przyszedł.

W izbie mojej było samotnie. Deszcz bił po dachu, kapał przez szczeliny, a ja myślałem o Poupoulu. — Czy pamiętasz, mój druhu, jak zapoznaliśmy się ze sobą? Było to tam, na wielkim brzegu. Silnie chwyciłeś mię za nogę ostrymi zębami, nie gryząc mnie. To mi się podobało! Pamiętasz, jak chciałem wypróbować twoją wierność i przy pływaniu, udawałem, że tonę, a ty nie zawahałeś się, lecz momentalnie rzucałeś się z wysokości w morze, by mi pomódz!

Tip-tip-tip — kapał deszczcz, wystukując słowa bezmyślne, bez związku, w których taił

http://rcin.org.pl

się, zdało się, jakiś okropny sens. Wiatr dął. Cyt! Czy to nie pies szczeka za domem? Wstałem. W ciemnościach rozległy się krzyki i ryk, zbrodniczej chuci i przenikliwy śmiech katowanych. Krew zamarła mi w żyłach, a ciało miejscami zdrętwiało zupełnie.

Nie, nie czułem się już tu dobrze; wyszedłem przeto i ułożyłem się do snu pod skałą.

http://rcin.org.pl

XXXV

Nastąpiły niewesołe dni. Wiatr dął i dął. Świstał przez dziurę w chmurach na północny zachód i wiał nisko nad ziemią lodowym chłodem.

Nie mogłem usiedzieć w domu. Włóczyłem się po wsi, telegrafowałem razem z panem Boucherem; byłem wszędzie. Nie mogłem pogodzić się z tą niewypowiedzianą ohydą! Yann był to w głębi duszy dobry chłop, wiedziałem o tem. Jak mógł to uczynić? Powiedz, Yann! Ale ostatecznie, cóż znaczył pies dla jego naiwnej brutalności?

Wiatr mknął z wyciem i ziąbem, a wyspa zdawało się nie była niczem innem, jak opustoszałem rumowiskiem, na które morze rzuca się ze wszech stron z siekierami, z oskardami, by usunąć je ze swej drogi. Przeziąbłem.

Patrzyłem na morze. Kiwało na mnie,

http://rcin.org.pl

wzywało mię i nęciło — aż mi tchu brakło. Czego chcesz, czego chcesz ode mnie?

Daleko na morzu płynął trójmasztowiec o mokrych, ciężkich żaglach. Ścigałem go wzrokiem. Słońce równika zaleje ich promieniami, a gdy ci ludzie pójdą spać wówczas włosy ich przylepią się do smoły pokładu... Spadną deszcze tropikalne, a wówczas będą brodzić po kolana w ciepłej wodzie. Podczas ciszy morskiej stać będą nieruchomo na jednem miejscu—i po tysiąc razy na dzień wpatrywać się w horyzont. Będą kołować ze śpiewem, rozwijać żagle i uciekać przed burzą. Złapią albatrosa na lasso, i duży ten ciężki ptak bezradnie stać będzie na pokładzie przed miejącemi się, smagłemi twarzami...

Wstałem.

Jasny płomień ogarnął nagle trójmasztowiec, lecz w rzeczywistości nie on palił się — to serce moje zapaliło się nagle i cisnęło mi płomień do oczu. Poczułem ból, zda się pierś moja rozdzierała się na dwie części. Czy znasz to? Tę tęsknotę do dali? Chodźmy? Chodźmy do lasów szumiących, które kresu nie mają, pójdźmy na północ ku śnieżnym polom, gdzie słońce nie świeci — wszystko jedno, zresztą, dokąd, nawet do piekła — byłe tylko pójść *ku czemuś nowemu!*

http://rcin.org.pl

I tu wyrzuciłem z siebie krzyk, który rozbrzmiał daleko na morzu.

— Słuchaj panie Noëlu, chciałbym unieważnić zakup *Belle femme*.

— To pan nie weźmie *Belle femme?*

— Nie, wyjeżdżam.

— Wyjeżdża pan?

— Tak. Gotów jestem wypłacić panu odszkodowanie.

— O, pieniądze nie są mi znów tak strasznie potrzebne. Skoro pan wyjeżdża, to oczywiście pocóż panu *Belle femme* — nieprawdaż?

Ja jednak nie wyjechałem ani tego dnia, ani nazajutrz. Niech Yann nie wyobraża sobie, że opuszczam wyspę z obawy przed nim. O, nie! Mieliśmy jeszcze niejeden dług do wyrównania, a ja lubię jasny rachunek.

Przez cztery noce z rzędu sterczałem koło wąwozu Poupona, czekając na Yanna. Siedziałem tam i marzyłem. Dął wiatr, snopy światła z Creacha latały nademną. Paliłem fajkę i zakrywałem ją ręką, aby wiatr nie podniósł tytoniu z fajki. Ogrzewało mnie to trochę.

Alboż nie przysiągłem ci tego, Yann, że będę tu co wieczór? Dlaczego niema cię tak długo? Przyjdź Yann, — wszak jestem tutaj...

Mijały godziny; Hu-hu-ho-o!—wył wiatr, a inny głos rozlegał się w górze: hi-hi-hi-i.

http://rcin.org.pl

Niekiedy trąbiło coś w szczelinie skały. Daleko na morzu płynął statek pocztowy, cały w świetle, niby zamek czarowny. Siedziałem i czekałem.

Ale ledwo uchwyciłem jakiś szelest, szelest w pustkowiu, wnet włosy mi dęba stawały na głowie. Groźne głosy brzmiały w wietrze. Wsłuchiwałem się w nie, tłumiąc oddech. Naraz nadbiegło wprost na mnie galopem straszliwe białe widmo. Klnę się, że w owej chwili najeżyłem się jak świnka morska i przebiłem oczyma białe widmo. Był to kawałek papieru, który żadnej mi szkody nie zrobił. Niekiedy coś huczało podemną, stukało.

Z wąwozu zalatywała zgniła, stęchła woń niby ze starej studni, i coś tam pluskało i stukało, jak gdyby przewalało się tam mokre, ciężkie ciało. Zimny wiew uderzył we mnie — to był on! Był to Poupon, morderca, który ciągnął mnie za nogi, wsuwał palec w dziurę w moim prawym bucie i parskał śmiechem. Poczem znowu z pluskiem zsuwał się w dół. Ale, aczkolwiek jedno wrażenie zastępowało inne, i skóra mi pokrywała się rybią łuską, — siedziałem spokojnie. Ja i później, gdy Yann przyjdzie, nie ruszę się z miejsca. Będę siedzieć jak głuchoniemy, zastanie on głuchoniemego palacza, pogrążonego w medytacjach filozoficznych nad wą-

http://rcin.org.pl

wozem Pupona. Niech Yann ma możność zainkasowania swego długu. Potem jednak — będzie moja kolejka!

Niekiedy wyjmowałem z kieszeni flet i poczynałem grać piosnkę lub trele...

Yann? czy ty to słyszysz, Yann?...

Raz nawet zasnąłem. Ale zbudził mię wystrzał armatni. Zerwałem się. Fajka mi spadła na dół. Bądź co bądź, nie jestem z tych, którzy mają tylko jedną fajkę. W każdej kieszeni mam fajkę. Zapaliłem drugą.

— Yann?

Czekałem zawsze po cztery, po pięć godzin. Czy będzie tego dość dla ocalenia honoru—nie wiem. Sądzę, że dość.

Yann jednak nie przychodził.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

XXXVI.

Żegnaj, Kedrilu, pilocie numer pierwszy! Gdzie jest Jean Louis? Żegnajcie wszyscy, żegnajcie!

Rybacy otoczyli mnie, trąc swe szczecinowate policzki o moją twarz. Całowaliśmy się. „I ty nas opuszczasz!“ — mówili, kiwając głowami. Ręce mieli twarde jak drewno. Ale oczy mieli szczere, serdeczne.

Kedril dowiózł mnie do „Komisjonera“; nikomu nie dał się w tem wyręczyć. Podarowałem mu na pamiątkę fajkę.

Marynarze podnieśli kotwicę.

Podczas tego z „Robotnika“ podpłynęła łódź i Yann wszedł na pokład „Komisjonera“. Stałem koło poręczy patrząc, jak podjeżdżał. Czułem, jak krew odbiegła mi z twarzy, a ręce w kieszeniach płaszcza ścisnęły się kurczowo. Począłem powoli rosnąć. Ale gdy Yann spojrzał na mnie — ogarnęła mnie rzewna słabość. Niebieskie dziecięce oczy Yanna tryskały mi-

http://rcin.org.pl

łością. Były to dawne oczy Yanna takie, jakiemi były ongi i oczy te momentalnie rozbroiły mnie. Yann zbliżył się do mnie. Wyglądał brudno, przez czoło przebiegała mu okropna, krwawa szrama, oczy miał ciągle jeszcze nabiegłe krwią.

— Odjeżdżasz! — rzekł, i wskazał wzrokiem na nieduże zawiniątko, które trzymałem pod pachą.

Nic nie odparłem. Patrzałem tylko na niego.

Yann poczekał trochę, badawczo zajrzał mi w oczy, i znowu rzekł: „Ty pewno myślisz, że to ja zabiłem Poupoula? Nie, to nie ja To Rosseherre zrobiła!

Otwarłem usta: „Rosse-he-rre?...“

— Właśnie! Powiedziałem jej: Poupoul zdradził mnie, bo zaszczekał. A ona mi na to: acha to jego pies cię zdradził... Więcej nic nie powiedziała. Ale w dwa dni potem rzekła mi: teraz już Poupoul nie zdradzi cię, Yann!

Spojrzałem na Yanna, a po wargach mi przebiegł wzgardliwy uśmiech. Śmiałem się z siebie. Ależ to dziecko, ta Rosseherra! Panowie i panie, macie przed sobą pierwszorzędnego znawcę ludzi! Odbędę *tournée* i pocznę występować za pieniądze z pierścieniem w nosie, a korkiem w głowie.

http://rcin.org.pl

Mimo to do Yanna zwróciłem się z wyrazem wyrzutu: O! Yann, ja co noc wyczekiwałem cię koło wąwozu Poupona. Dlaczegoś nie przychodził?

Yann ze zdumieniem spojrzał na mnie. „Przecież żaden statek nie odpływał, jakże więc mogłeś odjechać?“

Roześmiałem się głośno. Śmiałem się z siebie. A zatem całkiem niepotrzebnie wstawały mi włosy dęba na głowie. Yannowi nawet nie śniło się składać mi wizyty. Dość tego! Precz stąd!

— Ostatnie dni były dla mnie wprost piekłem! ciągnął Yann i z oczu jego, nabiegłych krwią posypały się skry, a żyły na szyi nabrzmiały mu. — Ta kobieta doprowadzała mnie do warjacji! Czy słyszysz? Warjacja! Wydaje mi się, że jest opętaną, i że zaczarowała mnie. Wprost wierzę w to! Wtedy, w nocy, nie mogłem tego wykonać. Gwizdałeś, szedłeś z taką pewnością siebie... otóż to właśnie. A teraz wyjeżdżasz, to dobrze. Nie wiedziałem więcej co mam robić. Przecież my jesteśmy mimo wszystko przyjaciółmi — co? Jeśli ona nawet i była u ciebie — to cóż z tego? Żegnaj *mon, rrés cher, ami*!

Yann wyciągnął ku mnie rękę, a oczy przesłonił mu jakiś wilgotny blask. Schwyci-

http://rcin.org.pl

łem go za rękę i długo patrzyliśmy sobie w oczy.

Dręczyliśmy się nawzajem, uczciwie, rzetelnie, jak to nieuchronnem jest między ludźmi, którzy się pokochali. —

Poczem Yann wsunął rękę do kieszeni i wyjął złoty zegarek ze sprężynową kopertą.

— Szkło już będziesz musiał sam wstawić sobie! — rzekł. — Weź! No, weź-że!

Uśmiechałem się. Nie, nigdy snadź nie zrozumiem tych ludzi... Ale zegarka nie przyjąłem.

— Niechcę posiadać rzeczy, mających wartość ponad dziesięć franków — rozumiesz? Yann? — rzekłem. — A możeby tak co innego?

— Yann poszperał w kieszeniach, poczem dał mi swój nieodłączny nóż.

— Owszem, to może mi się przydać, dziękuję! Wsunąłem rękę do kieszeni, i wyjąłem maleńki flet. Podałem go Yannowi.

— *Merci!* — rzekł. — Ach, ileż miłych chwil... no, żegnaj! Nie zapomnij o mnie!

Potrząsnąłem głową i znowu uścisnąłem rękę Yanna.

Żagiel zatrzepotał.

„Komisjoner“ pogalopował przez zatokę.

 Mieliśmy więcej wiatru, niż było nam potrzeba.

http://rcin.org.pl

Wokoło „Wielbłąda" pływały maleńkie czarne kaczki, nurkując i wywracając koziołki. Na skałach siedziały mewy, a olśniewająco białe ich główki świeciły się niby dopiero co wymalowane na olejno guziki. Koło raf morze ssało kamienie i tchnęło ciężko. Przecięliśmy prąd, poczem „Komisjoner" zmienił żagle. Przeszliśmy koło podwodnych raf, gdzie tak często łowiłem ryby z „Królem Morza". Morze huczało, a ochłapy piany rozpryskiwały się w górze. Naraz ujrzałem mały; dobrze mi znany żagiel, kołyszący się na ciężkich falach. Zbliżał się ku nam, Jean Louis?! Ale w łodzi siedział nie „Król Morza". Z poza żagla ukazał się biały czepek.

— Rosseherre — ho - ho! — wołali marynarze.

Łódź zbliżyła się do samego statku. Rosseherre siedziała koło steru, ze spuszczoną głową, z utkwionemi oczyma w swym szlaku. Nizkie czoło ściągnęła w setki drobnych zmarszczek. Nie podniosła oczu.

Fala podrzuciła łódkę w górę i poniosła ją dalej. W jednej chwili mały kołyszący się żagiel zniknął nam z oczu.

— O, ten djabeł! Patrzcie! — wołali marynarze, śmiejąc się.

Po co? Po co ty wyjechałaś na morze?

http://rcin.org.pl

Niby wysokie, fioletowe zamczysko o dwóch cienkich basztach leży wyspa na morzu. Mewy krążą nad nami, a z dalekich skał dobiega wysoki, przenikliwy ich krzyk.

Wysoki zamek sinieje i tonie w morzu. Teraz już nic nie widać, tylko wielka głowa Creacha pływa na widnokręgu.

Naraz poczułem cios w serce. Yvonna! Wybacz mi. Boże, żem nie pomyślał o niej w te wszystkie dni, że zapomni ałem zupełnie.

Przedziwnem stworzeniem jest człowiek

— No, Yvonna, znajdzie sobie wnet innego kochanka...

— — — — — — — — — — —

Na drugim brzegu zastałem Mathieu, *L'honneura*, i Petitjeana. Chwała Bogu, byli tu. Zdaje się, że łzy miałem w oczach, gdy ich ujrzałem.

— Oto ja jestem!

— Ach, to ty!

Ucztowaliśmy do późnej nocy. Poczem rozstaliśmy się. A to co?

Morze było czarne i czarne było niebo. Tylko na horyzoncie mrugał ogień latarni morskiej, to białem to czerwonem światłem, a wiatrak świetlny ciskał do góry swe śmigi. Był to Creach.

http://rcin.org.pl

— Żegnajcie, towarzysze! Gdy przyjedziecie do Osa, to kłaniajcie się Amorykowi i jego córce, Yannowi i Jean Louisowi! I Rosseherze nie zapomnijcie zawieść ukłonu! Pozdrówcie wszystkich, wszystkich.

W dwa dni później wsiadłem w Cherbourgu na statek o dwudziestu tysiącach tonn. Trąbiła syrena, na pokładzie grała orkiestra, *en route!*

Czułem się nader marnie na duszy. Zaraz na początku doznałem niepowodzenia: głos mój nie podobał się starszemu stewardowi. Tak jest, proszę mi wierzyć, czcigodny panie, że nim ośmielę się zbliżyć do tak wysoko postawionej osobistości — wypijam ze trzy jajka na surowo... Postanowiłem mieć tego człowieka na oku. Jakby tu poprosić tego attaché z dyplomacji o przyzwoitszą kajutę? Stał przedemną, gładko wylizany językiem kultury. Wydał mi się strasznie znajomym. Przyjrzałem się jego czaszce. Tak jest, ja już go widziałem. Tysiące, tysiące razy w rozmaitych miejscach. Była to *twarz europejska*. Nic więcej.

Nie rzekłem ani słowa więcej. Wziąłem pięciofrankówkę i wsunąłem ją w jego europejską dłoń. Zrozumiał w lot i skłonił się nizko. Można teraz śmiało znieważać swym głosem święty spokój tej karuzeli parowej...

http://rcin.org.pl

W kajucie pomacałem palcami dywan i ukradkiem dobrnąłem obicia schodów: kauczuk! Yann, gdzież my jesteśmy. Elektryczność, ogrzewanie parowe, kwiaciarnia, drukarnia, hotel *à la Riz:* z peryferji cywilizacji wpadłem oto wprost we wrzące jej centrum. Na parostatku było cicho, jak w kościele, tylko tu i tam rozległ się głośny, gruby kaszel: to ja kaszlałem.

Wszedłem na pokład słoneczny i uśmiechnąłem się ironicznie: tu najmniejsza łódź ratunkowa była większą od największej łodzi, jaką mieliśmy na wyspie... Dął wiatr. *Nordwest-nord*, siła wiatru — osiem — morze burzliwe.

Ale kolos nie poruszał się wcale. Robił on ośmnaście węzłów na godzinę, lecz zdawało się, że nie porusza się z miejsca, a tylko wązkie smugi usuwają mu się z pod nóg.

Morze leżało głęboko w dole, niepozorne, nikłe. Byliśmy tylko pasażerami niczem więcej. Nastał wieczór, latarnie Lamanche'a wybuchały i obracały się, koło nas przemknęła mizerna łódź rybacka. Fala bujała nią, huśtała, podrzucała do góry.

— He! — krzyknąłem i zamachałem czapką.

Ale ci ludzie nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi.

http://rcin.org.pl

I naraz ogarnęło mnie uczucie, przykre, naga świadomość: jestem już obcy temu wszystkiemu...

Fale, wiatr, całe to wielkie morze — tak, *byłem już obcy temu wszystkiemu...*

Udałem się do palarni, usiadłem w fotelu, wychyliłem jeden kieliszek whisky, jeszcze jeden. Poczem kupiłem całą butelkę. Dwie nasze gwiazdy płonęły teraz nad ciemną wyspą wśród huczącego morza. Po co? Po co ty wypłynęłaś na morze?

Wsłuchałem się: czy słyszysz jak pracują maszyny? Słyszysz to drżenie poprzez wszystkie piętra i korytarze; słyszysz bicie wielkiego stalowego serca? To było serce Europy, Europy — skąd wyszedłem! I naraz spokojna moc maszyn śpiewających tam, w dole, podemną, weszła we mnie i przepełniła mię poczuciem siły i niezmiernej pewności siebie. Nalałem sobie pełny kieliszek i począłem cicho nucić piosenkę.

— Uspokój się, serce — rzekłem do swego serca. Przestworza życia są pełne. Znowu ujrzysz ich i Yanna i Yvonnę i Rosseherrę i Jeanna Louisa — wszystkich! I Poupoula też odnajdziesz, nic bowiem nie jest niezastąpionem!

Ale w nocy obudziłem się nagle. Statek trzeszczał, jak skóra. Wsłuchałem się. Szu-

http://rcin.org.pl

miał wiatr, morze, rozbrzmiewały głosy, a ja je rozumiałem. Serce ścisnęło mi się z bólu.

— Żegnajcie, wy ukochani! — rzekłem, wsłuchując się w te głosy — żegnajcie, ja jeszcze powrócę do was!

K O N I E C.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

Fundacji im. J. I. Michalskich
Ze zbiorów

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
23.116
http://rcin.org.pl